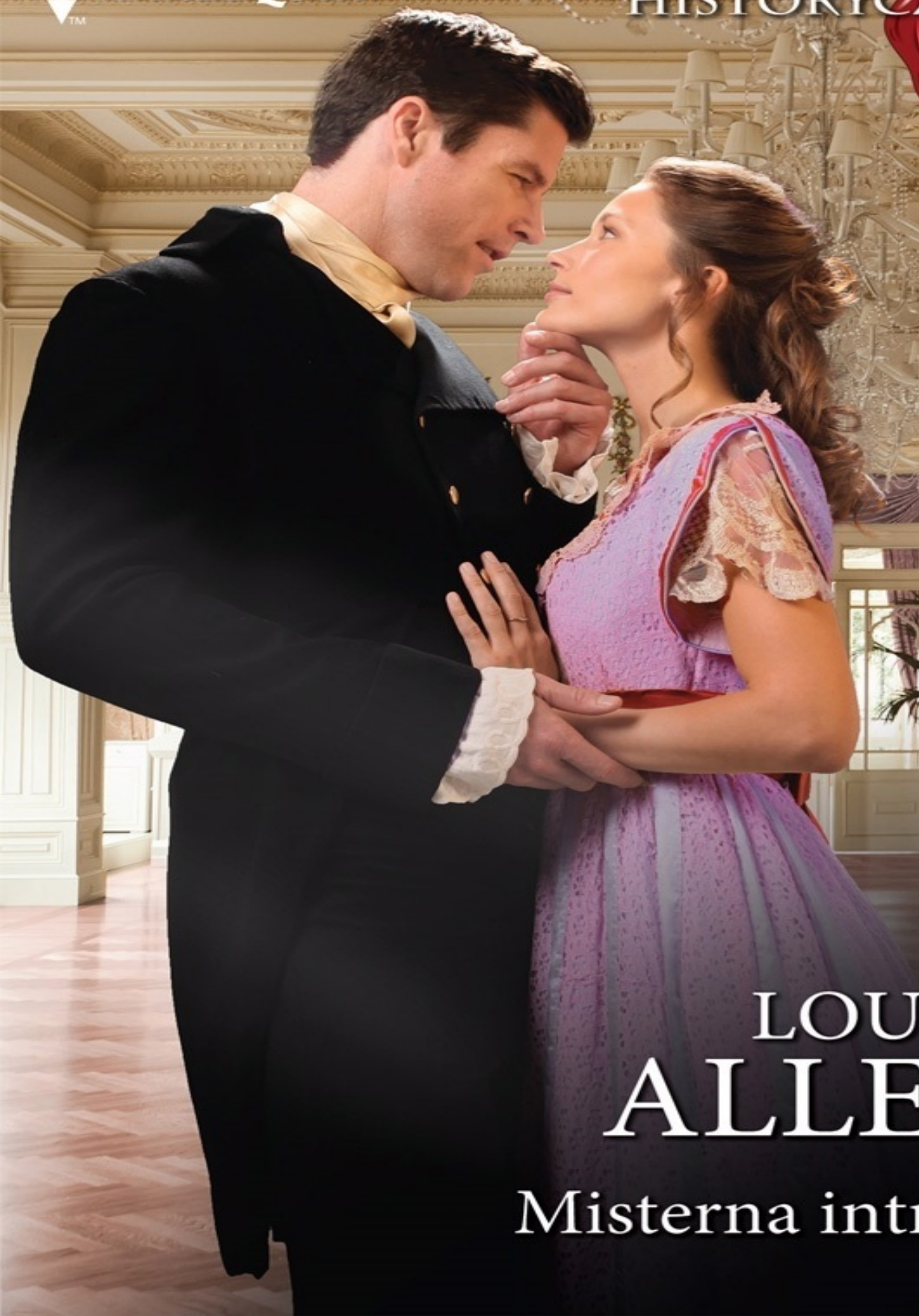


 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY[®]



LOUISE
ALLEN

Misterna intryga

Louise Allen

Misterna intryga

Tłumaczenie:
Alina Patkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cris de Feaux tonął. Uświadomił to sobie, gdy słona, lodowata woda uderzyła go w twarz. Potrząsnął głową i zaklął, zdając sobie sprawę, że lekkomyślnie wypłynął z zatoczki na pełne morze. Impulsywnie rzucił po prostu ubranie na skały i wbiegł w fale.

Dobrze było wyteńczyć całe ciało i oczyścić umysł z myśli. Dobrze było choć raz w życiu nie zastanawiać się nad konsekwencjami, nie planować wszystkiego starannie, nie przewidywać. A teraz ta chwila zapomnienia miała go kosztować życie. Czy tego właśnie chciał?

Zanurkował z szeroko otwartymi oczami i zanurzył się w niebieskozielonym świetle, a potem znów wynurzył się na powierzchnię, parszając i plując wodą. Zakochał się nieodpowiednio, nedorzecznie, wbrew rozsądkowi i poczuciu honoru. Wiedział, że do niczego to nie prowadzi, i odszedł, żeby nie wyrządzić jeszcze więcej zła. Bezcelowa wędrówka po Anglii przywiodła go w końcu na północne krańce Devonu, nad ocean, w miejsce, które teraz miało go zabić – chyba że dopisze mu szczęście.

Użyj mózgu, pomyślał ze złością. Wpakowałeś się w kłopoty, więc teraz znajdź jakiś sposób, żeby się z nich wydostać. Przecież się nie poddasz. Nie zabijesz się z miłości!

Rozchylił zaczerwienione od soli powieki i wpatrzył się w brzeg. Wysokie urwisko u podnóża, pokryte ostrymi kolcami skał, zdawało się z niego kpić, ale wiedział, że gdzieś między skałami znajdują się niewielkie zatoczki. Prąd niósł go wzdłuż brzegu, na południowy zachód, należało zatem oszczędzać siły, aż zobaczy odpowiednie miejsce. Nie mógł jednak pozostać zupełnie bierny; choć był pierwszy czerwca, woda była jeszcze bardzo zimna. Cris prawie nie czuł nóg, docierał do niego tylko przeszywający ból zmęczonych mięśni.

Wiatr zmienił kierunek i uderzył go w twarz. Zza najbliższej

skąły w stronę błękitnego nieba wznosiło się pasemko dymu. Tam musiał być jakiś dom, plaża albo przystań. Płyn, powiedział sobie Cris. Nie zważaj na ból. Zbierz resztki sił i płyn. Jeśli nawet piątemu markizowi Avenmore przyjdzie zakończyć życie w morzu, to na pewno nie z powodu beznadziejnej miłości czy z braku charakteru.

Stracił poczucie czasu. Resztkami świadomości wiedział, że nie uda mu się już wiele dłużej utrzymać na powierzchni. Podniósł ciężką jak z ołowiu głowę. Brzeg był już niedaleko. Fale rozbijały się o piasek plaży. Przez przesycone solą powietrze przebił się zapach palonego drewna i dzikiego czosnku. To nie był miraż.

Choć to właśnie podpowiadał mu rozsądek, kiedy zobaczył kobietę zanurzoną po pas w wodzie, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona.

- Trzymaj się! - krzyczała do niego.

Syrena... W następnej chwili jego ciało poddało się, bezwładne nogi pociągnęły go w dół. Znów poszedł pod wodę i zachwiało się, gdy stopy uderzyły o piasek. Resztkami sił udało mu się stanąć. Syrena z wyciągniętą ręką szła w jego stronę. Woda wydawała się ciężka, nogi poruszały się frustrująco powoli, jak w złym śnie. Czuł piasek przesypujący się pod stopami. Odpływ zaczął ściągać go do tyłu, ale Cris nie poddawał się.

Zrobił krok w stronę nieznajomej, potem następny, a potem jeszcze cztery. Wyciągnęła do niego ręce. Jeszcze jeden krok i pochylił się do niej, opierając dłonie na jej ramionach, żeby nie stracić równowagi. Odrętwiałe palce dotknęły gorącej skóry. Oczy miała brązowe tak jak włosy. Zauważył na jej nosie piegi.

Żył. Pochylił głowę, drżącymi rękami przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Bez oporu oddała mu pocałunek. Poczul smak kobiety, życia i nadziei, smak soli i pulsowanie krwi w miejscu, gdzie jego dłoń dotykała jej szyi.

Fala uderzyła go w plecy i przewróciła oboje. Syrena podniosła się i wyciągnęła do niego ręce, ale on też już stał. Pocałunek wlał w niego nowe siły, dał mu nową nadzieję.

Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- To ciebie trzeba podtrzymywać, a nie mnie - zaprotestowała.

Razem wyszli na twardy piasek plaży, a po chwili znaleźli się na trawie i dopiero wtedy nogi się pod nim ugięły. Osunął się na ziemię i stracił przytomność.

Tamsyn patrzyła na mężczyznę leżącego u jej stóp. Nagi jak Adam, blady, wysoki, pięknie umięśniony. Mokre włosy przyklejały się do głowy, twarz zastygła w maskę wyczerpania i determinacji. Wyglądał jak morski bóg wyrzucony ze swojego żywiołu.

Wszyscy mieszkańcy wybrzeża doskonale wiedzieli, jak należy postępować z niedoszłymi topielcami. Tamsyn bez wahania nakryła go ręcznikami i dołożyła jeszcze własny płaszcz. Okryła się halką i biegnąc w górę ścieżką, która po lewej stronie mijała trawnik przed domem ciotki, a po prawej ostre urwisko Stib's Head, zaczęła wołać o pomoc.

- Panno Tamsyn? - Ogrodnik Johnny wyszedł zza szopy na drewno i na jej widok upuścił naręcze polan. - Co się stało?

Tamsyn oparła się o słupek bramy, z trudem łapiąc oddech.

- Idź po Michaela i po nosze. Na brzegu leży człowiek, który omal nie utonął. Jest wyziębiony. Przynieście go tutaj, tylko go nie odkrywajcie. Szybko.

Wpadła do kuchni. Kucharka ciotki podniosła głowę.

- Przyrowadź panią Tape. Powiedz, że potrzebne nam koce i gorące cegły. Niech je zanieś do pokoju kąpielowego.

Zwolniła nieco kroku, żeby nie zaalarmować ciotek, i otworzyła drzwi pomieszczenia. Ciotka Rosie, z ustami mocno zaciśniętymi z bólu, zbliżała się do swojego fotela, prowadzona z sypialni przez ciotkę Izzy i pokojówkę Harris. W wielkiej wannie parowała woda. Ciotka Rosie cierpiała na zwyrodnienie stawów i dwa razy dziennie brała gorące kąpiele.

Wszystkie trzy kobiety utkwili wzrok w Tamsyn.

- Tamsyn, moja droga, gdzie twoje ubranie? - zdumiała się ciotka Izzy.

- Służba niesie tu mężczyznę z plaży. Trzeba go rozgrzać. - Tamsyn włożyła ręce do wody i skrzywiła się. - Za gorąca. Wy-

puszczę trochę i doleję zimnej. – Wyciągnęła korek i odkręciła kran. – Przepraszam, ciociu Rosie, ale on umrze, jeśli szybko czegoś nie zrobimy. Jeszcze nigdy nie widziałam tak wyziębionego człowieka. Posłałam kucharkę po panią Tape i po koce. Będziemy musiały położyć go tutaj.

– Naturalnie. Izzy, Harris, zostawcie mnie i pomóżcie pannie Tamsyn. – Rosie jak zwykle okazała się bardzo praktyczna. – Gorące cegły i ręczniki. Ogrzejcie je przy piecu, a potem rozłóżcie na łóżku. Gdy wystygną, zmieniajcie na nowe. – Twarz ciotki ożywiła się. – Biedny człowiek. Pewnie jakiś rybak.

– Podgrzeję bulion wołowy. – Kucharka zatrzymała się w drzwiach. – Idą już. Widzę, że to duży mężczyzna.

Johnny i Michael najwyraźniej posłali po pomoc, bo jeden róg noszy trzymał Jason, chłopak stajenny, a drugi dźwigali pospołu służąca Molly i mały, chudy Peter, pomocnik do wszystkiego. Ułożyli nosze na podłodze i Tamsyn jeszcze raz sprawdziła wodę, po czym ściągnęła z nieznajomego ręczniki i płaszcz.

Ciotka Izzy pisnęła, kucharka wstrzymała oddech, a Molly wymamrotała:

– O mój Boże!

– Na litość boską, mam nadzieję, że nie dostaniecie waporów. Nigdy nie widziałyście nagiego mężczyzny? – Tamsyn uświadomiła sobie, że ciotki pewnie nie widziały. Kucharka i Molly prowadziły ożywione życie towarzyskie, a ona sama... – Podnieście go i włóżcie do wody.

Gdy mężczyźni wkładali go do wielkiej wanny, nieznajomy oprzytomniał.

– Co, do diabła? – zaklął i rozchylił zaczerwienione od soli powieki. – To boli! – Skupił wzrok na Tamsyn i jego dłonie pod wodą poruszyły się niespokojnie, gdy próbował zakryć swoją nagość.

– Pan też? – westchnęła i wrzuciła do wody duży ręcznik. – Nie ma najmniejszego znaczenia, że jest pan nagi. Nikt się nie przygląda.

– Przepraszam za język – wymamrotał spierzchniętymi ustami, po czym znów przymknął oczy i zacisnął usta.

– To też nie ma znaczenia. Wiem, że boli, ale musimy pana

rozgrzać.

Nieznajomy szybko skinął głową. Tamsyn włożyła ręce do wody, znalazła jego prawą dłoń i zaczęła ją rozcierać.

- Molly, zajmij się drugą ręką. Harris, czy mogłabyś odprowadzić pannę Pritchard do jej pokoju? Ciociu Izzy, ty też lepiej idź.

- Nonsens. Zostaniemy tutaj - odrzekła ciotka Rosie rzeczowo. - Johnny, jedź po doktora Tregartha.

- Nie potrzebuję... - wymamrotał Cris.

- Cicho bądź, młody człowieku. Rób, co ci każemy, i nie trać sił.

Tamsyn napotkała rozbawione spojrzenie Molly. Nieznajomy miał około trzydziestu lat i z pewnością już od dawna nikt nie zwracał się do niego jak do krnąbrnego ucznia. Był bardzo przyzwoity; rysy twarzy miał surowe, a włosy bardzo jasne. Tamsyn pochyliła się przy wannie i odnalazła jego stopy. Drgnął i zgiął nogi w kolanach, wychlapując wodę.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że ma pan łaskotki. Czy zniesie pan trochę więcej gorącej wody?

- Tak. I nie mam łaskotek - mruknął. - Po prostu zaskoczyła mnie pani.

Wyraźnie czuł się nieswojo w sytuacji, w której nie miał pełnej kontroli nad własnym ciałem. Podniosła się i wyciągnęła rękę do kranu z gorącą wodą. W chwili, gdy pochylała się tuż nad nim, otworzył oczy i Tamsyn uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko płócienną koszulę, która przykleiła się do mokrego ciała, a oprócz nieznajomego w pokoju jest jeszcze kilku służących, wśród nich chłopak, który z całą pewnością nie powinien widzieć najmłodszej w domu damy w takim stanie. Doląła gorącej wody i zdobywając się na swobodę, podniosła z podłogi płaszcz.

- Pójdę się przebrać w coś cieplejszego. Rozcierajcie mu dłonie i stopy. O, pani Tape, już pani jest. Proszę pościelić na kanapie i nagrzać pościel. Zaraz wrócę.

Wyszła na pozór zupełnie spokojnie, choć w gruncie rzeczy uciekała. Ręce jej drżały, gdy zdejmowała koszulę. Szybko przetarła ciało gąbką, czyszcząc je z soli i nie zważając na to, że rozchlapuje wodę. Włosy, zawsze kręcone i niesforne, nie pozwala-

ły się rozczesać.

Nieznajomy być może nie będzie pamiętał, że wrzucono go, zupełnie nagiego, do wielkiej wanny z ciepłą wodą na oczach licznej publiczności, ale z pewnością przypomni sobie gorący, nieskrępowany pocałunek. Bóg jeden wie, co go do tego skłoniło. Będzie miał szczęście, jeśli nie dostanie zapalenia płuc i tym należy się martwić. Cóż z tego, że Tamsyn poczuła pożądanie na widok zupełnie obcego mężczyzny. W końcu miał piękne ciało, a nie była przecież z kamienia.

Włożyła zwykłą roboczą suknię, bez dekoltu i z rękawami do łokcia, splotła włosy w warkocz, przypięła go do głowy szpilkami i zakryła czepkiem. Doskonale, pomyślała, spoglądając w lustro. Kobieta w czepku nie może mieć nieodpowiednich myśli.

Gdy wróciła do pokoju kąpielowego, na kanapie piętrzyły się już poduszki, ręczniki i pledy. Pani Tape owijała cegły flanelką, ciotki wycofały się za parawan, a Molly, z rękami po łokcie w wannie, rozcierała stopy obcego z entuzjazmem, który w oczach Tamsyn wydawał się nieco przesadny.

- Wystarczy już, Molly. Teraz musimy przenieść pana na kanapę.

- My? - wychrypiał i znów rozchylił powieki, pod którymi błyszczały oczy niebieskie jak zimowe niebo.

- Jason, Michael, pomóżcie położyć pana na kanapie. Molly, uciekaj za parawan.

Tamsyn skrzywiła się, patrząc na ciotki. Ciotka Izzy wydawała się zainteresowana, choć ciekawość Izzy wzbudzało wszystko, od zwyczajów godowych ślimaków po sposoby przygotowywania dżemu. Na twarzy ciotki Rosie odbijała się mieszanka rozbawienia i troski.

- Czy mówił coś, kiedy mnie tu nie było? - zapytała Tamsyn szeptem. Za plecami słyszała plusk wody, pochrząkiwania i stłumione przekleństwa.

- Nic - odszepnęła ciotka Izzy. - Tylko kiedy dolałyśmy gorącej wody, wypowiedział kilka słów w jakimś obcym języku, którego nie znamy. Brzmiało to jak przekleństwo.

- Może to cudzoziemiec?

- Nie sądzę. - Ciotka Rosie podsunęła okulary wyżej na nosie.

- Wygląda na Anglika i z pewnością jest dżentelmenem, a nie rybakiem. Bóg jeden wie, co robił w zatoczce. Przypomina mi upadłego anioła. Taki jasny i surowy.

- Ilu znasz aniołów, moja droga? - zakpiła ciotka Izzy. - I czy wszyscy są Anglikami?

- Właśnie tak zawsze sobie wyobrażałam anioły. Choć muszę przyznać, że brakuje mu skrzydeł, piór i ognistego miecza, a poza tym w tej chwili nie jest w najlepszej formie.

- Zechcą mi panie wybaczyć. Dżentelmen jest już w łóżku. - Michael wyłonił się zza parawanu z naręczem mokrych ręczników. - Przyniosłem mu jedną z moich własnych nocnych koszul. Pewnie przywykł do czegoś lepszego, ale w każdym razie jest czysta.

- Doskonale. Dziękuję ci, Michael. A teraz bardzo proszę, wypuść wodę z wanny i napełnij ją na nowo dla panny Pritchard. Otoczmy łóżko parawanem, żeby zapewnić obydwójgu prywatność.

- Nie ma już gorącej wody, panno Tamsyn. Jason poszedł podłożyć pod bojlerem.

- W takim razie zaprowadź mnie do saloniku. - Ciotka Rosie oparła wykreconą dłoń na ramieniu lokaja. - Nasz gość z pewnością chciałby odpocząć w spokoju.

Tamsyn zostawiła Izzy i Molly przy ciotce Rosie, poprawiła czepek i poszła sprawdzić, jak się miewa nieznajomy. Gdy podeszła do łóżka, otworzył oczy. Pod plecami miał stertę poduszek, kołdra była podciągnięta pod samą szyję.

- Dziękuję - powiedział uprzejmie, ale w jego oczach błyszczała złość.

- Niech pan nie próbuje mówić. Widać, że sprawia to panu ból. Czy dostał pan coś do picia? Proszę skinąć głową.

Skinął. Tamsyn zauważyła dzbanek stojący na krawędzi wanny i powąchała zawartość. W środku była brandy rozcieńczona wodą.

- Kiedy poczuje się pan odrobinę lepiej, kucharka przyniesie panu bulion. Proszę się napić. Czy może pan utrzymać kubek?

Nieznajomy nie sprawiał wrażenia człowieka, który pozwoliłby się traktować jak inwalida. Zacisnął na kubku długie palce,

które otarły się o jej dłoń. Były chłodne, ale już nie lodowate. Po chwili oddał jej pusty kubek, patrząc na nią z dziwną tęsknotą. Tamsyn ustawiła parawan wokół łóżka i rozejrzała się za ciepłą wodą, żeby przemyć mu oczy.

- Jak się pan nazywa, sir? Ja jestem Tamsyn Perowne, a pozostałe dwie damy to panna Pritchard i panna Isobel Holt.

- Cri... De...

Pochyliła się niżej, żeby zrozumieć jego szept.

- Christopher Defoe? Czy jest pan jakimś krewnym tego pisarza? Bardzo lubię *Robinsona Crusoe*.

Potrząsnął głową w zdecydowanym geście przeczenia.

- Nie? Mniejsza o to. Kimkolwiek pan jest, jest pan mile widzianym gościem w Barbary Combe House. Proszę odpocząć. Niedługo przyjdzie lekarz, a potem przyniosę panu bulion. Zda się zresztą, że lekarz już jest. - Za ciężkimi drzwiami rozległy się podniesione głosy. - I jeszcze ktoś. Co tam się dzieje?

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł doktor Tregarth, mówiąc coś gniewnie przez ramię do mężczyzny, który wdarł się do pokoju za nim.

- Niech pan nie opowiada głupstw, Penwith. Oczywiście, że to nie może być Jory Perowne. Tamten rzucił się z Barbary Head na skały dwa lata temu, na oczach sześciu dragonów i urzędnika skarbowego. Zginął, zanim zdążyli mu założyć pętlę na szyję, i z całą pewnością nie wyszedł teraz z morza.

- Może i tak, ale ten Perowne to był przebiegły drań i nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że tylko upozorował własną śmierć. A ja jestem urzędnikiem odpowiedzialnym za tę okolicę i nie mogę ryzykować.

To był sędzia Penwith. Tamsyn stanęła pośrodku pokoju z rękami na biodrach i wysoko uniesioną głową. Głupi, mściwy, stary cap, pomyślała, udało jej się jednak nie wypowiedzieć tych słów na głos.

- Panie Penwith, zechce mi pan wyjaśnić, jak można skoczyć z sześćdziesięciometrowego urwiska na ostre skały i przeżyć upadek? Bardzo bym chciała to wiedzieć. - Przez ułamek sekundy znów widziała przed sobą bezwładne, roztrzaskane ciało, które zaraz zabrała najbliższa fala. Opanowała drżenie głosu. -

Mój mąż z całą pewnością był przebiegłym draniem, ale nic mi nie wiadomo o tym, żeby potrafił latać.

ROZDZIAŁ DRUGI

A zatem jego syrena w smętnym czepku była wdową. Cris uśmiechnął się mimowolnie i zaraz się skrzywił, gdy zabolął go pęknięty kącik ust. Ale jego rozbawienie zniknęło, gdy ten drugi mężczyzna odezwał się.

- Nie tylko on w tym domu był podejrzany. Nie zdziwiłbym się, gdybyście oboje obmyślili jakąś sztuczkę. I proszę nie patrzeć na mnie z takim wyrazem skrzywdzonej niewinności. Wiem, że przemyt nadal się tu odbywa, a skoro pani mąż nie żyje, to kto się tym zajmuje, co? Proszę mi to wyjaśnić.

- Mówi pan jak głupiec. Na tym wybrzeżu ludzie zajmowali się przemytem, odkąd nauczyli się budować tratwy, na wiele lat przed narodzinami Jory'ego Perowne'a, i z pewnością nie skończyło się to po jego śmierci. - Crisowi podobał się ten czysty głos i jasna logika słów. Pani Perowne mówiła takim tonem, jakby miała przed sobą tępego ucznia.

- Nie nazywaj mnie głupcem, ty...

- Penwith, nie wolno panu traktować w ten sposób pani Perowne - powiedział lekarz.

Sędzia zaklął. Cris odrzucił pled, opuścił nogi i uświadomił sobie, że ma na sobie tylko nocną koszulę sięgającą połowy ud. Z grymasem na twarzy owinął się pledem, przerzucił jeden jego koniec przez ramię, jakby to była rzymska toga, i wyszedł zza parawanu, który na szczęście nie przewrócił się, gdy Cris przytrzymał się krawędzi.

Jego syrena - Tamsyn - obróciła się.

- Panie Defoe, proszę wracać do łóżka - powiedziała zdesperowanym tonem, jakby miała w zupełności dosyć całego męskiego rodzaju. Nie mógł jej za to winić.

- Za chwilę, droga pani.

Obydwaj mężczyźni spojrzeli na niego. Jeden był młody, wysoki i chudy, w ręku trzymał skórzaną torbę. Lekarz. Drugi,

w średnim wieku i w staroświeckiej peruce, wyglądał jak kierownik szkoły.

- Sir, użył pan grubiańskiego języka w obecności damy. Proszę za to przeprosić i wyjść. Sądzę, że nasz dobry doktor nie musi panu wyjaśniać, na czym polega różnica między mną a człowiekiem, który nie żyje już od kilku lat. - Głos miał ochrypły, oczy zapuchnięte, ale mimo to patrzył na tamtego z góry i w jego tonie dźwięczała wyniosłość.

Zgodnie z przewidywaniami urzędnik poczerwieniał i zaczął coś niepewnie bąkać.

- Proszę się tak do mnie nie odzywać, sir. Spotkamy się...

- O świcie na jakiejś stosownej łące? - Przyjaciele często powtarzali Crisowi, że jego ton bywa irytująco wyniosły, i wiedział, że tak właśnie brzmi w tej chwili.

- Panie Penwith, mój mąż był niski, miał czarne włosy, brązowe oczy i brakowało mu kawałka prawego ucha. Widzi pan chyba, że pan Defoe jest wyższy, ma zupełnie inny kolor włosów i posiada obydwójce uszu w całości, może zatem zechciałby pan wyjść, zanim ośmieszy się pan jeszcze bardziej. - Tamsyn Perowne, z zaróżowioną twarzą i brązowymi lokami wymykającymi się spod tego nedorzecznego czepka, nie przypominała królowej Boudiki, ale i tak wyglądała wspaniale.

Cris usztywnił nogi w kolanach, z całych sił trzymając się parawanu. Gdy w końcu urażony urzędnik wyszedł, pozwolił lekarzowi podtrzymać się i znowu położyć. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa, całe ciało przeszywały bolesne ukłucia. W tej chwili marzył tylko o wypiciu butelki brandy i przespaniu miesiąca.

- Proszę zostać po tamtej stronie parawanu, pani Perowne - powiedział lekarz. - Muszę sprawdzić, czy nasz rozbitek nie ma jakichś złamanych kości. - Nie zważając na przekleństwa, które pacjent mamrotał pod nosem, zaczął obmacywać jego nogi.

- Nie mam żadnych złamań. Za daleko wypłynąłem, pochwycił mnie prąd i omal nie utonąłem. Poza tym nic mi się nie stało. Jestem durniem, a nie rozbitek.

- Skąd pan wypłynął? - Tregarth podciągnął jedną jego powiekę, a potem drugą.

- Z Hartland Quay.

- Przyplłynął pan stamtąd, potem wyrwał się pan z prądu i trafił do tej zatoki? Na Neptuna, sir, jest pan doskonałym pływakiem. - Lekarz wyjął z torby jakieś drewniane urządzenie w kształcie stożka i oparł szerszy koniec na piersi Crisa, a do drugiego przyłożył ucho. - Płuca są czyste. Z całą pewnością przez dzień czy dwa będzie się pan czuł paskudnie i wszystko będzie pana bolało, ale nie widzę żadnych poważniejszych obrażeń - stwierdził i nakrył pacjenta pledem. - Może pani już tu przyjść, pani Perowne. Jeśli się to pani uda, proszę jutro dopilnować, żeby pacjent nie wstawał z łóżka. Nakarmić go, sprawdzić, czy ma ciepło, pozwolić spać i posłać po mnie, gdyby wdała się gorączka. Teraz pana pożegnam, panie Defoe.

- Nie jestem... - Nie jestem Defoe, pomyślał Cris. Nazywam się Anthony Maxim Charles St. Crispin de Feaux, markiz Avemore. Ale nie miał przy sobie wizytówki ani pieniędzy, a nawet bryczesów, przez co niewiele w nim pozostało arystokratycznej godności. Tamsyn, czyli pani Perowne, nie dosłyszała jego nazwiska. Rodzina zawsze wymawiała je z francuska, ale Cris po wypiciu połowy Atlantyku nie był w stanie mówić wyraźnie.

Doktor odszedł, a Tamsyn stanęła u stóp łóżka z rękami skrzyżowanymi w pasie i włosami nakrytymi czepkiem. W tej chwili zupełnie nie wyglądała na kobietę, która mogłaby nazwać urzędnika głupcem albo pocałować na plaży obcego nagiego mężczyznę. Mógł jej powiedzieć, że ten pocałunek zapewne uratował mu życie, sądził jednak, że nie spotkałoby się to z przychylnym przyjęciem.

- Za chwilę dostanie pan bulion, panie Defoe.

Postanowił jeszcze przez jakiś czas pozostać przy tym pospolitym nazwisku. Tak było prościej, a poza tym nie miał zamiaru rozgłaszać swojej lekkomyślności po całym świecie. Skinął głową z podziękowaniem.

- Dokąd mamy posłać, żeby dać znać, że jest pan bezpieczny? Pańska rodzina z pewnością będzie się niepokoić. - Wyjęła tacę z rąk kucharki i postawiła na jego udach. - Proszę przełykać powoli. Bulion złagodzi ból gardła i wzmocni pana.

Cris przywykł do tego, że kobiety robią wiele zbędnego za-

mieszania przy łóżku chorego, i przygotował się już na opór w razie, gdyby zechciała karmić go osobiście, ale pani Perowne uznała, że jednak poradzi sobie sam.

- Jestem w podróży - wymamrotał między jedną łyżką a drugą. - Mój pokojowy został w Hartland Quay razem z powozem.

- Zatem może panu przywieźć jakieś ubrania. - Napotkała jego spojrzenie i uśmiechnęła się. - Wygląda pan wspaniale w todze, sir, ale nie jest to odpowiedni strój na wiatry Devonu.

Czy naprawdę pocałował ją na brzegu, czy tylko mu się wydało? Nie, to się zdarzyło naprawdę. Przypominał sobie jej gorące ciało przy swoim ciele, usta rozchylające się pod jego ustami, gładki język i czuł się podwójnie winny - po pierwsze dlatego, że rzucił się na nieznaną kobietę, a po drugie, że był w stanie myśleć o kimś innym oprócz Kateriny. Skupił się na poczuciu winy, bo to było dla niego nowe uczucie. Wolał rozmyślać o tym niż o ciele, które wcześniej widział nagie, a teraz przykryte było warstwami praktycznej bawełny.

- Zostanie pan w łóżku i będzie odpoczywał, tak jak zalecił lekarz?

Cris skinął głową. Nie miał ochoty znów robić z siebie durnia i ryzykować, że gdy wstanie z łóżka, nogi odmówią mu posłuszeństwa. Jutro poczuje się lepiej i może uda mu się rozsądnie zastanowić nad sytuacją.

- Dobrze.

Skinęła głową i zabrała tacę. Zauważył, jak silne są jej smukłe ramiona widoczne pod podwiniętymi rękawami. Pływała wystarczająco dobrze, by poważić się na wejście do morza bez opieki. Mógłby się również założyć, że potrafi jeździć konno.

- Wiem, że jest pan uparty, bo widziałam, jak próbował pan sam dojść do domu zamiast czekać tam, gdzie pana zostawiłam. Chłopcy mówili, że niemal się pan czołgał.

- Dotarłbym tutaj. Gdyby nie osłabiło mnie nasze spotkanie w morzu, byłbym nawet w stanie iść. - Natychmiast pożałował, że to powiedział. Lord Avenmore rzadko musiał przeproszać, ale pan Defoe najwidoczniej miał grubiańskie usposobienie i bardziej jowialne poczucie humoru niż markiz.

- Spotkanie, mówi pan. - W jej oczach pojawił się błysk, a na

policzkach rumieniec. – To, mój biedaku, było ratowanie topielca. Tu na wybrzeżu często musimy to robić. Przyniosę panu pióro i papier.

A zatem to załatwiało sprawę przeprosin. Zdawało się, że pani Perowne nie jest zwykłą wiejską damą. Jej świętej pamięci mąż również z opisu nie przypominał wytwornego ziemianina. Miejscowy sędzia chciał go powiesić, a wdowa nazwała go przebiegłym draniem. Ten wiejski kołek bardzo niegrzecznie wyrażał się o śmierci jej męża, ona jednak odpowiedziała mu ostro i z godnością.

Zadziwiająca pani Perowne wróciła z podkładką do pisania. W drugiej ręce trzymała miseczkę.

– Przemyję panu oczy. Wydają się zaognione.

Cris był pewien, że w ogóle wygląda okropnie. Włosy już mu wyschły, skórę miał jak przetartą papierem ściernym, a oczy z pewnością czerwone i zmrużone w dwie szparki. Poza tym powinien się ogolić. Wolał nie myśleć, co powiedzieliby jego znajomi, gdyby go teraz zobaczyli. Albo Collins, pokojowy, który był dumny ze swoich umiejętności i bardzo nie lubił, gdy jego pan nie wyglądał jak wcielenie doskonałości.

– Proszę dać mi tę miseczkę. Sam je przemyję – odparł, próbując ocalić resztki godności.

– Proszę bardzo. – Położyła podkładkę na krześle obok łóżka, podała mu miseczkę i zaciągnęła parawan. – Moja ciotka cierpi na silne bóle reumatyczne. Wkrótce będzie brała gorącą kąpiel. Postaramy się panu nie przeszkadzać.

– Pani Perowne...

Popatrzyła na niego nad skrajem parawanu.

– Tak, panie Defoe?

– To jest pokój kąpielowy pani ciotki. Zająłem jej kanapę. Powinienem się przenieść.

– Proszę tego nie robić, bo tylko ją pan zdenerwuje. Ona bardzo się o pana martwi. – Naraz rzuciła mu szczery, otwarty uśmiech. Cris rzadko widywał takie uśmiechy na twarzach wyrefinowanych dam z towarzystwa, z którymi spędzał ostatnio wiele czasu. – Proszę tu odpoczywać i powściągnąć zbędne rycerskie impulsy. Później znajdziemy panu inny pokój.

Zbędne rycerskie impulsy. Ta mała kotka widocznie nie przywykła do dżentelmenów. Cris wycisnął szmatkę i przetarł oczy. Po chwili klucie ustąpiło. Odstawił miseczkę i sięgnął po przybory do pisania. Za parawanem dostrzegł jakiś ruch. Nalano wody do wanny i w górę uniosła się para. Dom położony był na krańcu świata i jego mieszkańcy nie zwracali sobie głowy przestrzeganiem oficjalnych form, ale z całą pewnością mieli instalacje sanitarne lepsze niż w którymkolwiek z jego domów.

Skupił się na liście, próbując nie słuchać tego, co mówiły panna Pritchard i panna Holt. Collins był raczej zaufanym asystentem niż pokojowym i Cris mógł liczyć na jego dyskrecję.

- Pani Perowne, czy mogłaby pani poświęcić mi chwilę?

Podeszła, zaróżowiona od parującej wody, z wilgotnymi kosmykami włosów na czole.

- Jakich wskazówek mam udzielić mojemu służącemu, żeby mógł odnaleźć ten dom?

- Barbary Combe House, Stibworthy. Jeśli zapyta w wiosce, każdy go tu skieruje.

- Dziękuję.

Zapłać rachunek i przewieź rzeczy do Barbary Combe House, Stibworthy. Nie pytaj w wiosce o pana Defoe, bo przyplłynąłem wpław i nikt mnie tu nie zna. Przyrowadź również odpowiedni powóz.

C. Defoe

Collins z pewnością zauważy, co trzeba. Podróżny powóz Crisa, wygodny i luksusowo wykończony, miał na drzwiach herb, który należało zasłonić. Już w Hartland Quay zapanowało poruszenie, gdy markiz zatrzymał się w przybrzeżnej gospodzie, Cris miał jednak nadzieję, że pogłoski nie rozprzestrzeniły się zbyt szeroko.

Złożył list, zaadresował i znalazł w pudełku kawałek wosku do pieczętowania, a gdy już wszystko było gotowe, rozluźnił się. Rada doktora była dobra, mimo to Cris zamierzał zaraz po przybyciu Collinsa oddalić się od niepokojącej pani Perowne i wrócić do Londynu, do zwykłego życia, od którego wcześniej próbo-

wał uciec.

Przymknął oczy i starał się zasnąć. Dokoła panowała cisza, przerywana tylko krokami służącej, która sprzątała pokój. Choć był wyczerpany, nie potrafił utrzymać oczu zamkniętych. Wpa-trywał się w sufit. Zawsze potrafił zasnąć, gdy tego potrzebo-wał - to była tylko kwestia woli - zdawało się jednak, że ostat-nio nie jest w stanie zdobyć się na dyscyplinę. Nie miał nawet tyle trzeźwości umysłu, by w porę uświadomić sobie, że może się utopić. Wykonywał poufne misje dla rządu, dyskretnie pro-wadził dyplomatyczne negocjacje, w razie konieczności ucieka-jąc się do niekonwencjonalnych środków, a w tej chwili nie był-by w stanie rozstrzygnąć nawet sporu dwóch woźniców w go-spodzie.

Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył Katerinę, hrabinę von Stadenburg, żonę pruskiego dyplomaty przy duńskim dworze. Drobna blondynka o niebieskich oczach, subtelna i inteligentna, bardzo mu się spodobała i on jej rów-nież. Widział to w jej oczach, rozpoznawał po drobnych, niemal niedostrzegalnych gestach: po tym, jak leciutko muskała man-kiet jego koszuli, jak jej but ocierał się o jego but pod stołem przy kolacji, po trzepotaniu wachlarza.

Świadczył o tym ich jedyny pocałunek.

Ale Katerina była mężatką, a on przedstawicielem Korony brytyjskiej. Nawet gdyby chciała, romans z nią pozbawiłby ją honoru, a jego naraził na dyplomatyczną katastrofę. Poza tym Cris nie chciał romansu, chciał się z nią ożenić, a to było nie-możliwe. Poczucie honoru, obowiązku i szacunku pozostawiało mu tylko jedną drogę działania: zakończył swoje interesy naj-szybciej, jak mógł, i wyjechał pod zazdrosnym spojrzeniem męża. Pożegnał się z nią obojętnie, jakby była po prostu kolejną żoną dyplomaty, której niemal nie zauważał.

Panował nad sobą doskonale, podobnie jak ona. Tylko jej oczy, pociemniałe z cierpienia i rezygnacji, zdradzały prawdę. Żałował, że w nie spojrział. Wolałby słyszeć tylko jej chłodny głos.

- A zatem opuszcza pan dwór, lordzie Avenmore? Życzę panu bezpiecznej podróży. Chodź, Heinrich, bo spóźnimy się na kon-

cert.

W końcu przymknął oczy. Dźwięki domowego życia dokoła niego zaczęły się zacierać, a oczy, które widział w wyobraźni przed zaśnięciem, nie były niebieskie, lecz brązowe.

- Michael, daj to Jasonowi i powiedz, że ma natychmiast pojechać do Hartland Quay i odnaleźć służącego pana Defoe.

- Czy on już śpi? - Ciotka Izzy podniosła głowę znad wazonu, w którym układała kwiaty.

- Tak mocno, że przez chwilę obawiałam się, że nie oddycha.
- Tamsyn zamknęła drzwi salonu i poprawiła podpórkę pod książki przed ciotką Rosie. - Był bardzo wyczerpany. Nawet przy dobrej pogodzie i ciepłej wodzie przepłynięcie takiej odległości wymagałoby mnóstwa siły. A teraz, gdy jest tak zimno, to cud, że udało mu się przeżyć.

- Zapewne jest bardzo zdrowy i sprawny. - Ciotka Rosie uniosła głowę znad książki. - Wydajesz się zdenerwowana, Tamsyn. Czy ten przeklęty Penwith znów cię wyprowadził z równowagi, mówiąc o Jorym?

- To głupiec. Nasz drogi Jory był sprytnym człowiekiem, ale nawet on nie potrafił latać. Owszem, ten dureń zirytował mnie swoim grubiaństwem i zupełnym brakiem wyobraźni. - Tamsyn energicznie opadła na siedzenie przy oknie i popatrzyła na trawnik ciągnący się w stronę wybrzeża. Morze w słońcu wydawało się gładkie i niebieskie, skrywało swoje prądy i ostre pazury pod przykrywką spokoju. Jory od dziecka znał wszystkie jego niebezpieczeństwa i zdecydował się zakończyć życie w jego fałach. Objęła kolana ramionami.

- Pan Penwith nie pomógł nam w żadnych naszych kłopotach. Nie wiem, czy jego zdaniem słusznie cierpimy za grzechy mego świętej pamięci męża, czy też nienawidzi mnie osobiście i dlatego nie zwraca uwagi na przestępstwa popełniane przeciwko nam.

- Albo po prostu jest leniwym głupcem - dodała ciotka Rosie cierpko. - Ktoś podpalił stóg? To na pewno tylko psoty miejscowych łobuziaków. Krowy uciekły przez żywopłot? Zapewne pastuch ich nie dopilnował. Pułapki na homary przez cały tydzień

są puste? Widocznie nasi rybacy do niczego się nie nadają. Do-
prawdy, czy on uważa, że wszystkie jesteśmy głupie?

- Uważa nas za kobiety, moja droga Rosie - odrzekła ciotka
Izzy, zamierzając się sekatorem na liść paproci, któremu nic nie
można było zarzucić. - A do tego kobiety, które żyją bez opieki
mężczyzn, co dowodzi, że jesteśmy lekkomyślne albo mamy źle
w głowie.

- Może ktoś mu płaci za to, żeby zaniewidział? - Tamsyn nie
wspominała o tej możliwości wcześniej, bo nie chciała martwić
ciotki Izzy. Nawet teraz nie wyjaśniła, kogo ma na myśli.

- Płaci? Masz na myśli mojego bratanka Franklina? - domyśli-
ła się Izzy.

- On chciałby nas stąd wypędzić.

- Tak. Do tego ciasnego domku w jego posiadłości, gdzie jego
zdaniem byłybyśmy bezpieczne i gdzie mógłby nas mieć na oku.
Zupełnie jakby miał do czynienia z trójką dzieci albo wariatek.
Ten chłopak to sęp, Isobel - parsknęła Rosie z zaskakującą
gwałtownością u tak kruchej istoty. - Chce przejąć ten dom.
Chce Barbary.

- No cóż, i tak go nie dostanie. Zgodnie z testamentem ojca
mam prawo tu mieszkać do końca życia. A zostało mi go jeszcze
dobre trzydzieści lat, więc Franklin będzie musiał się nauczyć
cierpliwości. - Izzy odstawiała wazon na szafkę. - Nic nie wskóra
przez te głupie dziecinne gierki.

O ile będą to tylko głupie dziecinne gierki, pomyślała Tamsyn,
choć podobał jej się opór ciotki. Oparła brodę na kolanach
i wpatrzyła się w morze za oknem. Dlaczego lord Chelford miał-
by zadawać sobie tyle kłopotu z powodu tak niewielkiej posia-
dłości? Nie miał do tego innych powodów, jak tylko zwykła
przekora oraz złość, że cioteczny dziadek wraz z tytułem nie
pozostawił mu wszystkich swoich włości. Franklin był chciwy
i zepsuty. Zapewne wkrótce znudzi mu się ta zabawa i wróci do
swojego próżniaczego życia w Londynie.

Dziwne jednak było, że dopiero teraz zaproponował przepro-
wadzkę ciotce i jej towarzyszcze. Ciotka Izzy uzyskała prawo do
dożywotniego zamieszkiwania w Barbary Combe oraz używania
całego domu wraz z zawartością po śmierci ojca, poprzedniego

lorda Chelford. Ojciec Izzy zmarł przed pięciu laty, ona sama zaś mieszkała tu wówczas już od dziesięciu lat.

ROZDZIAŁ TRZECI

W cichych dźwiękach rozlegających się dokoła łóżka było coś znajomego. Nie otwierając oczu, Cris wciągnął w nozdrza zapach wypolerowanej skóry i rumowej wody kolońskiej.

- Collins?

- Słucham, sir?

Cris rozchylił powieki i obrócił się na plecy, po czym zaklął gwałtownie. Collins nawet nie mrugnął okiem.

- Mięśnie pana bolą, sir?

- Z nadmiernego wysiłku. - Cris oparł się o poduszki. - Czuję się tak, jakbym miał w nich tłuczone szkło.

- Masaż - oznajmił Collins, ignorując reakcję pana na tę groźbę kolejnych tortur. - Rozpakowałem pańskie rzeczy w pokoju na górze. Łóżko jest już przygotowane. Pomyślałem, że zapewne zechce się pan tam przenieść jeszcze przed zmrokiem. Jest już piąta po południu. Damy są teraz w salonie.

Collins nie był zwykłym pokojowym. Potrafił odczytywać szyfry, znał pięć języków i doskonale rzucał nożem, a do tego potrafił doprowadzić markiza Avenmore do stanu doskonałości przed każdą okazją towarzyską. Teraz odsunął ciężką jedwabną kołdrę i czekał cierpliwie, gdy jego pan, klnąc pod nosem, gramolił się z łóżka. Skrzywił się jednak na widok pożyczonej koszuli nocnej.

- Przyniesiono mnie tu przez cały dom i wrzucono do wanny zupełnie nagiego w obecności wszystkich mieszkających tu kobiet. - Cris wsunął ramiona w rękawy szlafroka i pozwolił, by Collins zawiązał pasek. - Uznałem, że grzeczność wymaga, bym czymś się okrył. - Im dłużej o tym myślał, tym bardziej zenująca wydawała mu się cała sytuacja. Nie wstydził się własnego ciała, ale to, że wrzucono go do wody zupełnie nagiego, jak na wpuł ogłuszoną rybę, na oczach gromadki niezamężnych kobiet, wydawało się w złym tonie.

Służący wymamrotał coś o otwartych drzwiach stajni i uciekających koniach, po czym rzucił na podłogę skórzane kapcie bez pięt.

- Czuję się tak, jakbym miał sto cztery lata - mruknął Cris, kuśtykając do drzwi.

- Sądzę, że żaden stulatek nie dopłynąłby aż tak daleko. - Collins otworzył przed nim drzwi, ale taktownie nie podał mu ramienia. - Na górze. Pierwsze drzwi na prawo, sir.

- Wiem, że tylko idiota mógł dopłynąć aż tutaj. - Crisowi udało się wejść na schody bez potknięcia. Na każdym stopniu kłął po rosyjsku. - Pewnie przypuszczałeś, że się utopiłem?

- Nie widziałem żadnych śladów walki na brzegu w miejscu, gdzie znalazłem pańskie ubranie, sir. - Collins wszedł za nim do sypialni i zamknął drzwi. - Doszedłem zatem do wniosku, że wszedł pan do morza z własnej woli. Przyznaję, że trochę się niepokoiłem, zwłaszcza że wyszedł pan bardzo wcześnie i minęło sporo czasu, zanim zacząłem pana szukać. Pytałem miejscowych rybaków, ale nic nie widzieli. Powiedzieli mi jednak, w którą stronę kierują się prądy, i miałem właśnie zamiar przejechać konno wzdłuż klifu, wypatrując pana, gdy otrzymałem wiadomość.

- Byłem czymś zaabsorbowany - wyjaśnił Cris. Collins odznaczał się niezwykłą dyskrecją, ale nie sposób było zachować przed nim sekret. Łóżko zaścielone było ręcznikami, a lokaj już nalewał sobie olejku na dłonie. Cris z ponurą rezygnacją rozebrał się i położył na brzuchu. - Byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś nie doprowadził mnie do krzyku. W tym domu mieszkają damy.

Collins zabrał się do jego prawej łydki, w okrutny sposób wbijając w nią kciuki.

- Oczywiście, sir. To bardzo interesujące domostwo.

- Pani Perowne jest wdową po człowieku, który wolał rzucić się z urwiska, niż pozwolić, by go zaaresztowano i powieszono za przemyt i podobne przestępstwa.

- Doprawdy, sir? Niezmiernie nowatorskie podejście. Gdyby mógł pan zgiąć nieco kolano? Panna Holt, właścicielka tego domu, wydaje się bardzo miłą damą.

- To ona jest właścicielką? Sądziłem, że to pani Perowne. - Cris znów zobaczył przed sobą brązowe oczy, słodkie usta i poruszył się niespokojnie. Ta myśl była zbyt podniecająca. - Au! Do diabła, człowieku, czy ty próbujesz zapleść te mięśnie w warkocz?

- Przeciwnie, sir, próbuję je rozplątać. - Collins skupił się na drugiej nodze. - Panna Holt powitała mnie w swoim domu. Tak to właśnie ujęła.

Bezlitosny masaż z pewnością był skutecznym antidotum na niestosowne erotyczne myśli. Uśmiechnął się w poduszkę. Tamsyn Perowne oddała mu pocałunek. Pewnie byłaby zbulwersowana i natarłaby mu uszu, gdyby próbował posunąć się dalej. Fantazje o tym, że chętna wdówka pomoże mu zapomnieć o duchu, były tylko fantazjami. Pani Perowne nie była wyrafinowaną damą z wytwornego towarzystwa i cieszyła się szacunkiem w okolicy, on zaś jutro miał zniknąć z jej życia.

Rozległo się stukanie do drzwi i Collins narzucił na plecy Crisa prześcieradło.

- Najmocniej przepraszam. Sądziłam, że pan Defoe jest już w łóżku. - Tamsyn odstawiła tacę na stolik przy oknie, próbując nie myśleć o smukłych stopach, które zdążyła dostrzec, zanim ciało mężczyzny na łóżku okryło prześcieradło. Miała przecież okazję obejrzeć go w całości, dlaczego zatem tak ją wytrącił z równowagi widok jego stóp? - Przyniosłam jeszcze trochę bulionu. - Starala się nie patrzeć na łóżko, ale sypialnia była niewielka, a łóżko ogromne i poza tym nie było tu nic, na czym mogłaby zatrzymać wzrok - chyba że kominiek albo ten skromnie ubrany mężczyzna, który stał obok łóżka z podwiniętymi rękawami koszuli i dłońmi błyszczącymi od olejku. - Nie ma tego dużo i wkrótce będzie kolacja, ale doktor mówił, że trzeba wzmacniać pana Defoe. Poza tym bulion pomoże na gardło.

- Dziękuję pani - odrzekł pokojowy. - Dopilnuję, żeby pan Defoe wypił tę zupę, dopóki jest gorąca.

- Pan Defoe jest tutaj, zupełnie przytomny, i może mówić sam za siebie. - Na dźwięk ochrypłego głosu dochodzącego z łóżka Tamsyn szybko obróciła głowę. Oczywiście miał przymknięte, głowę

opartą na skrzyżowanych ramionach, a wyraz twarzy jak u rzeźby nagrobnej.

- Czy jest panu ciepło? Może rozpale ogień? - Nie zastanawiając się, co robi, dotknęła jego obnażonych ramion nad prześcieradłem, tak jakby sprawdzała ciepłość ciała którejs z ciotek. Ale to nie była ciotka. Pan Defoe uniósł ciężkie powieki, a ona zastygła z palcami na jego gładkiej, chłodnej skórze. - Tak, rozpale ogień. Wydaje mi się, że jest pan chłodny.

- Tak pani sądzi? - zapytał nieco drwiącym tonem.

- Ja się tym zajmę, proszę pani. - Głos pokojowego przywołał ją do rzeczywistości.

- Dziękuję. - Podciągnęła prześcieradło wyżej na ramiona pana Defoe. - Ja tylko... - Niebieskie oczy wciąż na nią patrzyły. - Powinien pan wypić tę zupę, dopóki jest gorąca.

Wycofała się, zbierając resztki godności, i zamknęła za sobą drzwi cicho, lecz stanowczo. Udało jej się nie trzasnąć drzwiami i nie uciec.

- Jak się miewa pan Defoe, moja droga? - zapytała ciotka Izzy.

- Żyje. Jest już trochę cieplejszy i przypuszczam, że wszystko go boli. Ale jego pokojowy chyba wie, co robi, i z pewnością nie dopuści, żeby wdała się gorączka.

- To dobre wiadomości. Pewnie możemy polegać na służącym, że zawiadomi jego żonę i da jej znać, że jest bezpieczny.

- Kogo?

Ciotka Izzy zatrzymała się z ręką na drzwiach bawialni.

- Jego żonę.

- Czyją żonę?

- Pana Defoe. Nie sądzisz, że jest żonaty? Z całą pewnością wygląda bardzo szacownie, kiedy ma na sobie jakieś ubranie. A skoro może sobie pozwolić na tak dobrego pokojowego, to raczej nie brakuje mu pieniędzy. - Przechyliła głowę na bok i dodała: - I zapewne jest już po trzydziestce.

- Pewnie tak, ale niewiele. - Miał ciało młodego, sprawnego mężczyzny, ale była w nim też pewna dojrzałość, jaką zapewne obdarzyło go małżeństwo. Co prawda, Jory po ślubie nie stał się bardziej odpowiedzialnym ani szacownym człowiekiem, ale Jory

od dziecka był nieposkromiony.

- Panno Tamsyn, czy zechciałaby pani przejrzeć zamówienie na pościel, które chcę wysłać jutro? - Przy drzwiach stanęła pani Tape z listą w ręku. - Jeśli jest pani zajęta, możemy to zrobić później.

- Naturalnie. Zrobimy to teraz. - Tamsyn poszła za gospodynią, myśląc, że najlepiej będzie, jeśli skupi się teraz na zawartości bielizniarek. Potem powinna przejrzeć księgi i zdecydować, które owce należy sprzedać. To wszystko zajmie jej czas do kolacji.

Zwykłe, codzienne obowiązki szacownej wiejskiej wdowy. Powinna się cieszyć, że prowadzi takie spokojne, monotonne życie.

- Czy sądzisz, że pan Defoe uzna naszą porę kolacji za staroświecko wczesną? - zapytała ciotka Izzy, popijając swoją wieczorną szklaneczkę sherry.

- Nie wiem. Moim zdaniem siódma to nie jest tak wcześnie, jak kiedyś jadało się na prowincji, ani tak późno jak w mieście. Ale pan Defoe pewnie śpi, a nawet jeśli nie, to dostanie tacę do łóżka, więc nie musimy się zanadto przejmować jego poglądami na ten temat.

- Wydaje mi się, że pan Defoe potrafi się przystosować - zauważyła ciotka Rosie. - Choć nie mam pojęcia, dlaczego tak myślę.

- Zechce pani wybaczyć, panno Holt. - W drzwiach bawialni stanął Jason z kapeluszem w ręku. - Dostałem właśnie wiadomość od Williego Tremayne'a. Tuzin owiec spadł z urwiska przy Striding's Cove.

- Tuzin? - Tamsyn zerwała się na nogi. - Jak to możliwe? Przecież pastwiska są ogrodzone. Willie miał ich pilnować. Czy nic mu się nie stało?

- Nie, Willie jest cały i zdrowy, tylko bardzo zdenerwowany. Jakiś bezpański pies rzucił się na owce, a ogrodzenie w kącie pastwiska było zepsute, choć chłopak, którego Willie przysłał, mówi, że nie ma pojęcia, jak to się mogło zdarzyć, bo wczoraj wieczorem wszystko było w porządku.

- Co to za pies? - Tamsyn pociągnęła za sznurek dzwonka. - W tej okolicy nie ma żadnych bezpańskich psów.

- Nie mam pojęcia, panno Tamsyn. Chłopak mówi, że Willie go zastrzelił i że chyba nie był wściekły. Nie toczył piany z pyska ani nic takiego. Tylko był agresywny.

- Michael! Dobrze, że jesteś. Znajdź Molly i powiedz jej, żeby przygotowała mi strój jeździecki i buty. Jason, osiodłaj moją klacz.

- Wydaje mi się, że nic tam pani nie pomoże, panno Tamsyn. Jest już późno. Kilku ludzi z wioski pomogło Williemu załatać płot i wysłali łódź pod urwisko, żeby sprawdzić, czy da się coś uratować. Zanim pani tam dotrze, będzie już po wszystkim. - Jason wzruszył ramionami i zniżył głos. - Wydaje mi się, że damy nieco się zdenerwowały. Może lepiej będzie, jak pani tu zostanie. Odeślę chłopaka z wiadomością, że przyjedzie pani rano.

Miała ochotę pojechać na urwisko, żeby wyładować złość, ale nic by to nie dało. Musiała się zastanowić.

- Dobrze, Jason, zrób tak.

Gdy wróciła do pokoju, ucieszyła się, że posłuchała rady chłopaka. Poblada ciotka Izzy przyciskała do ust koronkową chusteczkę. Rosie, również blada, kipiała złością.

- To nie był żaden przypadek, tylko kolejna paskudna sztuczka Chelforda. Izzy, ten chłopak staje się coraz bardziej dokuczliwy.

- To nie jest chłopak - parsknęła Tamsyn. - Ma trzydzieści lat, nadmiernie rozwinięte poczucie własności i żadnych skrupułów w zdobywaniu tego, na czym mu zależy. Jeśli to rzeczywiście jego sprawka, to nie jest tylko dokuczliwy, ale staje się po prostu niebezpieczny!

- Kto się staje niebezpieczny, jeśli mogę zapytać?

Pan Defoe stanął w drzwiach. Był ubrany, ogolony i zupełnie przytomny. Oczy miał szeroko otwarte, z głosu niemal zniknęła chryпка, a jego długie ciało oblekał strój, który, jak uznała Tamsyn, musiał być ostatnim krzykiem mody w Londynie, natomiast w tej części Devonu wyglądał egzotycznie: obcisłe pantalone, frak, nienaganna biała koszula i krawat, misternie zawiązany

i spięty prostą szafirową szpilką pasującą do subtelnego haftu na kamizelce.

- Co pan tu robi, panie Defoe? Lekarz kazał panu odpoczywać i nie wstawać do jutra - powiedziała, niegrzecznie się na niego gapiąc.

- Odpocząłem, jest mi ciepło i muszę trochę rozruszać mięśnie. - Wyminął ją i wszedł do pokoju. - Dobry wieczór, panno Holt, panno Pritchard. Dziękuję za zaproszenie na kolację.

Zaproszenie? Jakie zaproszenie? Jedno spojrzenie na ciotki wystarczyło, żeby Tamsyn zawrzała gniewem. Z jakichś sobie tylko znanych powodów zaprosiły go, nic jej o tym nie mówiąc! Powinny pozwolić mu spać!

On tymczasem powolnym, ale pewnym krokiem podszedł do kominka i skłonił się elegancko. Jak można było tego oczekiwać, ciotka Izzy rozpromieniła się, a ciotka Rosie rzuciła mu przenikliwy uśmiech.

- Proszę usiąść, panie Defoe. Doskonale rozumiem pańskie pragnienie, by wyjść z sypialni. Tamsyn, moja droga, może pan Defoe zechciałby przyjąć szklaneczkę sherry albo madery?

- Bardzo chętnie napiję się sherry.

Tamsyn nalała brązowego trunku do najlepszej szklaneczki ciotki Izzy, myśląc, że przynajmniej zastawa stołowa nie przyniesie im wstydu. Dom pełen był małych skarbów, które ciotka Izzy bardzo lubiła. Zdarzało jej się wstawiać bukietki polnych kwiatów do najlepszych kieliszków do wina, a gdy inni protestowali, wzruszała tylko ramionami i mówiła:

- Och. Papa pozwalał mi używać wszystkich naczyń. Jestem pewna, że nie są bardzo wartościowe, a ja lubię używać ładnych przedmiotów.

Pan Defoe przystanął obok fotela.

- Dziękuję - powiedział, przyjmując od Tamsyn szklaneczkę. Gdy przycupnęła na sofie obok Izzy, on również usiadł, z wdziękiem oraz z pewną ostrożnością. Tamsyn przypuszczała, że nadwerężone mięśnie nadal bardzo go bołą i że jest bardziej wyczerpany, niż chciałby to okazać. Dostrzegała w jego szlachetnych rysach ukryte napięcie, zamaskowane siłą woli.

- Muszę zapytać jeszcze raz, kto jest niebezpieczny. Przepra-

szam, że niechcący podsłuchałem, ale skoro tak się stało, nie mogę pozostać obojętny wobec faktu, że, jak się wydaje, potrzebują panie ochrony.

Zapadła cisza. Trzy kobiety przez chwilę spoglądały na siebie i w końcu Tamsyn wyjaśniła:

- Jakiś bezpański pies zaatakował nasze owce i kilka spadło z urwiska.

- Zdaje się, że również zniszczył ogrodzenie. - Pan Defoe obrócił szklaneczkę w palcach. - Utalentowany pies.

Miał dobry słuch albo też przez chwilę stał na schodach, słuchając ich rozmowy. Zapewne jedno i drugie.

- To musiał być zbieg okoliczności. Po prostu zwykły pech - stwierdziła Tamsyn. - Proszę mi powiedzieć, panie Defoe, czy pochodzi pan z wiejskich okolic?

- Posiadam trochę ziemi - przyznał i w jego wzroku błysnęło rozbawienie. Zapewne bawiło go to, jak niezręcznie próbowała zmienić temat rozmowy. - Ale nie hoduję owiec. Mam grunty orne, bydło i konie na południu. Uprawa ziemi w tych okolicach zapewne nie jest łatwa ze względu na bliskość morza i zmienną pogodę.

- Wszyscy tu łączą uprawę ziemi z rybactwem - przyznała ciotka Rosie. - Oprócz pastwisk dla owiec na klifach mamy też bardziej osłonięte pola, gdzie hodujemy krowy mleczne. Mamy swoją pszenicę i siano. - Ciotka Izzy otworzyła usta, jakby znów chciała wznowić lamentsy nad spalonym stogiem, ale pochwyciła spojrzenie Rosie i szybko je zamknęła. - Niektóre łodzie rybackie przy Stib's Landing należą do nas. To następna, dużo większa zatoka na południe od Barbary Head.

- To spore gospodarstwo, ale z pewnością macie dobrego zarządcę. Ja często wyjeżdżam, toteż muszę polegać na swoim.

- Och, nie. Nasza droga Tamsyn wszystkim się zajmuje - oświadczyła Izzy pogodnie. Tamsyn nie rozumiała, dlaczego Rosie przewróciła oczami. W końcu to była prawda.

- Muszę zarobić na swoje utrzymanie - wyjaśniła z uśmiechem. - Poza tym lubię mieć zajęcie. Czy podróżuje pan dla przyjemności, panie Defoe? Zaczynamy dorównywać kurortom na południu pod względem popularności. Na przykład Ilfracom-

be stało się ostatnio bardzo modne.

- Doskonałe miejsce do morskich kąpeli - powiedziała Izzy niejasno i zarumieniła się. - Och, nie miałam na myśli...

- Z pewnością byłbym w znacznie lepszym stanie, gdybym wziął kąpiel za pomocą maszyny. Wtedy może pamiętałbym o tym, że muszę jeszcze wrócić, i nie wypłynąłbym na otwarte morze, myśląc o czymś innym. - W jego uśmiechu czaił się cień gorczy.

- Czy tak się właśnie stało? Zastanawiałam się nad tym, bo plaża w Hartland Quay, o ile w ogóle można to nazwać plażą, nie jest najlepszym miejscem do kąpeli leczniczych. - Zresztą pan Defoe nie potrzebował kąpeli leczniczych, pomyślała Tamsyn. Po krótkim odpoczynku wyglądał jak okaz zdrowia.

- Podróż przez Great North Road znudziła mnie śmiertelnie, więc gdy dotarłem do Newark, skręciłem na południowy zachód i po prostu jechałem dalej, szukając jakiegoś zupełnie dzikiego miejsca.

- I stamtąd próbował pan dopłynąć do Ameryki?

- Potrzebowałem ruchu i chciałem trochę oczyścić umysł. Z pewnością udało mi się osiągnąć to pierwsze, nawet jeśli nie drugie. - Przestał obracać kieliszek w palcach i pociągnął spory łyk. - Doskonałe wino. Waszemu dostawcy należy się pochwała.

- Zapewne z przemytu - oznajmiła Rosie spokojnie. - Takie rzeczy czasem pojawiają się przy naszych drzwiach. Przypuszczam, że powinnam wybić dziurę w beczułce i wylać zawartość, ale byłoby to marnotrawstwo. A nie sposób pójść z tym do urzędu celnego i zapłacić cło, bo zaczną zadawać niewygodne pytania.

- Czy przemyt tutaj jest powszechny? - zapytał pan Defoe, pociągając kolejny łyk.

- To drugie podstawowe źródło dochodu miejscowych - przyznała Izzy, jak zawsze niepoprawnie gadatliwa i entuzjastyczna.

- Naturalnie, nasz drogi Jory był szefem całej bandy.

- Jory?

- Mój nieżyjący mąż - wyjaśniła Tamsyn niechętnie.

- Taki kochany chłopak. Przyjęłam go do domu, kiedy był jeszcze dzieckiem. Pochodził z Kornwalii, ale ojciec... nie radził so-

bie z nim i chłopak uciekł z domu.

- Nasza droga Isobel przygarnia wszystkie zbłąkane owieczki - stwierdziła Rosie sucho.

- Takie jak ja. - Tamsyn wiedziała, że w tych słowach można się dopatrzeć goryczy, choć nie było to jej intencją. - Moja matka była kuzynką cioci Isobel. Gdy zmarła, miałam dziesięć lat. Wtedy zamieszkałam tutaj. Jory pojawił się w następnym roku.

- Jakież to romantyczne. Miłość od młodszych lat.

- Wyszłam za najbliższego przyjaciela - odrzekła Tamsyn sztywno. Nie miała zamiaru wyjaśniać tego szerzej. Nie chciała, by kolejna osoba zaczęła się zastanawiać, dlaczego wyszła za tego łajdaka Jory'ego Perowne'a, skoro ubiegał się o nią Franklin Holt, wicehrabia Chelford.

- A skoro już mówimy o małżeństwie - powiedziała ciotka Izzy ze zwykłym brakiem wyczucia. - Czy pański służący powiadomił już rodzinę o tym, co się z panem dzieje? Bo jeśli nie, to jutro o dziewiątej rano z wioski odjeżdża powóz pocztowy, który zabiera listy do Barnstaple.

- Dziękuję pani, ale nikt nie oczekuje mojego powrotu. Skoro już uspokoilem Collinsa, mogę mieć zupełnie czyste sumienie.

- Doskonale - rzekła Tamsyn krótko, choć te słowa niczego nie wyjaśniały. Albo ten człowiek miał żonę, którą bezczelnie pozostawiał w nieświadomości, albo nie był żonaty. Bardzo chciałaby wiedzieć, jak się rzeczy mają, wołała się jednak nie zastanawiać nad motywami swojej ciekawości. - Proszę mi powiedzieć, panie Defoe, czy jada pan króliki? Mam nadzieję, że tak, bo mamy wielki zapas tych małych drani i jestem pewna, że kucharka poda je dzisiaj na kolację.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- I czego dowiedziałaś się, flirtując z kucharką? - zapytał Cris.

Collins pochylił się i podniósł jego porzucony zakiet. Łóżko wyglądało zbyt kusząco, toteż Cris usiadł na twardym krześle i pochylił się, żeby zdjąć buty. Ten przeklęty lekarz miał rację, trzeba było zostać w łóżku przez cały dzień i nie wstawać do jutra, ale wszystko się w nim burzyło na myśl, że miałyby się ugiąć przed fizyczną słabością.

- Flirtując, sir? To bardzo miła dama, ale jej wdzięki są nieco zbyt dojrzałe na mój gust. - Cris rzucił mu groźne spojrzenie i pokojowy w końcu skapitulował. - Kucharka i Molly, pokojówka, są bardzo przejęte tym, że miły dżentelmen trafił do domu pani Perowne. Ta dama z całą pewnością tutaj rządzi, choć właścicielką posiadłości jest panna Holt. Pani Perowne jest bardzo aktywna i lubiana wśród miejscowych, choć wyszła za miejscowego... jak mam to ująć...

- Łotra? - podsunął Cris sucho. Podniósł się i zaczął rozpinać kamizelkę, opierając się pokusie, by rzucić się twarzą w dół na łóżko i zasnąć. To był długi, ciężki dzień.

- Właśnie tak, sir. Wszyscy twierdzą, że to był uroczy młody człowiek, ale gdy się wsłuchać, co mówią między wierszami, był również skończonym łajdakiem. Ale był też swego rodzaju protegowanym dwóch starszych dam, które chyba traktowały go jak uroczonego łobuziaka.

- Traktowały go jak syna.

- Zastanawiałem się, czy tak właśnie było. - Collins zaczął ścielić łóżko. - Molly wspomniała, że dobrze, że ożenił się z panną Tamsyn, bo w innym wypadku ta ropucha Franklin Holt nie dałby jej spokoju. Uznałem, że to ciekawe, bo kucharka zaraz uciszyła Molly.

- Franklin Holt? Zdaje się, że to wicehrabia Chelford. Chyba

go widywałem w towarzystwie. Mniej więcej w moim wieku, czarne włosy, ciemne oczy i bardzo wysokie mniemanie o sobie.

- Cris odłożył szafirową szpilkę na toaletkę i rozwiązał krawat.

- Hazardzista. Nic natomiast nie wiem o tym, żeby był ropuchą.

- To właśnie on, sir. - Collins był chodzącą encyklopedią arystokracji i niemal równie dobrze znał światek przestępczy. - Ma reputację człowieka, który rzuca się na łeb na szyję we wszelkie odmiany sportu i rozrywki. Jest siostrzeńcem panny Holt, odziedziczył ziemię i tytuł po jej ojcu.

- Niepokoił pannę Tamsyn, tak? - Wyglądało na to, że teraz niepokoi ją jeszcze bardziej. Cris nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego zdaniem dam to właśnie Holt miał być odpowiedzialny za utratę owiec na urwisku.

Zdjął koszulę, spodnie i z rozkoszą opadł na puchową pościel.

- Wiesz, Collins, chyba jednak trochę dzisiaj przesadziłem. Naraz poczułem niezmierną słabość.

- To bardzo niepokojące, sir. - Twarz służącego była zupełnie pozbawiona wyrazu. - Skoro tak, to obawiam się, że będzie pan musiał jeszcze przez kilka dni skorzystać z gościnności panny Holt. Moim zdaniem poważnie nadwreżył pan sobie mięśnie grzbietu i naraził na szwank słabe piersi.

Cris nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni kichnął, nie wspominając już o słabości w piersiach. Zakaszłał niezręcznie.

- Obawiam się, że podróż w tym stanie nie byłaby najlepszym pomysłem, ale nie chciałbym narzucać się damom.

- Rozumiem pańskie skrupuły, sir. Poszukam jakiejś laski, żeby było panu wygodniej utykać. Mimo wszystko podróż po wyboistych drogach z takimi dolegliwościami przysporzyłaby panu wielu cierpień. Bardzo się martwię, że mógłby pan na to nalegać. Niepokoi mnie to tak bardzo, że być może zapomnę się i powiem o kilka słów za dużo w obecności służby.

Cris przymknął oczy.

- Dziękuję, Collins. Wiesz, chyba przekonałeś mnie, że jestem bardzo słaby. Jeśli zwierzysz się ze swoich obaw kucharce, z całą pewnością ta wiadomość dotrze do panny Holt jeszcze przed jutrzejszym rankiem.

- Dobranoc, sir.

Drzwi za służącym zamknęły się cicho. Gdy Cris otworzył oczy, w pokoju było ciemno. Uśmiechnął się i nie po raz pierwszy poczuł zadowolenie na myśl, że Collins zdecydował się używać swoich talentów w służbie rządu, prawa i porządku.

Powinien wyjechać następnego ranka i uwolnić uprzejme gospodynie od obecności obcego mężczyzny, ale działo się tu coś złego. Tamsyn Perowne była spięta, pogodna panna Holt skrywała niepokój, a znacznie bardziej przenikliwa panna Pritchard nie wahała się przed bezpośrednimi oskarżeniami. Dlaczego jednak sądziły, że to Chelford kryje się za śmiercią owiec? Wicehrabia musiałby być niespełna rozumu. A choć Cris po kilku krótkich spotkaniach nie pałał do niego sympatią, nie miał również powodu przypuszczać, że Franklin Holt jest słaby na umyśle.

Kryła się w tym jakaś zagadka, a Cris lubił zagadki. Co więcej, chodziło o trzy damy, które wspólnymi siłami ocaliły mu życie. Winien im był pomoc. Jeśli szukał czegoś, co oderwałoby jego myśli od utraconej miłości i od perspektywy małżeństwa z obowiązku, właśnie to znalazł. W końcu i tak nie miał ochoty na nic innego.

Rankiem okazało się, że Cris nie musi uciekać się do swoich talentów aktorskich, by przekonać gospodynie, że nie jest w stanie podróżować. Wyczerpane mięśnie, poprzedniego dnia rozluźnione przez gorącą kąpiel i masaż Collinsa, po nocy zeszywniały i teraz paliły żywym ogniem. Po kolejnej bolesnej sesji masażu z przekleństwem zwłókł się z łóżka i ubrał, a potem zszedł ze schodów, opierając się na lasce, którą Collins gdzieś znalazł. Gdy obydwaj zajęli starannie wybrane miejsca w holu, nie musiał udawać irytacji. Dobrał ton głosu tak, by skusić nawet najlepiej wychowaną osobę, która stałaby po drugiej stronie drzwi, do nasłuchiwania, i oznajmił:

- Oczywiście, że wyjedziemy zaraz po śniadaniu. Ile razy mam ci to jeszcze powtarzać, Collins? Nie mogę nadużywać gościnności trzech samotnych kobiet.

- Ale, sir, ryzykuje pan nawrotem zapalenia płuc - zaprotesto-

wał Collins. – Poza tym wykroty na tych drogach przysporzą panu bólu w plecach. Może się nawet zdarzyć tak, że przez kilka tygodni nie będzie pan mógł chodzić.

– To nie ma znaczenia. Z całą pewnością gdzieś niedaleko znajdzie się przyzwoita gospoda.

– W tej okolicy? Poza tym nie mamy ze sobą pościeli, sir. – Collins tak doskonale zagrał oburzenie, że Cris z najwyższym trudem powstrzymał śmiech. – Proszę, błagam, by się pan jeszcze raz nad tym zastanowił.

– Nie. Podjąłem już decyzję. Jadę.

– Nigdzie pan nie jedzie, panie Defoe. – Drzwi bawialni otworzyły się i stanęła w nich pani Perowne w nieco przekrzywionym czepku, z rękami na biodrach i mocno zaciśniętymi ustami.

– Lekarz kazał panu zostać w łóżku, a pan zignorował jego zalecenia, więc nic dziwnego, że dziś rano nie czuje się pan najlepiej. Skłonności do zapalenia płuc nie wolno lekceważyć. A poza tym, o co chodzi z bólem pleców?

Cris nie znosił, gdy ktoś uważał go za słabeusza albo inwalidę, w dodatku ze skłonnościami do zapalenia płuc. Musiał przekonać panią Perowne, że powinien na razie pozostać w jej domu, ale jego duma srodze cierpiała. To absurd, pomyślał. Czyżby miał tak niewiele pewności siebie, że potrzebował podkreślać swoją siłę w oczach jakiejś wiejskiej wdowy?

– Collins jak zwykle przesadza. Po prostu mocno się przeziębłem ostatniej zimy.

– Ależ, sir! – Collins z pewnością mógłby zrobić karierę jako aktor melodramatyczny. – Przecież wie pan, co doktor powiedział w zeszłym roku. Mógłbym pani długo opowiadać, *mada-me*.

– Niczego nie będziesz opowiadał, jeśli chcesz nadal u mnie pracować – warknął Cris.

Dwie pary oczu zatrzymały się na jego twarzy.

– Panie Defoe, proszę, nalegam, by pan tu pozostał. Moje ciotki będą się martwiły, jeśli wyjedzie pan nie całkiem zdrów. A poza tym bardzo nas cieszy pańskie towarzystwo. – W ciepłych brązowych oczach błysnęło coś, co z pewnością nie było litością nad inwalidą. Ten błysk, świadczący, że pani Perowne

dostrzega w nim mężczyznę, nieco ukoił zranioną dumę Crisa, choć właściwie powinno mu być obojętne, co o nim myśli zupełnie obca osoba. Jego obowiązki wymagały odgrywania wielu różnych ról. Bez mrugnięcia okiem prezentował się na cudzoziemskich dworach jako człowiek nadmiernie ostrożny, niedyskretny lub naiwny. Wystarczała mu świadomość, że w gruncie rzeczy taki nie jest. Tymczasem przed tą kobietą, która nie powinna mieć dla niego żadnego znaczenia, miał ochotę roztoczyć pełny obraz swojej odwagi, wytrzymałości i sprawności, niczym dumny paw rozwijający ogon przed partnerką.

Z trudem przełknął resztki dumy.

- Nie chciałbym nikomu narzucać swojego towarzystwa, pani Perowne, ale wyznaję, że byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pozwoliły mi panie pozostać tutaj jeszcze przez kilka dni.

- Doskonale. Moje ciotki bardzo się ucieszą, gdy to usłyszą.

- A zatem nie ma ich w pobliżu? - zapytał prowokacyjnie.

Jej policzki zabarwiły się rumieńcem.

- Oskarża mnie pan o podsłuchiwanie, pani Defoe? Przyznaję, że jestem winna, ale tylko dlatego, że martwiłam się o pana, a przypuszczałam, że zechce pan dzisiaj wyjechać bez względu na samopoczucie.

Teraz to Cris poczuł się winny. To było dla niego zupełnie nowe uczucie.

- Najmocniej panią przepraszam, nie powinienem tak mówić. Okazała pani niezwykłą troskę o nieproszonego gościa.

- Wybaczam panu. Na dowód proszę pójść ze mną do pokoju śniadaniowego. Tam powie mi pan, jak pan ocenia nasze kiełbaski i bekon.

Ignorując drwiący uśmiech Collinsa, Cris poszedł za nią do słonecznego pomieszczenia z żółtymi kotarami. Z okien rozciągał się widok na trawiaste zbocza prowadzące w stronę morza.

- Nie zaczekamy na pani ciotki?

- One zawsze jedzą śniadanie u siebie. - Pani Perowne wskazała mu miejsce i usiadła naprzeciwko. Na stole stały półmisek z chlebem i szynką, miseczka z masłem i jeszcze jeden półmisek z przykrywką. Pani Perowne uniosła ją i po pokoju rozszedł się zniewalający aromat boczku i kiełbasek.

- Dziękuję - powiedział Cris, gdy postawiła przed nim wyładowany talerz. Ta kobieta stanowiła dla niego zagadkę - elokwentna, pewna siebie, kompetentna, a do tego z całą pewnością była damą, choć nietypową. Łączyło ją pokrewieństwo z wicehrabią, wyszła jednak za miejscowego chłopaka, który uniknął szubienicy tylko dlatego, że zabił się sam.

- Za panią na ścianie wisi piękny portret - zauważył. - Pani ciotki nie są do siebie podobne. Jeśli mogę zapytać, czy to krewnie pani matki, czy ojca?

- Ciotka Isobel to kuzynka mojej matki, a ciotka Rosie nie jest ze mną spokrewniona. - Zatrzymała na nim bezpośrednie spojrzenie, jakby próbowała wysondować jego reakcję. - Obydwie niedługo przed ukończeniem trzydziestu lat zostawiły rodziny i zamieszkały razem. To była, a właściwie jest, namiętna przyjaźń, coś w rodzaju małżeństwa.

- Jak słynne damy z Llangollen?

- Tak, właśnie tak. Zresztą wydaje mi się, że nimi właśnie się inspirowały. Czy jest pan zbulwersowany?

- Nie, absolutnie. Dlaczego nie miałyby być szczęśliwe razem? - Pozazdrościł im tego, że mogły odwrócić się plecami do wymogów i oczekiwań społeczeństwa. Ale na córkach nie ciążył taki ciężar odpowiedzialności jak na synach, zwłaszcza najstarszych, którzy powinni dobrze się ożenić, zapewnić rodzinie majątek i koneksje oraz spłodzić dziedzica tytułu i posiadłości. - A pani? - zapytał, gdy skinęła głową i skupiła się na jajkach ze śmietaną. - Co panią sprowadziło do tego miejsca?

- Mój ojciec pracował na morzu. Nie pamiętam nawet jego twarzy. Zginął, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem. Mamie bardzo trudno było żyć bez niego. Chyba nie miała silnego charakteru.

- A zatem pani musiała być silna za was obydwie - domyślił się Cris.

- Tak. Skąd pan wiedział?

Uśmiechnął się do niej. Naprawdę była czarująca z tą wyrazistą twarzą i zdrowymi kolorami, a do tego wciąż młoda. Zapewne miała niewiele ponad dwadzieścia pięć lat.

- Odznacza się pani naturalnym autorytetem, jednak nie pod-

kreśla pani tego. Wątpię, by nauczyła się pani tego dopiero ostatnio. Co się stało z pani matką?

- Padła ofiarą epidemii cholery. Mieszkałyśmy w Portsmouth, a tam, jak we wszystkich portach, nietrudno złapać jakąś chorobę.

- A potem przybyła pani tutaj? - Próbował sobie wyobrazić, co czuła osierocona dziewczynka pogrążona w żalu po stracie matki, opuszczając znajome miejsce. On również stracił matkę, gdy miał cztery lata. Zmarła przy porodzie następnego dziecka. Jego ojciec, odległy i chłodny, zmarł, kiedy syn miał dziesięć lat. Cris był bardzo młodym i przestraszonym markizem. Rygorystycznie ukrywał wszystkie uczucia za maską sztywnej rezerwy i tylko dzięki temu udało mu się przetrwać. Ta postawa życiowa wciąż przynosiła mu korzyści.

„Wypełniaj swoje obowiązki”, powiedział mu ojciec tuż przed śmiercią. Ta jedyna rada, jakiej kiedykolwiek udzielił synowi, okazała się wystarczająca na wszelkie okoliczności życiowe. Zwykle oznaczało to: rób to, na co masz najmniejszą ochotę, to, co trudne i bolesne. Do rozwiązywania problemów używaj głowy, a nie serca.

- Ciotka Izzy jest bardzo opiekuńcza - powiedziała Tamsyn. - Adoptowała Jory'ego, a potem przyjęła pod swój dach również mnie. Pana chyba uważa za kolejnego podopiecznego.

- Czy wyglądam tak, jakbym potrzebował opieki?

- Z mojego punktu widzenia? - Przyjrzała mu się, przechylając głowę na bok. - Nie. Nie mam najmniejszej ochoty panu matkować, panie Defoe. Jednak omal pan nie zginął i jeszcze nie wrócił pan do sił. Ciotce Izzy to zupełnie wystarczy. Czy zamierza pan dzisiaj odpoczywać?

- Jeśli nie będę się ruszał, mięśnie zupełnie mi się zastoją. Pomyślałem, że przejdę się drogą prowadzącą od domu.

- Przez milę ta droga wspina się pod górę, a potem opada do doliny Stib. Po drodze jest kilka miejsc, gdzie można odpocząć. Powalone drzewa, kamienie. - Pani Perowne nie wykazywała najmniejszej ochoty, by mu matkować. Koło to jego męską dumę, ale zarazem krzyżowało plany, bo chciał ją wyciągnąć z domu.

- Może pójdzie pani ze mną i pokaże mi drogę?

- Z całą pewnością nie zgubi się pan. Jeśli uda się panu do-
trzeć do Stibworthy, droga w prawo zaprowadzi pana do Stib's
Landing, a w lewo do wioski. Tak czy owak, trafi pan na urwi-
sko.

- Miałem nadzieję na pani towarzystwo, nie przewodnictwo.

Tamsyn jednym zręcznym ruchem noża ścięła czubek gotowa-
nego jajka.

- Czy czuje się pan samotny, panie Defoe? - zapytała słodko.

Cris nie połknął przynęty.

- Już od dawna nie miałem okazji spacerować po tak sielskiej
wsi w towarzystwie młodej damy.

Zacisnęła usta, choć nie wiedział, czy chciała stłumić
uśmiech, czy wyraz rezygnacji.

- Muszę porozmawiać z naszym pasterzem o tym wczoraj-
szym wypadku. Zamierzam pojechać tam konno, ale mogę po-
dejsć z panem na górę i dopiero tam wsiąść na siodło. Nie ma
wielkiego pośpiechu, bo szkoda już się stała.

Cris nie wiedział, czy pani Perowne ze wszystkimi rozmawia
tak chłodno i rzeczowo, czy też czuje do niego antypatię. Być
może było to zażenowanie, choć Tamsyn Perowne nie wyglądała
na wstydliwą kobietę. Było w niej coś bardzo zmysłowego
i przyziemnego, coś, co przywodziło mu na myśl pogańską bogi-
nię Primaverę, wokół której wszystko zaczynało rosnąć i budzi-
ła się wiosna. Jej obecność była bardzo odświeżająca po sztucz-
ności londyńskiego towarzystwa i duńskiego dworu królewskie-
go. Tam damy starały się nie okazywać żadnych uczuć, traktu-
jąc je jak oznakę słabości albo złego wychowania. Nawet Kate-
rina chowała się za maską bezosobowej uprzejmości. Pani Pe-
rowne z pewnością potrafiła dochować tajemnicy, ale trudno
byłoby jej ukrywać emocje. Przypomniał sobie, z jakim oburze-
niem odpowiedziała urzędnikowi. Czy w miłości również byłaby
tak namiętna i szczera?

Ta kolejna niestosowna myśl chyba przejawiała się na jego
twarzy, bo pani Perowne znieruchomiała i zapytała lodowatym
tonem:

- Panie Defoe?

- Przypomniałem sobie, jak wspaniale poradziła sobie pani z tym gburowatym sędzią.

- Nie lubię niekompetencji, lenistwa i głupoty, a pan Penwith ma wszystkich tych trzech rzeczy w nadmiarze.

- Niewątpliwie uważa mnie pani za głupca przez to, że wczoraj omal się nie utopiłem. - Jeśli tak było, to zapewne nie zechce mu się zwierzyć, a w takim razie trudno mu się będzie dowiedzieć, co grozi damom w tym domu.

- Z pewnością było to lekkomyślne - odrzekła, jedząc grzanek z taką samą energią, z jaką wcześniej ścinała czubek jajka. - Przypuszczam, że był pan zaabsorbowany czymś innym.

- Tak - zgodził się. - Tylko to mnie tłumaczy.

- Panie Defoe. - Odłożyła nóż i popatrzyła wprost na jego twarz. - Łatwo jest zapomnieć o wszystkim, gdy pogrążamy się w cierpieniu, ale wielkim błędem byłoby pozwolić, by to zapomnienie doprowadziło do śmierci. Wszystko przemija i zawsze jest jakaś nadzieja.

Ona sądzi, że próbowałem się zabić, uświadomił sobie Cris. W brązowych oczach nie było teraz uśmiechu ani kpiny, dostrzegł w nich jednak coś innego: ból. Ona mówi o sobie. Czy ona również chciała umrzeć, gdy zginął jej mąż?

- Wiem. Poza tym zawsze ma się jakieś obowiązki, prawda? Byłem zły na siebie za własne roztargnienie, Tamsyn. Nie chciałbym znów narazić się na utratę życia przez zwykły brak koncentracji.

Uświadomił sobie, że zwrócił się do niej po imieniu. Uniosła brwi i jej opalona twarz naraz przybrała wyniosły wyraz. Nie była konwencjonalną piękną, ale znów zauważył, jak bardzo jest kobieca.

- Przepraszam za tę poufałość, ale pani troska mnie rozbroiła. Czy możemy zostać przyjaciółmi? Mam wrażenie, że poznaliśmy się bardzo dokładnie.

Tamsyn roześmiała się. W tym śmiechu dźwięczało zaskoczenie i ciepło, choć nieco się zarumieniała.

- To prawda. Ta chwila w morzu. Ja zwykle nie...

- Nie całuje pani obcych? - Teraz zaróżowiła się aż po samą szyję. - Jeśli to panią pocieszy, ja też zwykle nie całuję syren. -

Roześmiała się na głos. – To było jak dotknięcie życia w chwili, gdy już myślałem, że umieram.

– To była niezwykła chwila, zupełnie jak wyjęta z legend. Pan wziął mnie za syrenę, a ja pana za jednego z ludzi morza, Christopherze.

– Cris – poprawił ją. – A dokładnie St. Crispin.

– „I dzień świętego Kryspina nie minie od dzisiejszego dnia do końca świata, by imię nasze z ust do ust nie brzmiało”^[1] – cytowała, wyraźnie odzyskując panowanie nad sobą. – Pańscy rodzice byli wielbicielami Szekspira? A może urodził się pan dwudziestego piątego października?

– Jedno i drugie. Mój ojciec bardzo lubił cytować *Henryka V*. „Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu!”^[2]. Mówił tak zawsze, gdy musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty, na przykład pójść na jakieś przyjęcie.

– Pańską matkę zapewne doprowadzało to do wściekłości.

– Zmarła wcześniej, przy porodzie. A mój ojciec został postrzelony w ramię na polowaniu i wdało się zakażenie krwi. To było dziewiętnaście lat temu, na dzień przed moimi dziesiątymi urodzinami. – Zwykle nikomu nie opowiadał o śmierci rodziców, ale swoją szczerością chciał zachęcić Tamsyn do tego samego.

– Tak mi przykro. Musiał pan czuć się bardzo samotny w dzieciństwie. Ja przynajmniej miałam ciotki.

– Mnóstwo ludzi się mną opiekowało. – Czterech członków funduszu powierniczego, setka służących, trzech nauczycieli, instruktor jazdy konnej, instruktor szermierki, nauczyciel sztuki, nauczyciel tańca – wszyscy starali się ukształtować markiza Avenmore w doskonały egzemplarz rodzaju ludzkiego.

– Cieszę się, że to słyszę – wymruczała Tamsyn. – Może napije się pan jeszcze kawy, zanim wyjdziemy? – Przysunęła mu piękny, srebrny stary dzbanek. – Nie mogę zwlekać dłużej, bo Willy Tremayne pomyśli, że o nim zapomniałam. Spotkamy się przy bramie do ogrodu.

Gdy zniknęła, Cris jeszcze przez kilka minut siedział nad filiżanką kawy. Ten dom i jego mieszkańcy nie byli podobni do nikogo, kogo poznał wcześniej. Pewnie dlatego, że choć przywykł do pałaców, biur rządowych i wspaniałych rezydencji, to nigdy

jeszcze nie zetknął się ze światem ziemiaństwa. Czy wszyscy w tym świecie byli takimi ciepłymi i bezpretensjonalnymi ludźmi?

Otrząsnął się z tych myśli, poruszył zeszywniałymi mięśniami i poszedł po kurtkę. Nie chciał, żeby Tamsyn Perowne musiała na niego czekać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brama ogrodowa była równie mocna jak wtedy, gdy Tamsyn po raz pierwszy przybyła do Barbary, ale teraz nie sprawiała już wrażenia zapory nie do przebycia. Tamsyn zahaczyła czubki butów do jazdy konnej o poprzeczkę i przycisnęła od strony zawiasów. Wszystkie kobiety ze wsi wiedziały, jak to zrobić. Wietrzyk od morza rozwiewał jej włosy wysuwające się spod staroświeckiego trójgraniastego kapelusza i trzepotał wstążkami. W końcu, zirytowana, wsunęła je pod połę żakietu. Była w dobrym nastroju.

Jason wyprowadził ze stajni Foxy'ego, wielkiego kasztanowego ogiera, i w tej samej chwili pan Defoe – Cris – pojawił się w drzwiach domu. Na widok laski w jego ręku Tamsyn stłumiła uśmiech.

- Pomóc pani wsiąść, panno Tamsyn?

- Kawalek pójdę pieszo. Dziękuję ci, Jason. - Zeskoczyła z bramy i ujęła wodze. Koń otarł się o nią chrapami.

- To wielkie zwierzę. - Cris szedł powoli, podpierając się laską, chociaż nie kuśtykał. Starła się na niego nie gapić. W ciemnobrązowej kurtce do jazdy konnej, nisko nasuniętej na czoło futrzanej czapce, jasnych skórzanych spodniach i pięknych butach wyglądał jak ubrany na bal. Była pewna, że jeśli uda mu się dojechać choćby do Stibworthy, miejscowi będą mu się przyglądać z zaciekawieniem. Cmoknął na Foxy'ego i koń zwrócił głowę w jego stronę. - Ma mocne pęciny i dobry kark. Czy bardzo szarpie?

- Nie. Jest łagodny jak kociak i ma miękki pysk. Prawda, mój śliczny czerwony lisku? - Koń znów otarł się o jej ramię wilgotnymi chrapami. - Szkoda tylko, że nie całujesz schludniej.

Pan Defoe, który przytrzymał przed nią bramę, parsknął śmiechem i Tamsyn pomyślała, że chyba lepiej byłoby nie wspominać o całowaniu. Dwa lata bez pocałunków to długi czas,

a ten mężczyzna został stworzony do kuszenia kobiet. Zapewne miał gdzieś kilka kochanek. Nigdy wcześniej nawet nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby znaleźć się w intymnej sytuacji z kimś, kto nie był jej mężem. Może minęło już zbyt dużo czasu i zaczęła tęsknić za fizyczną miłością, którą nauczyła się lubić? A może chodziło właśnie o niego?

Cris Defoe szedł obok niej z laską, narzekając na bóle w plecach i słabość w piersiach. Pozwoliła mu nadawać tempo. Trawiaste koleiny tłumili ich kroki. Za plecami słyszeli szum morza, na czystym niebie śpiewał skowronek.

- Morska sól, zapach wanilii z kolcolistu i dziki czosnek - powiedział po chwili. - Powietrze w tej okolicy jest niemal boleśnie czyste w porównaniu z zadymionymi miastami i upałem w głębi lądu.

Ścieżka wiodła pod górę, ale oddech pana Defoe nie był wytężony. Z pewnością był w bardzo dobrej formie fizycznej. Tamsyn przypomniała sobie mięśnie na jego piersi i płaski brzuch. O ile nie przeziębi płuc, czego obawiał się pokojowy, powinien szybko wrócić do sił.

- Nie wiem, jak jest w miastach. Prawie nie pamiętam Portsmouth, a miasteczka w okolicy - Barnstaple, Bideford i Bude - są małe. Zapewne ma pan na myśli większe miejscowości? Jak pańskie plecy?

- Moje... Ach, tak. To zadziwiające, ale ruch bardzo je rozluźnił. To znaczy, że nigdy nie była pani w Londynie?

- Nie, nigdy.

I mogę się założyć, że ty nigdy nie miałeś zapalenia płuc i plecy nie bolą cię bardziej niż jakakolwiek inna część ciała, dodała Tamsyn w myślach. Po cóż więc opowiadać, że nie jesteś w stanie znieść jazdy powozem po nierównych drogach?

Ścieżka skręciła i wyszli spomiędzy drzew na pastwiska. Cris zatrzymał się i ostentacyjnie rozprostował ramiona.

- Leży tu powalone drzewo. Może usiądziemy na chwilę? Ładne widoki.

Tamsyn wątpiła, by potrzebował odpoczynku, ale musiała przyznać, że jest dobrym aktorem. Pewnie wolałby jechać na osle, niż z własnej woli przyznać się do słabości, musiał mieć

zatem dobry powód, by ją udawać.

- Oczywiście. - Przerzuciła wodze Foxy'ego przez gałąź i rzuciła przez ramię: - Proszę usiąść i nie czekać na mnie.

Gdy znów spojrzała w jego stronę, Cris odegrał cały spektakl, ostrożnie siadając na niskiej kłodzie i dzielnie powstrzymując wyraz cierpienia na twarzy. Mogła pozwolić mu odgrywać tę szopkę jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu dowie się, po co to robił, albo mogła przerwać to już teraz.

- Panie Defoe.

Podniósł głowę, zdziwiony jej tonem, i w jego oczach błysnęła ostrożność, zaraz jednak zamaskowana wyrazem przyjaznej uwagi. Ale jej nie przekonał.

- Dlaczego nagle zwraca się pani do mnie tak oficjalnie, Tamsyn? - Próbował zbić ją z tropu, bo wiedział, że Tamsyn nie czuła się swobodnie, gdy zwracał się do niej po imieniu.

Usiadła.

- Bo coś mi się nie podoba w pańskim zachowaniu, sir. Nie potrzebuje pan wypoczynku bardziej niż ja. Mogę uwierzyć, że jest pan obolały i dokuczają panu wszystkie mięśnie, ale jeśli jest pan chorowity, podatny na infekcje płuc i nie jest pan w stanie znieść podróży powozem po nierównej drodze, to ja jestem królową Anglii.

- Pochlebia pani mojemu męskiemu ego, pani Perowne.

- Dlaczegoż to? Sądzę, że podobnie jak większość mężczyzn lubi pan być uważany za niezłomnego.

- Au, to naprawdę boli. Nie lubię mieć wrażenia, że ktoś widzi mnie na wylot.

- Naturalnie. Ale wczoraj zupełnie się pan obnażył i nie mam tu na myśli ubrania - dodała szybko. - Był pan gotów brnąć przed siebie, aż padłby pan trupem, zamiast leżeć spokojnie na plaży i czekać na ratunek. Nie mógł pan znieść myśli, że jest pan słaby i potrzebuje pomocy. Gdyby pański służący z powozem był gdzieś w pobliżu, czołgałby się pan w tę stronę przez całe mile, zamiast przyjąć pomoc od trzech bezbronnych kobiet. Dlaczego zatem woli pan tu pozostać niż jechać dalej?

Cris oparł się plecami o pień drzewka, złożył dłonie na główce laski i popatrzył na nią. Było to długie, uważne spojrzenie bez

żadnych śladów wesołości ani flirtu. Patrzył na nią, jakby była kandydatką na stanowisko pokojówki albo koniem, który nie sprawia wrażenia zwierzęcia pełnej krwi. Gdy się odezwał, drgnęła z zaskoczenia.

- Ocaliła mi pani życie. Jestem pani dłużnikiem, a tutaj dzieje się coś bardzo złego. Jeśli tylko będzie to w mojej mocy, pozbędę się zagrożenia. - W ustach innego mężczyzny te słowa sprawiałyby wrażenie przechwałki, ale w jego ustach było to zwykłe stwierdzenie faktu. Działo się coś złego i Crispin Defoe zamierzał temu przeciwdziałać.

Tamsyn już od bardzo dawna nie miała się komu zwierzyć ani na kim wesprzeć. Ten człowiek jednak był obcy i miał wkrótce wyjechać, toteż niebezpiecznie było polegać na nim w jakiegokolwiek sprawie.

- Nonsens. Nic nie jest pan nam winien. Zrobiłybyśmy to samo dla każdego człowieka potrzebującego pomocy. Poza tym nie dzieje się nic złego. To tylko jakiś bezpański pies i strata kilku owiec.

- Sama pani widzi. - Jego surowa twarz ściągnęła się z dezaprobatą. - Właśnie dlatego potrzebowałem pretekstu, żeby tu pozostać. Ze względu na pani upór.

- Nie jestem uparta. Jeśli już ktoś się tu upiera, to raczej pan. Zobaczył pan trzy kobiety żyjące samotnie i z miejsca założył, że nie są w stanie poradzić sobie ze zwykłymi problemami życia. - Przeszła kawałek po trawie, obróciła się i ruszyła z powrotem. - Doskonale sobie radzimy, panie Defoe, a ja mam już dość mężczyzn, którzy próbują mi wmawiać, że jest inaczej.

- Któż jeszcze ośmiela się tak twierdzić?

- Nie trzeba do tego wielkiej śmiałości, wystarczy impertynencja. - Ujęła wodze Foxy'ego, podprowadziła go do drugiego końca kłody, wspięła się na nią i wskoczyła na siodło. - Jestem pewna, że znajdzie pan drogę do domu.

Cris podniósł się i chwycił za wodze.

- Proszę się cofnąć.

- Tamsyn. Nie jestem głupi. Pani też nie. Coś tu się dzieje. Pani ciotki są zdenerwowane. Kim jest ten drugi dżentelmen, który się wtrąca w wasze życie?

- Bratanek ciotki Izzy sądzi, że powinniśmy zamieszkać na terenie jego posiadłości. Ni stąd, ni zowąd stał się bardzo nadopekuńczy.

- Lord Chelford.

- Podśłuchiwał pan. - Tamsyn podniosła głos i Foxy zastrzygł uszami. - To niegodne dżentelmena.

- Podobnie jak ignorowanie dam, które mają kłopoty. - Patrzył na nią, mocno zaciskając palce na wodzach. - Wolałbym, żeby przestała pani patrzeć na mnie z góry, Tamsyn. Dosłownie. Kark mnie boli od zadzierania głowy. Usłyszałem coś zupełnym przypadkiem. Collins usłyszał więcej, bo lubi plotki. Naturalnie, jest możliwe, że chodzi tylko o trzy przewrażliwione kobiety, które dochodzą do pochopnych wniosków i dramatyzują serię zwykłych przypadków.

- Jak pan śmie! - Tamsyn obróciła się w siodle, straciła równowagę i wyciągnęła rękę, próbując odebrać mu wodze. Cris szybko pochwycił ją wpół i choć protestowała i próbowała się wyrwać, ściągnął na ziemię. Uwięziona między nim a koniem, zacisnęła pięści i uderzyła go w pierś. - Nie jest pan dżentelmem!

- Owszem, jestem. Problem polega na tym, że w pani życiu nie ma chyba żadnych innych dżentelmenów, z którymi mogłaby mnie pani porównać. Proszę, niech pani przestanie deptać mi po nogach, bo zniszczy mi pani buty. Proszę usiąść na tej kłodzie i wszystko mi opowiedzieć. Jestem wcieleniem dyskrecji i nie musi się pani obawiać, że niepotrzebnie coś rozgamam.

- Jeśli pozwoli mi pan coś powiedzieć, panie Defoe, to chciałybym zauważyć, że nie mogę przestać deptać panu po palcach ani się poruszyć, bo wciąż trzyma pan ręce na moim ciele. - Rzeczywiście obejmował jej kibić rękami, co zdawało się niemożliwe, bo Tamsyn nie była aż tak szczupła.

- Doprawdy? - Nie poruszył się, ale Tamsyn mogłaby przysiąc, że zacisnął dłonie jeszcze mocniej. - Chyba zadziałałem odruchowo. Obawiałem się, że spadnie pani z tego konia. - Udało mu się utrzymać surowy, niemal zagniewany wyraz twarzy, ale w niebieskich oczach pojawił się błysk. Bogu dzięki, pomyślała Tamsyn. On chce mnie pocałować.

Nie zrobił tego jednak. Cofnął się, puścił ją i wskazał na kłodę.

- Może usiadzimy i spróbujemy jeszcze raz. Przywiążę pani konia, bo wyraźnie nie rozumie, co się tu dzieje.

- Nie tylko on - wymamrotała Tamsyn. Naturalnie, nie pocałował jej. Kto chciałby całować kobietę w tak okropnym kapeluszu? Z pewnością nie dżentelmen w butach, które kosztowały więcej niż cała jej garderoba z ostatnich pięciu lat.

Pan Defoe usiadł obok niej. Zauważyła w trawie zapomnianą laskę.

- Co jeszcze się zdarzyło oprócz tego wypadku z owcami?

- Na pewno powie pan, że po prostu coś się nam wydaje.

- Proszę spróbować. Czasami sam sobie wyobrażam rozmaite rzeczy.

- Dwa tygodnie temu zapalił się stóg siana. W zeszłym tygodniu nasze krowy przedostały się przez ogrodzenie i rozproszyły po całej parafii, zanim zdążyliśmy je wyłapać. Kosze na homary przez cały czas są puste. A teraz owce.

- I wszystko to w ciągu dwóch tygodni? - Gdy skinęła głową, potarł podbródek i ze zmarszczonym czołem wpatrzył się w czubki swoich butów. - Nawet moja wyobraźnia nie potrafiłaby stworzyć serii takich przypadków. - Zmarszczka na jego czołe pogłębiła się i Tamsyn powściągnęła chęć, by przeprosić go za podeptane buty. - Czy mogę zapytać o stan majątkowy pani ciotek?

Nie widziała nic złego w tym, by mu to wyjaśnić. W końcu nie był to żaden sekret.

- Ciotka Izzy ma prawo używać Barbary Combe House dożywotnio. Dochód z posiadłości również należy do niej i może nim dysponować według własnej woli, podobnie jak wszystkim, co znajduje się w domu. Wszystko, co kupuje za te pieniądze, należy do niej i może zrobić z tym, co zechce. Podobnie zwierzęta i inne ruchomości. Ciotka Rosie ma całkiem ładną sumkę odziedziczoną po ojcu i innych krewnych. Oczywiście ponosi również wysokie wydatki ze względu na zdrowie. Zapłaciła za urządzenie pokoju kąpielowego, potrzebuje dużo opału i częstych konsultacji lekarskich. Obydwie żyją wygodnie w granicach swoich

dochodów.

- A pani? - zapytał Cris, nie zmieniając tonu, jakby był banquierem albo prawnikiem, który musi zebrać wszystkie fakty, zanim udzieli porady inwestycyjnej.

- Mam niewielki spadek po rodzicach. Poza tym ciotka Izzy wypłaca mi rentę, a ja w zamian zarządzam jej posiadłością.

- A pani mąż? - zapytał chłodnym, bezosobowym tonem.

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- Jory nie zostawił mi nic. To znaczy miał domek rybacki, sieci i broń. Wszystko to po jego śmierci zostało uznane za narzędzia przestępstwa i przejęte przez skarb Korony. Gdybym próbowała odzyskać te rzeczy, tym samym przyznałabym, że współuczestniczyłam w jego działalności.

- A czy tak było?

- Oczywiście wiedziałam, czym się zajmuje, choć nigdy nie zdradzał mi żadnych szczegółów. Wszyscy na wybrzeżu o tym wiedzieli, a ja przecież byłam jego żoną. Był szefem grupy przemytników.

Jeśli choć przez chwilę wydawało jej się, że to wyjaśnienie zniechęci do niej Crisa Defoe, to była w błędzie.

- Słowo „przemyt” obejmuje wiele różnych rzeczy, od nielegalnego przywiezienia beczułki brandy pod śledziami na łodzi po przykrywkę dla szpiegostwa i zorganizowaną przestępczość na wielką skalę, przy której zdarzają się też morderstwa, wymuszenia i szantaże. W którym miejscu tego spektrum znajdował się Jory Perowne?

- Sporo pan o tym wie. Może pan sam jest urzędnikiem i nie powinnam wyjawiać za wiele. - Uśmiechnęła się i opuściła ręsy, zastanawiając się, czy jeszcze nie zapomniała, jak się flirtuje.

- Nie, nie jestem urzędnikiem. - Tamsyn zdziwiła się. Mówił, że jest właścicielem ziemskim, a większość ziemian pełniła funkcje sędziów. - Przez dziesięć lat często przekraczałem Kanał w obie strony, słyszałem zatem sporo o przemyśle.

Tę informację należało zachować w pamięci. Pan Defoe przekraczał Kanał w czasie, gdy Anglia toczyła wojnę z Francją. Od bitwy pod Waterloo, która przywróciła pokój, minęło już pięć

lat. Czy służył w armii? Ale z jego słów wynikało, że nadal regularnie jeździ na kontynent. Nie mógł być kupcem, był na to zbyt dobrze ubrany i otaczała go trudna do uchwycenia atmosfera wyższych sfer.

- Pani Perowne, czy ja panią nudzę?

- Absolutnie nie, panie Defoe. Myślałam o niebezpieczeństwach, jakie mogą spotkać człowieka na morzu. - Chcąc mu udowodnić, że słuchała, dodała chłodno: - Jory znajdował się mniej więcej w środku pańskiego spektrum. Prowadził dobrze zorganizowaną grupę przemytników zajmującą się przewozem wartościowych towarów i czasem uciekał się do przemocy, gdy jego interesom zagrażali rywale albo celnicy. Ale robił wszystko, by chronić ciotki. Miejscowi uwielbiali go, a on się nimi opiekował. Zapewne jest pan zdumiony, że go nie potępiam? Był lojalny, odważny i dbał o swoich ludzi, a przemyt to tradycyjny sposób życia na tym wybrzeżu.

- Celnicy musieli sprawiać pani wiele kłopotów po jego śmierci, gdy szukali ukrytych dochodów z tej działalności.

- Na pewno nie szukali ich z taką determinacją jak ja. - Wiśniacy potrzebowali pieniędzy, gdy po śmierci Jory'ego z dnia na dzień stracili główne źródło dochodów. - Nękali mnie groźbami, ale w końcu uwierzyli, że jestem tylko słabą kobietą, zwiedzioną na manowce przez bandytę.

- A może Chelford szuka tego ukrytego skarbu i zakłada, że Jory Perowne ukrył pieniądze gdzieś na terenie posiadłości?

Tamsyn popatrzyła na niego z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- Czy to taki niedorzeczny pomysł? - zapytał pan Defoe sucho.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wbrew sobie Tamsyn roześmiała się.

- Nedorzeczny? Nie, to genialna myśl. Nie mogę uwierzyć, że sama na to wcześniej nie wpadłam. Franklin z pewnością sądzi, że jest jakiś skarb, i chce go znaleźć.

- W takim razie proponuję, żebyśmy go poszukali i wytrącili mu broń z ręki. - Zdawało się, że myśl o poszukiwaniu ukrytego skarbu wydaje się Crisowi podniecająca. Mężczyźni to duże dzieci, pomyślała Tamsyn.

- Niestety, nie wierzę, by był tu ukryty jakiś skarb. Sądzę, że Jory zrobiłby ze swoimi pieniędzmi coś bardziej irytującego. Możliwe na przykład, że oddał je do banku w Exeter pod fałszywym nazwiskiem i zapomniał mi o tym powiedzieć.

- Czy jest pani pewna, że nie ma żadnego skarbu? - W głosie Crisa wciąż brzmiała nuta nadziei.

- Nie ma tu żadnych sekretnych grot ani tuneli. A raczej są, ale wszystkie znane i mnie, i wieśniakom. A Jory był zbyt rozsądny, by zakopać pieniądze za kościołem w jakimś świeżym grobie czy użyć innej z podobnych sztuczek. Z pewnością chciałby, żeby pieniądze przynosiły procent i były bezpieczne. Nie schowałby ich w miejscu, gdzie ktoś mógłby na nie przypadkiem natrafić.

- W świeżym grobie? - powtórzył Cris z niedowierzaniem. - Zdumiewa mnie pani.

- Oczywiście. To najlepszy sposób, żeby nie było widać, że ziemia została świeżo poruszona. Czekają na pogrzeb kogoś z wioski, przychodzi tej samej nocy i zamiast okradać grób, dokłada coś do niego. - Dostrzegła w jego oczach pytanie i przez chwilę miała ochotę podrażnić się z nim, ale zrezygnowała. - Nie, ja nigdy tego nie robiłam. Zanadto szanuję tutejszych ludzi, choć przypuszczam, że nikt z nich nie byłby zdziwiony ani poirytowany, gdyby coś takiego się zdarzyło. - Cris nadal pa-

trzył na nią z niedowierzaniem. – Mieszkańcom miast trudno jest pozbyć się uprzedzeń do nas, ludzi ze wsi, żyjących na granicy kraju. Podział na zatwardziałych bandytów i niewinnych sielankowych wieśniaków nie jest tak oczywisty ani precyzyjny.

– Nie, przypuszczam, że jest to nieco bardziej skomplikowane. – Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek z dziwnym uznaniem.

– Powinnam już iść. – Podniosła się i Cris natychmiast wstał. – Muszę znaleźć Williego Tremayne’a i sprawdzić czy pozostałe zwierzęta są bezpieczne.

– Oczywiście. Pomogę pani wsiąść.

– Nie ma takiej potrzeby. – Weszła na kłode i wskoczyła na siodło. – Zapewne zobaczymy się podczas lunchu.

Pomachała mu wolną ręką, prowadząc konia nierówną, zrytą przez króliki ścieżką, która prowadziła na urwisko. Gdy Cris nie mógł jej już dostrzec, zwolniła i wystawiła twarz do chłodnego wiatru. Cris Defoe nic właściwie nie zrobił, popatrzył tylko na nią ciepło i przytrzymał ją nieco za blisko, gdy zsiadała z konia, ale to wystarczyło, by cała wypełniła się radosnym drżeniem i zaczęła oczekiwać czegoś więcej. Nie było na to żadnego usprawiedliwienia. Musiała być ze sobą szczerą. Po raz pierwszy od śmierci Jory’ego jakiś mężczyzna wyrwał ją z przyjemnej rutyny ciężkiej pracy. Owszem, był to bardzo przystojny, a nawet piękny mężczyzna, wyrafinowany i wykształcony, ktoś, z kim można było porozmawiać o czymś więcej niż ceny śledzi i zapotrzebowanie na wołowinę w Barnstaple. Pocałował ją w morzu, a teraz wybudziła się z transu jak zaspana królewna Śnieżka. Mówiąc bez ogródek, chciała pójść z nim do łóżka. Te pragnienia powinny ją chyba oburzać, ale czy wdowom nie przyznawano nieco więcej wolności? Czy nie mogła sobie pozwolić na pewną śmiałość?

– Należę tylko do siebie – poinformowała Foxy’ego, który uprzejmie zastrzygł uchem. – A skoro tak, to chciałabym zostać kochanką Crisa Defoe choćby na krótki czas.

Była pewna, że on ma spore doświadczenie w tych sprawach i że gdy nie przebywał w dziczy Devonu, eleganckie i wyrafinowane wdowy kusiły go każdego dnia. No właśnie, wyrafinowa-

ne. Na lokalnych zgromadzeniach w Barnstaple czy Bideford Tamsyn sprawiała wrażenie szacownej, dobrze ubranej damy. Często zapraszano ją do tańca i nigdy nie brakowało jej towarzysztwa przy kolacji, ale żaden z tych dżentelmenów nie był nawet w jednej dziesiątej tak elegancki jak Cris Defoe. I choć nie brakowało jej pewności siebie i wiedziała, że nie musi się wstydić własnej edukacji ani manier, jej umiejętności towarzyskie nigdy nie zostały sprawdzone w londyńskim salonie. Zresztą nie na tym polegał problem. Gdyby posadzono ją w jednym salonie z jakąś księżną, z pewnością zwykła uprzejmość i wyobraźnia wystarczyłyby, żeby dać sobie radę. Ale jak miała pokazać mężczyźnie, że byłaby mu skłonna ulec, nie mówiąc tego wprost ani nie ubierając się nieskromnie?

Przy Jorym nie musiała robić ani jednego ani drugiego. Któregoś dnia zderzyła się z nim, gdy po nieprzyjemnej rozmowie z Franklinem biegła przez łąkę w stronę domu, spóźniona na herbatę. Obydwojgu zaparło dech. Od dawna byli przyjaciółmi i czuli się ze sobą swobodnie. Jory wybuchnął śmiechem, ale po chwili zauważył łzy w jej oczach. A potem ich spojrzenia spotkały się i śmiech zamarł na jego twarzy, a w miejsce swobody pojawiło się jakieś zupełnie jej nieznane uczucie. Jego usta odnalazły jej usta i...

- Panno Tamsyn! - zawołał do niej Willie od bramy, odsuwając stary kapelusz na tył głowy. Popatrzyła na jego ogorzałą twarz. Była ponura, ale rozjaśniła się uśmiechem, gdy Tamsyn podjechała bliżej. Za plecami Williego Thorn, biały owczarek, pilnował stadka owiec.

- Kiepska sprawa, Willie. - Tamsyn pozostała na miejscu, nie chcąc płoszyć owiec jeszcze bardziej.

- Ano tak. I ktoś to zrobił umyślnie. Drąg był zdjęty z podpórki i odrzucony na bok. Owce ani wiatr żadną miarą nie mogły tego zrobić.

- Wiem. Zawsze przywiązywałeś go drutem, gdy nie przepędzałeś stada. - Zauważyła, że nieco się rozluźnił. - Czy ktoś widział wcześniej tego psa?

- Nie. Chudy, zdziczały, ale chyba nie był wściekły. Nietutejszy.

- Może ktoś go tu specjalnie przywiózł?

- Ano, pewnie tak. Ktoś ma coś do pani, panno Tamsyn? Ludzie zaczynają gadać. Te stogi i w ogóle. To nikt z miejscowych, chyba pani o tym wie. Za dużo pani zawdzięczamy i wszyscy pamiętają Jory'ego Perowne'a.

- Nie, Willie. To nie jest zemsta. Wydaje mi się, że ktoś chce nas przestraszyć. Powiedz ludziom, żeby zwracali uwagę na obcych, dobrze?

- Ano, powiem. - Pasterz uśmiechnął się, odsłaniając zęby brązowe od tytoniu. - To na pewno nie był ten pani wodnik, co go pani wyciągnęła z morza.

- To nie jest żaden wodnik, Willie, tylko dżentelmen, którego prąd zniósł za daleko.

- Ha. Głupia moda z tym pływaniem. Mówią, że ludzie przyjeżdżają do Ilfracombe specjalnie po to, żeby wejść do morza w drewnianych chatkach na kółkach i że płacą za to, żeby wielkie, silne kobiety zanurzały ich w wodzie. I to dobrze płacą. Po co im to, panno Tamsyn? To głupota.

- Niektórzy lekarze mówią, że woda morska jest dobra na zdrowie, Willie.

- Coś takiego! Chyba dobra, żeby się utopić.

- No cóż, musi być w niej coś dobrego, bo przecież do Ilfracombe nie jest łatwo dojechać i drogi są kiepskie.

- To co ten pani dżentelmen właściwie robił? Kąpał się w morzu dla zdrowia? - Willie pokiwał głową, najwyraźniej zadowolony, że udało mu się znaleźć rozwiązanie zagadki. - To znaczy, że to jakiś niemrawy kaleka. Chudy jak szczapa i kaszlący.

- Niezupełnie. - Tamsyn udało się nie uśmiechnąć. Ten opis zupełnie nie przypominał Crisa Defoe. - Ale zostanie u nas trochę dłużej ze względu na zdrowie.

- Czyżby?

Tamsyn znała ten ton. Z grubsza rzecz biorąc, oznaczał: przyrzemy się mu dokładnie i zrobimy z nim porządek, jeśli będzie próbował niestosownie potraktować wdowę po Jorym Perownie. Doceniała lojalność swoich ludzi, ale zdarzały się chwile, gdy miała ochotę krzyczeć z frustracji. W niewielkiej społeczności wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich.

- Tak, zostanie. Czy sądzisz, że powinniśmy wynająć paru chłopaków, żeby przez jakiś czas pilnowali zwierząt w nocy?

- Dobry pomysł.

Willie zapomniał o obcym pod dachem Barbary Combe House, oparł łokcie na drągu bramy i zajął się rozważaniem, kto jest wystarczająco odpowiedzialny i czy lepiej wziąć jednego chłopaka, czy dwóch albo trzech, którzy będą nawzajem robić sobie kawały.

Gdy został sam, Cris podniósł się i solidnie przeciągnął. Mięśnie barków i ud wciąż go bolały, ale spacer pod górę dobrze im zrobił. Następnego dnia wszystko powinno być już w porządku, a teraz potrzebował przejść się jeszcze trochę i oderwać od myśli o brązowych oczach kobiety, która mówiła wszystko, co myślała.

Spojrzał na nierówną ścieżkę prowadzącą do końca doliny. Jak, do diabła, Collinsowi udało się przyprowadzić tędy powóz, nie łamiąc przy tym osi? To cud, uznał Cris, przeskakując wyjątkowo paskudny wykrot. Już drogi do Hartland Quay były bardzo kiepskie, ale tutaj nie naprawiano ich chyba od czasów rzymskich. Nim dotarł do wioski, musiał zdjąć kurtkę i poczuł zdrowe pragnienie. Gdzieś tu musiała być gospoda. Staął na rozwidleniu głównej ulicy i rozejrzał się. Odnoga idąca w prawo zapewne prowadziła na wybrzeże. Po obu stronach drogi stały parterowe domki, niektóre przykryte strzechami, inne łupkiem. Bielone ściany wyglądały jak ulepione z gliny, ale dalej pojawiały się trochę lepsze budynki. Kilka miało nawet pięterko. Cris zauważył również gospodę z wyblakłym szyldem przedstawiającym galeon pod pełnymi żaglami. Dalej znajdował się sklep. Nad dachami domów wznosiła się przysadzista wieża kościoła.

Narzucił kurtkę na ramiona i poszedł w stronę gospody. Ulica pokryta była nierównym brukiem. Po obu stronach miała chodnik z kamiennych płyt i choć nie widział tu żadnych oznak bogactwa, wieś nie wydawała się uboga ani zaniedbana. Jakaś kobieta wyszła z domu i podlała wodą z dzbanka kwiaty w korytku przy drzwiach. Spojrzała na niego i wróciła do środka, zgarniając ze sobą dziecko.

Jeszcze dwie kobiety wyszły na ulicę. Na biodrach oparte miały kosze, spod podciągniętych spódnic widać było buty zapięte na sprzączki i kawałek kostki. Uśmiechnęły się do niego, a gdy zdjął kapelusz, za jego plecami wybuchnęły chichotem. Z kapeluszem w dłoni przeszedł przez niskie drzwi gospody.

- Dzień dobry.

Pół tuzina mężczyzn siedzących w środku zamilkło i wpatrzyło się w niego z chłodną ciekawością. Wymamrotali powitanie i znów zajęli się piwem. Ze stolika pod oknem dobiegał szcęk kostek domina. Wielki mężczyzna za ladą czekał w milczeniu. Gdy Cris podszedł do niego, skinął głową.

- Dzień dobry, sir. Czym mogę panu służyć?

- Kwartą tego, co macie najlepsze. - Cris oparł łokieć na stole i obrócił się tak, żeby wszyscy mogli dokładnie go obejrzeć. - Czy tu pija się cydr?

- Nie, sir. Nie mamy też chmielu i nie warzymy piwa. Robimy tylko ale. Jest jeszcze brandy.

- O tej porze ale będzie chyba najlepsze.

Brandy niewątpliwie była francuska i pochodziła z przemytu. Cris sięgnął po kufel. Pociągnął długi łyk, a potem następny i uniósł brwi z uznaniem.

- Dobrze.

- Ano, tak. - Mężczyzna za ladą skinął głową bez uśmiechu i wrócił do wycierania grubych szklanek. Cris pił swoje ale i czekał. W końcu jeden z graczy w domino trzasnął o stół wygrywającą kostką i spojrzał na bar.

- To pan jest tym dżentelmenem z Barbary?

- Tak.

- Podobno panna Tamsyn wyłowiła pana z morza?

- Znalazła mnie, gdy z trudem wychodziłem na brzeg. Damy z Barbary Combe były tak miłe, że pozwoliły mi dojść do siebie w ich domu.

- No tak. Pływanie. Po mojemu nie ma z tego żadnego pożytku, tylko tyle, że człowiek dłużej się topi.

- Rzeczywiście, trwało to dość długo - zgodził się Cris poważnie, na co odpowiedział mu wybuch śmiechu od innych stolików. - Jestem tym damom bardzo wdzięczny. Sądzę, że są lubia-

ne w okolicy.

- Panna Isobel jest lubiana, tak. To prawdziwa dama, choć trochę roztrzepana. Panna Rosie robi dużo dobrego dla szkoły, choć sama jest chora. Ale to panna Tamsyn dogląda wszystkiego i dobrze sobie radzi. - Dokoła rozległy się potwierdzające pomruki.

- Zdaje się, że mają teraz kłopoty. Stóg się spalił, owce spadły z urwiska.

W gospodzie zaległo milczenie. Cris pociągnął kolejny łyk ale i czekał.

- To nic takiego. Damy sobie radę. Panna Tamsyn jest teraz jedną z nas - odezwał się jakiś głos z cienia. Brzmiało w nim wyraźne ostrzeżenie.

- Jakim człowiekiem był jej mąż?

Cisza wyraźnie zgęstniała.

- Też był nasz - powiedział ten, który grał w domino. Odłożył kostkę i oparł na stole dwie słusznej wielkości pięści. - Dbamy tu o swoich. Obcy nie muszą się w to mieszać.

Głos brzmiał uprzejmie, ale groźba była zupełnie wyraźna. To nie była jego sprawa i jeśli zacznie zanadto węszyć, miejscowi podejmą odpowiednie działania. Nie mógł ich za to winić, choć utrudniało mu to życie. Czas zmienić temat.

- Ryby biorą?

Haczyk na drzwiach obok baru podskoczył i wyłonił się stamtąd doktor Tregarth, opuszczając podwinięte rękawy koszuli. Pod pachą trzymał torbę lekarską.

- Twoja córka wróci do zdrowia, Jim. To było czyste złamanie. Pilnuj tylko, żeby nie obciążała tej nogi, dopóki jej nie pozwolę, bo krzywo się zrośnie. Gdzie ja zostawiłem kurtkę?

- Tu, doktorze. - Oberżysta wyciągnął kurtkę z za baru. - Dobrze, że to nic gorszego. Zleciała przecież z całych schodów, od góry do dołu. A płakała tak, że serce się rozdzierało. Co jestem panu winien?

- Dzbanek ale i południowy posiłek. To zupełnie wystarczy. - Doktor założył kurtkę. - Muszę wracać do Landing, ale prosto stamtąd znów tu przyjadę.

- Pewnie chodzi o reumatyzm starego Henry'ego - domyślił

się gracz w domino.

- Tu niczego się nie uda utrzymać w tajemnicy. - Lekarz obrócił się z uśmiechem i zauważył Crisa. - Pan Defoe. Jakie wiatry pana tutaj przywiały?

- Dzień dobry, doktorze Tregarth. Przyszedłem tu pieszo.

- Jest pan obolały?

- Trochę - odrzekł Cris równie lakonicznie. - Ruch pomaga. Trzeba tylko zacząć.

- Pierwsza miła jest najgorsza, co? - Tregarth podszedł do drzwi. - Wrócę potem na ten placek, Jim. Dopilnuj, żeby wszystkiego nie zjedli.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę z panem. - Cris położył monetę na barze. - Dziękuję. Do widzenia, panowie.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Będą o panu gadać więcej niż o ostatnim handlarzu, który przed miesiącem dotarł do wioski - zauważył doktor, gdy schodzili ze wzgórza. - Będą plotkować przez wiele dni.

- Sądzi pan, że to ciekawszy temat niż rozważania, w jaki sposób obcy pies dorwał się do stada pani Perowne, nie wspominając już o innych wypadkach?

- Ach, słyszał pan już o tym. - Głos lekarza był starannie obojętny.

- Słyszałem. Ma pan jakieś przypuszczenia? - zapytał Cris, pochylając głowę pod sznurem na pranie przewieszonym w poprzek ulicy.

- Tak jak pan powiedział, seria przypadków.

- Powiedziałem: wypadków, nie przypadków.

- Być może zabrzmi to niegrzecznie, panie Defoe, ale to chyba nie jest pana sprawa. - Lekarz wolną ręką schwycił za kołnierz małego uciekiniera i oddał go biegnącej za nim bez tchu matce. - Nic mu się nie stało, pani Pentyre.

Cris dotknął kapelusza i odsunął się na bok, żeby przepuścić matkę z wierzgającym chłopcem.

- Damy z Barbary Combe House zapewne ocaliły mi życie. Wyraźnie widzę, że dzieje się tu coś złego i jako dżentelmen winien im jestem pomoc.

- Zna się pan na rolnictwie? - zapytał Tregarth wyraźnie

ostrzegawczym tonem.

- Trochę. Lepiej znam się na intrygach, sabotażu, knowaniach i tajemnicach.

- I z pewnością potrafiłby mi pan wyjaśnić, gdzie się pan znalazł z takimi sprawami. Pani Perowne jest atrakcyjną kobietą.

Byli już przy końcu wioski, w miejscu, gdzie ulica przechodziła w wyboisty gościniec. Cris obrócił się nagle, wpychając doktora w kąt między bramą a murem.

- Czy sugeruje pan, Tregarth, że mam niegodne zamiary wobec tej damy? Bo jeśli tak, gotów jestem żądać satysfakcji.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Oczy tamtego zwęziły się i pociemniały. Cris był już niemal pewien, że będzie musiał podać nazwiska sekundantów. Wiedział przy tym, że jest hipokrytą, bo jego myśli, nawet jeśli nie intencje, dotyczące Tamsyn Perowne były niegodne dżentelmena. Musiał jednak zareagować, jeśli nie chciał narazić na szwank jej reputacji.

- Oczywiście jeśli da mi pan słowo, sir...

- Że nie mam zamiaru skrzywdzić pani Perowne? Jak najbardziej ma pan na to moje słowo. Choć z drugiej strony w ogóle mnie pan nie zna, więc nie wiem, jak pan oceni jego wartość. - Co się z nim właściwie działo? Patrząc na tę rozmowę z boku, można by powiedzieć, że próbuje zmusić Tregartha do walki, tak jakby rywalizowali o względy Tamsyn.

O dziwo, lekarz rozluźnił się.

- Wierzę panu. My, ludzie profesji medycznej, musimy nauczyć się oceniać ludzkie charaktery, tak jak stajenni muszą się nauczyć oceniać zachowanie koni. Pan, sir, ma nieco nietypowy krok, ale nie widzę w panu złych intencji.

- Dziękuję - rzekł Cris sucho i odsunął się, myśląc, że chyba znalazł sojusznika. Tregarth poprawił surdut i ruszyli obok siebie, na ile ścieżka na to pozwalała.

- Panna Holt ma bratanka.

- Czarującego lorda Chelford. Zetknął się pan z nim?

- Owszem. Spotkałem go w Londynie, ale nie wierzę mu za grosz, zwłaszcza gdy ma w ręku talię kart.

Tregarth roześmiał się.

- Przypuszczam, że Tamsyn powiedziałaaby to samo. - Zapadło niezręczne milczenie, gdy lekarz uświadomił sobie, że użył imienia zamiast nazwiska. Cris zauważył to, ale nie skomentował. - Naciskał, żeby za niego wyszła. Bardzo uporczywie. I nie chciał przyjąć odmowy do wiadomości.

- Zanim wyszła za Perowne'a?

- Tak. A potem, gdy owdowiała, też. Za pierwszym razem uciekła w małżeństwo z Jorym, za drugim wykazała się żelazną wolą i odrzuciła go bez niczyjej pomocy.

- Skąd się wzięła ta żelazna wola?

Minęli kolejny zakręt drogi. Na południe zbocze opadało, otwierając widok na morze i na kolejne urwisko. Tregarth wskazał je ruchem głowy.

- Black Edge Head. Gdy kobieta widzi, jak jej mąż zostaje zaszczuty na śmierć, może się załamać albo też może to umocnić jej charakter.

- Skoczył z tego urwiska? - Cris popatrzył na strome skały i rozbijające się u ich podnóża fale. - To wysoko. Zapewne zdążył pożałować swojego impulsu.

- Jory Perowne nie działał pod wpływem impulsu. Był realistą, a nie tchórzem. Można umierać na szubienicy nawet przez pół godziny, jeśli władzom zależy, żeby skazaniec trochę pocierpiał, a Perowne miał swoją dumę. Nigdy nie pozwoliłby się pojmać żywcem. A skok z tego urwiska z pewnością był efektowny.

- I ten stary dureń sędziego naprawdę uważał, że musi sprawdzić, czy obcy pod dachem pani Perowne nie jest jej mężem?

- Nigdy nie znaleziono ciała, a Jory był legendą. Miał magiczną charyzmę. Nikt by się nie zdziwił, gdyby wyszedł z morza, ociekając wodą. Kornwalia ma króla Artura, a my w ostatnich latach mieliśmy Jory'ego Perowne'a. Ale jeśli nawet wróci, to jako duch. Sporo ludzi widziało, jak uderzył o te skały. Jest pewne, że wtedy zginął.

Tamsyn wolała małżeństwo z człowiekiem wyklętym przez prawo, który z opisu przypominał szlachetnego bandytę z minionego stulecia, niż poddanie komuś, kto może nie dałby jej szczęścia, ale zapewniłby status i tytuł. Przetrwiała okropną śmierć męża i żyła z jej konsekwencjami, a teraz opiekowała się dwiema uroczymi i najwyraźniej niezbyt mocno stąpającymi po ziemi damami. Zarządzała posiadłością, miała ostry język i całowała jak anioł. Cris zaczął się zastanawiać, kto z nich dwojga bardziej potrzebuje ochrony.

- Ale gdzie on jest? - zapytała płacząco ciotka Izzy po raz czwarty. - Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu porzuciłaś tego biedaka i odjechałaś, Tamsyn. Przecież mógł wpaść do rowu z wyczerpania!

- Nie porzuciłam go, nie jest biedakiem, a tu w pobliżu nigdzie nie ma rowów. - Tamsyn z desperacją popatrzyła na laskę, którą w drodze powrotnej do domu znalazła pod powaloną kłodą i przywiozła ze sobą. - Chodził bez żadnych trudności, a w tej okolicy z pewnością się nie zgubi. Nie wątpię, że pojawi się na lunchu, kiedy zgłodnieje. W końcu to mężczyzna. - Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Powinna powiedzieć ciotkom, że Cris Defoe udawał słabość, żeby mieć wymówkę do pozostania w tym domu, bo chciał je chronić. Ale ciotka Rosie zapewne poczułaby się oburzona, a ciotka Izzy zrobiłaby z niego bohatera.

- Idzie już od strony plaży - oznajmiła Rosie, która siedziała przy oknie.

- Od plaży?

Rzeczywiście szedł przez trawnik, takim krokiem, jakby nigdy w życiu nic go nie bolało. Ale jak mu się udało dostać tutaj niepostrzeżenie?

Na widok Rosie Cris uniósł kapelusz i poszedł ścieżką w stronę drzwi kuchennych. Podobnie jak wszyscy domownicy, nauczył się już ignorować wejście frontowe. Wyraźnie czuł się tu jak w domu. I o dziwo, ciotki, które bardzo chroniły swoją prywatność, nie miały nic przeciwko temu, że pan Defoe zadomowił się tutaj w ciągu zaledwie paru dni.

- Pan Defoe wrócił, więc chyba podam lunch, panno Holt - odezwała się pani Tape. Przez otwarte drzwi usłyszały odgłos jego kroków. Przeskakiwał po dwa schodki naraz.

- Naturalnie - mruknęła Tamsyn, pomagając wstać ciotce Rosie. - Wszystkie kobiety muszą czekać z posiłkiem na mężczyznę. - Nie była w najlepszym nastroju, a w dodatku irytowało ją to, że jest tak drażliwa. Ciotki wyraźnie cieszyła obecność mężczyzny w domu. Izzy mogła go rozpieszczać, Rosie ostrzyć sobie na nim język, a Tamsyn psuła im zabawę.

Nogi w ciężkich butach znów zadudniły na schodach i Tamsyn

zrozumiała, skąd się bierze jej irytacja. Po raz pierwszy od śmierci Jory'ego w domu pojawił się mężczyzna. Owszem, byli mężczyźni wśród służby, ale to co innego. Służący nie wypełniali przestrzeni w taki sposób.

Cris wszedł do pokoju i podał ramię ciotce Rosie. Policzki miał zarumienione, niebieskie oczy błyszcząły. Był wspaniałym męskim okazem w kwiecie wieku. Jest sprytniejszy, niż sądziłam, pomyślała Tamsyn. Ale czy używał swojej inteligencji, by im pomóc, czy też miał jakieś inne motywy? Chyba nie mógł być w zмовie z Franklinem? Nikt nie zaryzykowałby utonięcia w takim celu. Owszem, zainteresował go legendarny skarb Jory'ego, ale gdyby rzeczywiście chciał się dostać do domu podstępem, wystarczyłoby wypaść z łódki w ich przystani albo spaść z konia w pobliżu domu.

- Przyszedł pan od strony plaży, panie Defoe - zauważyła, gdy usiedli do stołu. - To spory kawał od miejsca, w którym się rozstaliśmy. Proszę się poczęstować sardynką.

Spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

- Dziękuję, ale na dziś mam już dosyć ryb. - Ukroił kawałek szynki i podsunął ciotce Rosie. - Jeden z rybaków ze Stib's Landing podwiózł mnie kawałek. Jego wóz cały jest oblepiony rybiemi łuskami. Nazywa się chyba Dan Cardross. Jechał sprawdzić kosze na kraby.

Dan był prawą ręką Jory'ego, ale Tamsyn pomyślała, że nie powinna przywiązywać do tego większej wagi.

- Przeszedł pan spory kawałek.

- Poszedłem do Stibworthy, wypilem kwartę ale w gospodzie, spotkałem doktora Tregartha i w jego towarzystwie dotarłem do przystani. Przyznaję, że z radością przyjąłem propozycję powrotu łódką - dodał w stronę ciotki Izzy, która mamrotała coś pod nosem o nadmiernych wysiłkach i lekkomyślności.

Tamsyn pomyślała, że gdyby Cris Defoe musiał wrócić z przystani o własnych siłach, nie miałby z tym najmniejszych problemów.

- Musi pan odpocząć po południu - powiedziała słodko. - Może pański służący zrobi panu masaż?

- Jest pani niezmiernie troskliwa, pani Perowne. Muszę przy-

znać, że myśl o łóżku jest bardzo kusząca. – Błękitne oczy skryły się pod powiekami. Tylko po tym Tamsyn poznała, że Defoe się z nią drażni. Ciotki niczego nie zauważyły. – Ale muszę się zająć listami. To nie wymaga wielkiego wysiłku. Jak się stąd wysła listy?

– Jason zabierze je do Ship Inn. Pocztylion przyjeżdża tam codziennie z wyjątkiem niedziel, około jedenastej. Przywozi pocztę, zabiera nasze listy i zawozi je do Barnstaple. Poczta zaadresowana poza hrabstwo zabierana jest parowcem do Bristolu, a stamtąd jedzie dalej dylizanssem pocztowym. List, który wyśle pan jutro rano, będzie w Londynie za trzy dni – wyjaśniła Tamsyn rzeczowo.

– Parowcem?

– Mamy tu parowce, bo drogi są bardzo złe. Właśnie tak goście docierają do Ilfracombe i Instow. Północny Devon stał się ostatnio jednym wielkim kurortem.

– Właśnie stąd wziął się pomysł na pokój kąpielowy – wyjaśniła ciotka Izzy. – Czytałam, że kąpiele w gorącej morskiej wodzie bardzo pomagają na bóle reumatyczne. Ale Rosie naturalnie nie zniosłaby podróży tymi okropnymi drogami do Ilfracombe, toteż postanowiłyśmy urządzić jej kąpiele na miejscu.

– Doskonały pomysł. Czy miałyby panie coś przeciwko temu, że narysuję sobie przebieg instalacji? Bardzo mnie kusi myśl o gorących kąpielach w moich własnych domach.

– Domach? – A zatem miał więcej niż jeden dom? Ciotka Izzy potrząsnęła głową, słysząc pytanie Tamsyn, ale Cris nie wydał się urażony jej ciekawością.

– Mam dom na wsi i kamienicę w Londynie – wyjaśnił. – Czy mogłaby mi pani podać masło?

Tamsyn przysunęła mu maselniczkę.

– To wspaniałe. Może pan pojechać do Londynu w każdej chwili, kiedy pan tylko zechce.

– Do sklepów? – Wyraźnie dostrzegła, że znów się z nią drażni. Nawet się nie uśmiechnął, ale nauczyła się już zauważać niewielki dołeczek, który pojawiał się w kąciku jego ust, gdy pan Defoe próbował skryć rozbawienie.

– Oczywiście. A także do księgarń, teatrów oraz po to, żeby

zobaczyć St. James's Palace, Carlton House i parki.

- A zatem dobrze pani wspomina swój sezon towarzyski?

- Nie miałam sezonu, ale jeśli chodzi o spotkania towarzyskie związane z rynkiem matrymonialnym, to nie żałuję, że mnie ominęły.

- Towarzystwo wiele straciło na pani nieobecności, pani Perowne. Proszę tylko pomyśleć o tych wszystkich kawalerach, którzy nie mieli okazji pani adorować, o balach i wieczorkach, których nie zaszczyciła pani swoją obecnością.

- Jestem pewna, że ci kawalerowie przeżyli to bez szwanku. Przecież nawet nie wiedzieli, co tracą.

Ciotka Izzy roześmiała się i spojrzała na Rosie.

- Pamiętasz to spotkanie w Exeter, w wieczór przed moimi osiemnastymi urodzinami?

Już po chwili pogrążyły się we wspomnieniach, przywołując coś, co bardzo je bawiło.

- Tak. Te biedne dusze pozostały w nieświadomości - powiedział Cris powoli, ignorując zaśmiewające się ciotki, i nie spuszczać wzroku z twarzy Tamsyn, podniósł szklanke ale do ust. - Trudno uwierzyć, że można przeżyć wiele lat, nie zdając sobie sprawy z pustki tego życia.

Nie chciał chyba powiedzieć, że to ona zapełniła pustkę w jego życiu? Nie, z całą pewnością chodziło mu o to, że to ona żyje tu odcięta od świata, nie zdając sobie sprawy, co traci. Tak, to było bardziej prawdopodobne. Poczuli się upokorzona.

- Równie niewiarygodne jest to, jak trudno jest niektórym ludziom uwierzyć, że ci, którzy cenią sobie w życiu zupełnie inne rzeczy, mogą być szczęśliwi - odparowała.

W spojrzeniu Crisa błysnęły emocje.

- Wydaje mi się, Tamsyn, że mówimy o czym innym.

- Pewnie dlatego, że pochodzimy z innych światów. - A zatem nie chciał jej obrazić. Przypomniał jej jednak, jak bardzo jest oddalona od dobrego towarzystwa, żyjąc na krańcu Anglii, między morzem a kiepskimi drogami. Należała do wiejskiego ziemiaństwa i od czasu ślubu groziło jej osunięcie się do niższej warstwy. Dotychczas sądziła, że niewielki majątek zapewnia jej wszystko, co jest jej w życiu potrzebne, ale ten majątek był

śmiesznie mały w porównaniu z bogactwem, do jakiego Cris Defoe najwyraźniej przywykł, sądząc po eleganckich butach i kurtkach, pokojowym oraz londyńskim domu. Tamsyn musiała mu się wydawać żałośnie prowincjonalną prostytutką.

Nie miała jednak ochoty użalać się nad sobą ani hodować w sobie kompleksu niższości, pomyślała zatem, że Cris Defoe nie potrafiłby sobie poradzić na aukcji bydła, założyć wiejskiej szkoły czy nauczyć się francuskiego z książek zamawianych w Exeter. Żadna ze znanych mu dam nie prowadziła też farmy ani stawów rybnych.

Skończyli posiłek w uprzejmym milczeniu, zrzucając cały ciężar konwersacji na dwie starsze damy. Mężczyźni są bardzo skomplikowani, pomyślała Tamsyn. Odłożyła serwetkę na stół i uprzejmie skinęła głową, gdy Cris odsunął jej krzesło. Ciotka Izzy w końcu przestała mówić i zauważyła, że wszyscy już dawno zjedli.

Cris podał ramię ciotce Rosie. Tamsyn poszła za nimi.

- Droga, którą pan przeszedł rano, jest bardzo piękna i oferuje wspaniałe widoki - mówiła Rosie, gdy pan Defoe prowadził ją do bawialni. - Nie byłam tam już pięć czy sześć lat. Nie powinienam się skarżyć, to uroczy dom i z ogrodu mam widok na morze, wyznaję jednak, że brakuje mi spacerów po urwiskach. Stamtąd widać cały przestwór oceanu, a na horyzoncie Lundy Island i przepływające statki.

Gdyby miały więcej pieniędzy, Tamsyn kazałaby naprawić drogę do wioski, wyrównać i pokryć ją nawierzchnią opracowaną niedawno przez pana McAdama. Ale nie mogły sobie na to pozwolić, a ciotka Rosie z całą pewnością nie zgodziłaby się na tak wielki wydatek tylko dla jej przyjemności.

- Dam pensa za pani myśli. - Cris zatrzymał się obok niej u stóp schodów i patrzył na nią z zagadkowym uśmiechem. Tamsyn uświadomiła sobie, że stoi nieruchomo, gapiąc się na drzwi domu.

- Zastanawiałam się nad budową dróg - przyznała. - To kosztowna inwestycja.

- Nie przestaje mnie pani zadziwiać, pani Perowne - odpowiedział cicho. - Czy pozwoli pani, bym został tu jeszcze przez kil-

ka dni, choć wyszło już na jaw, że nie jestem osłabiony?

- Chyba tak. - Ponury nastrój naraz ją opuścił. - Nie mogę przecież skracać panu wakacji nad morzem.

- Wakacji? - Usta Crisa rozciągnęły się w krzywym uśmiechu. - Trudno to tak nazwać.

Odwrócił się i wszedł na schody. Tamsyn dotknęła jego ręki spoczywającej na poręczy.

- W takim razie jak można to nazwać?

Przez chwilę sądziła, że nie usłyszy odpowiedzi, Cris jednak poruszył dłonią i podniósł jej palce do ust.

- Ucieczką od rzeczywistości, od utraty marzeń, od konieczności zaakceptowania tego, co nieuniknione - powiedział cicho.

- Może to rzeczywiście definicja wakacji. - Jego oddech był ciepły, a dotyk ust lekki jak muśnięcie. Palce dotykały jej przegubu w miejscu, gdzie biło tętno. Zapewne poczuł, że bije ono szybko.

To było szaleństwo. Niebezpieczne szaleństwo. Tym bardziej niebezpieczne, że rozpalał je tak lekki dotyk, subtelna pieśczo-ta. Pragnę go, a on nie odrzuciłby mnie, gdybym przyszła do jego łóżka, pomyślała Tamsyn. Ale jak się zawiązuje romans, nawet krótki, mieszkając pod jednym dachem z dwiema czujnymi ciotkami? I jak mogłaby zaryzykować własną reputację, własne serce dla kilku chwil z mężczyzną, który wkrótce stąd zniknie?

Za plecami słyszała ciotki rozprawiające o książkach zamówionych z obwoźnej biblioteki z Barnstaple. Niewinne, bezpieczne przyjemności. Romans nie był niewinny ani bezpieczny, ale niewinność i bezpieczeństwo naraz przestały się jej wydawać pociągające. Wsunęła dłoń we włosy Crisa tuż nad karkiem, przyciągnęła jego głowę do swojej i uniosła twarz. Jeden pocałunek. Tyle chyba mogła zaryzykować?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jego pocałunek nie był nieśmiały ani pełen uszanowania. Z całą pewnością Cris nie zwracał uwagi na to, gdzie są. Cofnął się ze schodów, wziął ją w ramiona i pociągnął w stronę drzwi. Tamsyn zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła usta. Usłyszała głęboki pomruk i jego język znalazł się w jej ustach. Jeśli nawet nic więcej nie miało z tego wyniknąć, pożądanie i odpowiedzialność za to, co się działo, rozkładała się równo na nich oboje.

Odsunęli się od siebie zdyszani. Tamsyn pomyślała, że zapewne wygląda podobnie jak on, potargana i z pociemniałymi oczami. Sięgnęła za plecy, obróciła klamkę i wysunęła się na werandę, pociągając go za sobą.

- Altana.

Pobiegła przez trawnik, nie sprawdzając, czy Cris idzie za nią. Wyminęła gęste krzewy, wpadła do altany, z której rozciągał się widok na plażę, i osunęła się na ławkę. Cris wsunął się do środka tuż za nią, zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami.

- Cóż to było, na Hadesa? Przeżyłem kiedyś lawinę w Alpach, ale nie była tak gwałtowna i z pewnością mniej przerażająca. - Uśmiech złagodził jego twarz i sprawił, że stała się bardziej rzeczywista.

- Pomyślałam, że pocałunek byłby... Chciałam cię pocałować jeszcze raz.

- Absolutnie nie zamierzam protestować - odrzekł, ale nie ruszył się od drzwi.

- Zauważyłam. - Usta Tamsyn zadrgały w uśmiechu. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że w pożądaniu może być coś zabawnego. - Ale wie pan chyba, że tylko na tyle możemy sobie pozwolić. Tylko na pocałunek. To i tak bardzo niestosowne.

Uśmiech Crisa stał się szerszy.

- Być może tak. Dokoła jest zbyt wielu ludzi, ale kochankowie zawsze wynajdywali sposoby, by znaleźć się sam na sam.

- Nie jesteśmy kochankami.

- Jeszcze nie. - Odsunął się od drzwi i usiadł na drugim końcu ławki, nie dotykając jej. - Ale zanosilo się na to od samego początku. Od tej chwili szaleństwa na plaży. Nie jestem żonaty, Tamsyn, a ty nie jesteś niewinna. Cóż mogłoby nas powstrzymać?

- I nie jesteś z nikim związany? - zapytała ze zdziwieniem.

Nie odpowiedział od razu. Zauważyła, że przymknął oczy, jakby chciał skryć przed nią swoje myśli.

- Cris?

Otworzył oczy i spojrzał na nią z uśmiechem, który jednak nie sięgał oczu.

- Nie, nie jestem z nikim związany. - Podniósł się gwałtownie jak puszczona sprężyna. Tamsyn drgnęła. - Masz rację, to bardzo niestosowne. Byłaś już mężatką, ale to nie daje mi prawa, by cię traktować jak jedną z wyrafinowanych londyńskich wdów. One znają zasady gry i poruszają się w kręgach, gdzie rozumie się takie rzeczy. - Otworzył drzwi i wyszedł na trawnik upstrzony stokrotkami. - Wybacz mi.

Zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, i stanęła w drzwiach, on już wchodził do domu. Przez myśli Tamsyn przebiegły wszystkie słyszane niegdyś od Jory'ego przekleństwa. Niech to diabli, pomyślała. Jest jakaś kobieta. Masz, czego chciałaś. Dostałaś swój pocałunek i to wszystko. Jesteś godna szacunku, bezpieczna i sfrustrowana.

Zmiana ról odbyła się tak szybko, że zupełnie ją zaskoczyła. W jednej chwili to ona się wahała, a on był chętny, w następnej ona odsunęła na bok wątpliwości, a on się wycofał. Próbowwała jakoś dojść z tym do ładu. Cris zachował się jak dżentelmen, w każdym razie od chwili, gdy przestał ją całować łąpczywie niczym wikiński najeźdźca. Pytanie o inną kobietę wytrąciło go z równowagi. Powiedział, że nie ma nikogo innego, ale zapewne przyplęnęło do niego jakieś bolesne wspomnienie.

Zeszła w dół po zboczu, kierując się w stronę plaży. Nad morzem zawsze lepiej się jej myślało, ale teraz, gdy patrzyła na fale Atlantyku, które kończyły tysięczną podróż, rozbijając się o piasek i pozostawiając na nim koronkowy ślad, wiedziała,

że nie ma się nad czym zastanawiać. Pragnęła Crisa Defoe, choć wiedziała, że on wkrótce stąd zniknie, a to oznaczało, że musi podjąć decyzję. Czy byłaby w stanie uwieść mężczyznę i czy powinna to zrobić?

- Mięśnie pana bolą, sir? Czy ma pan ochotę na masaż? - Collins podniósł się z miejsca przy oknie z widokiem na ścieżkę prowadzącą w stronę Stibworthy i odłożył książkę, która wyglądała na podręcznik gramatyki niemieckiej.

- Nie, dziękuję. - Cris stłumił przekleństwo. Nie powinien wyładowywać złego nastroju na pokojowym. Pomyślał, że zastanowi się nad tym, co zaszło, później, gdy już odzyska kontrolę nad oddechem i krew powróci do jego mózgu. - Przynieś mi papier, atrament, wosk i pieczęć.

- Ale chyba nie pańską prawdziwą pieczęć, tylko tę zwykłą? - Collins odczepił kluczyk od łańcuszka przy zegarku i otworzył duży sekretarzyk stojący na komodzie. Położył pieczęć na stoliku pod oknem, wyjął papier i kałamarz oraz kilka piór ze stalowymi końcówkami i uderzył w krzesiwo, by zapalić świecę. - Jaki kolor wosku pan sobie życzy?

- Niebieski. - Cris obrócił pieczęć w palcach. Jego własny sygnet z herbem rodziny de Feaux z pieczęcią był bezpiecznie zamknięty. Przedstawiał Feniksa wznoszącego się z płomieni z mieczem w jednej łapie. *Z popiołów wzrastam, w ogniu zdobywam*. Herb oparty był na podobieństwie wymowy słów Feaux i feu - ogień. Pieczęć, którą miał w tej chwili w ręku, przedstawiała tylko płomienie, ale przyjaciele ją znali.

- Będzie pan szyfrował, sir?

Cris zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Czy sądzisz, że ktoś w tym domu mógłby otworzyć cudzy list?

Gabriel Stone przebywał teraz w Londynie i był najlepszym źródłem informacji o Franklinie Holcie, wicehrabim Chelford. Gabe był earlem Edenbridge, a także hazardzistą, który grywał w karty z wielkim powodzeniem i zimnym umysłem. Z pewnością będzie wiedział, co porabia Chelford, czy ma długi i czy zanosi się na jakiś skandal.

Dowiedz się, czego tylko możesz. Szczególnie interesuje mnie wszystko, co dotyczy związków Chelforda z jego ciotką, panną Holt, z której adresu piszę, oraz warunków dziedziczenia przez niego tej posiadłości.

Odłożył pióro i wpatrzył się w okno, zastanawiając się, czego chciałby się dowiedzieć. Żałował, że nie może poprosić o przysłanie paru krzepkich policjantów z Bow Street albo jeszcze lepiej, lokajów z jakiegoś przybytku hazardu, ale w tej okolicy tacy ludzie rzucaliby się w oczy jak żonkile w piwnicy z węglem. Skupił spojrzenie na kamienistej ścieżce i uśmiechnął się. Oczywiście! W ten sposób upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Znow zanurzył pióro w atramencie.

Czy przypominasz sobie ten drobny wypadek w Bath i naszych dwóch irlandzkich przyjaciół? Może udałoby ci się odnaleźć ich razem ze sprzętem. Mógłbym wykorzystać ich umiejętności i zamiłowanie do bitki.

Wszystkie listy adresuj do pana C. Defoe.

Zapieczętował list, zaadresował go do earla Edenbridge, owinął jeszcze jednym arkuszem papieru i wypisał na nim adres swojego prawnika w City. Zapieczętował jeszcze raz. Jego gospodynie być może nie czytywały cudzej korespondencji, ale nie było potrzeby afiszować się z listami do arystokratów.

- Dziękuję, Collins. Zabierz to na dół. Jestem pewien, że ktoś zanieśnie to do biura pocztowego w wiosce. To byłoby na razie wszystko.

Gdy został sam, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Dopiero teraz pozwolił sobie na myślenie o Tamsyn. Miał wrażenie, że próbuje rozplątać zasupłany sznurek. Zastanawiał się, co on sam czuł, co powinien czuć, czego ona chciała i co jest słuszne. Nie była niewinna, ale nie miała też doświadczenia z innymi mężczyznami oprócz męża. Cokolwiek robiła od śmierci Jory'ego Perowne'a, z pewnością nie dzieliła łóżka z żadnym z miejscowych dżentelmenów. To była malutka, prosta społeczność, gdzie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich i każda plotka roznosiła się po całej okolicy w ciągu kilku godzin. Gdy-

by ten... flirt... szaleństwo... cokolwiek to było, posunął się dalej, musieliby rzeczywiście zachować wielką ostrożność.

Zresztą, o czym on właściwie myślał? Ciało wysyłało mu bardzo wyraźne sygnały, ale już od miesięcy, odkąd po raz pierwszy zobaczył Katerinę, nie był z żadną kobietą. Kiedy widywał ją codziennie, nie mógłby nawet pomyśleć o nikim innym. Ale Katerina była daleko, niedostępna, i tak już miało pozostać na zawsze. A on nie był stworzony do życia w celibacie.

Usiadł przy oknie i popatrzył na kępe kolcolistu. Nie powinien uważać pocałunku z inną kobietą za zdradę wobec Kateriny. Przecież nigdy nie należała do niego, nigdy nie wypowiedziała słów, które odczytywał w jej wzroku. Jednak pożądanie, które wzbudzała w nim Tamsyn, sprawiało, że zaczynał wątpić w swoje uczucia wobec Kateriny i te wątpliwości wzbudzały w nim niepokój. Czy to była miłość? Z pewnością to było coś więcej niż tylko czyste pożądanie. Ale czy to, że pragnął Tamsyn, wynikało tylko z egoistycznej potrzeby, by się zatracić w chwilowej namiętności?

Może powinien wyznać jej, kim jest? Doszedł jednak do wniosku, że nagła wolność za bardzo mu się podoba. Po raz pierwszy w dorosłym życiu czuł się wolny od oczekiwań i wymogów związanych z tytułem. Był po prostu Crisem, mężczyzną, któremu podoba się kobieta i który chce ją chronić przed niebezpieczeństwem. Nic dobrego by z tego nie przyszło, gdyby Tamsyn się dowiedziała, kim jest naprawdę.

Nic nie mogło jej przywrócić do rzeczywistości skuteczniej niż księgi rachunkowe. Ale tego popołudnia nic nie chciało się zgadzać – ani cena owsa, ani rachunek od kowala, ani nawet pieniądze za jajka. Tamsyn zazgrzytała zębami, odrzuciła pokreśloną kartkę i zaczęła wszystko od początku. Doskonale wiedziała, że nie potrafi się skupić. Wciąż myślała o niebieskich migdałach i wyczekiwała kroków na schodach.

– Listy, panno Tamsyn.

Drgnęła i na stronie księgi rachunkowej pojawił się wielki kleks.

– Jason! Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam, panno Tamsyn. - Chłopak wszedł do pokoju i wysypał zawartość worka na stół.

Przygryzła usta i spojrzała na niego.

- Dziękuję, Jason.

Przycisnęła bibułę do plamy atramentu, ale tylko pogorszyła sprawę. Z nagłą desperacją wyrwała całą stronicę i sięgnęła do poczty. Kilka gazet sprzed dwóch dni, zawiadomienie z obwoźnej biblioteki, że trzy powieści, o które pytała, są już dostępne, kolejne rachunki, w tym jeszcze jeden od kowala, zaproszenie na kolację na plebanii za tydzień podczas pełni księżyca, gdy podróż wyboistymi drogami będzie mniej ryzykowna, oraz list z pieczęcią prawnika. Zapewne chodziło o dzierżawy, a może była to odpowiedź na jej pytanie dotyczące kupna niedużego magazynu w Barnstaple. Gruby papier, kosztowny jak usługi pana Pentire'a, zaszeleścił, gdy złamała pieczęć i zaczęła czytać.

- Co? - pisnęła naraz. - Co za świnią! Co za podła, bezczelna świnią!

Na schodach zadudniły kroki.

- Tamsyn? Co się stało? - zawołała ciotka Izzy.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i zobaczyła w nich Crisa z pistoletem w ręku.

- Co się dzieje? - Rozejrzał się szybko po pokoju, pociągnął ją z krzesła i przycisnął do siebie. - Kto tu był? Dokąd uciekł?

Ciotka Izzy wpadła zaraz za nim. Wykrzyknęła na widok siostrzenicy w objęciach mężczyzny z pistoletem w ręku i opadła na najbliższe krzesło.

- Co się stało? Dlaczego pan ma pistolet?

- Jaki pistolet? - zapytała ciotka Rosie z progu, gdzie stała z ponurą twarzą, ściskając w powykęcanej dłoni pogrzebacz.

- Nikogo tu nie ma, ciociu Izzy. Proszę, uspokój się. Cris, odłóż tę broń i puść mnie. Ciociu Rosie, zaraz ci pomogę.

Cris ją ubiegł. Pierwszy podszedł do drzwi, łagodnie ujął ciotkę pod ramię i wsunął broń za pasek spodni.

- Nie jest naładowany. Ten pogrzebacz jest groźniejszą bronią. Proszę mi go dać, panno Pritchard. Pani Perowne, dlaczego tak pani krzyczała?

- Straciłam cierpliwość. - Tamsyn pomachała listem. - To list od pana Pentire'a, który prowadzi nasze interesy. Nasi bankierzy napisali do niego, bo otrzymali informacje, że zamierzamy wycofać wszystkie fundusze, żeby spłacić nagle i nieoczekiwane długi. W rezultacie pozbawili nas zdolności kredytowej. A połowa dzisiejszej poczty to rachunki. Widocznie wiadomości już się rozniosły. Pentire oczywiście zapewnił bank, że nic złego się nie dzieje, ale możemy teraz oczekiwać zalewu rozmaitych płatności i miną zapewne długie miesiące, zanim ludzie znów uwierzą w naszą wypłacalność.

- Czy możecie sobie pozwolić na spłatę wszystkich zobowiązań? - zapytał Cris.

- Tak. Nie dopuszczam do zaległości i zawsze wszystko opłacamy. Na szczęście zbliża się już koniec kwartału, kiedy spływają pieniądze za czynsze dzierżawne, ale chodzi o zasadę. Ta sytuacja zasieje wątpliwości w umysłach ludzi, którzy nie znają nas dobrze. To na pewno sprawka Franklina. Nie wierzę, by ktokolwiek inny żywił do nas jakąś urazę i mógł się tak zachować.

- Przecież Franklin nie żywi do nas żadnej urazy - zaprotestowała ciotka Izzy. - Wiem, że go nie lubisz, moja droga, i muszę przyznać, że jako bratanek bardzo mnie rozczarował, ale...

- Żadnych ale - wtrąciła ciotka Rosie. - Tamsyn ma rację. On chce się nas stąd pozbyć. Chciałabym tylko wiedzieć dlaczego.

- Nigdzie się nie wyniesiemy i na tym koniec - stwierdziła ciotka Izzy z wyjątkową u niej stanowczością.

- Zechce mi pani wybaczyć to pytanie, ale czy pani prawa do tej posiadłości są uwarunkowane zamieszkaniem tutaj? - Cris oparł biodro o krawędź stołu i popatrzył na wszystkie trzy kobiety. - Jeśli panie się stąd wyprowadzą, co się stanie z Barbary Combe House i z całą posiadłością?

- Zatrzymam prawo własności i dochody - odrzekła Izzy.

- I pani bratanek o tym wie?

- Naturalnie.

- A zatem nie przejmie tej posiadłości aż do... proszę znowu wybaczyć, aż do pani śmierci?

Izzy wstrzymała oddech, Rosie pobladła, a Tamsyn z wysił-

kiem pohamowała wybujałą wyobraźnię.

- Ciociu Izzy, przecież Franklin zaproponował ci dom na swoim terenie. Zgadza się, że chciałby się nas stąd pozbyć, ale nie sądzę, by zależało mu na samej posiadłości. Dochód z farmy wystarcza na nasze potrzeby, ale jest o wiele za mały, żeby wyratować go z jakiegoś kryzysu finansowego, a ziemia w tej okolicy jest bardzo tania, więc nawet sprzedaż niewiele by mu pomogła.

Spojrzała na Crisa, który wpatrywał się w nią nieruchomo. Oczywiście był jeszcze rzekomy skarb Jory'ego. Gdyby Franklinowi udało się wypędzić je z domu, mógłby go gruntownie przeszukać.

- Ciociu Izzy, nie musisz się martwić o swoje bezpieczeństwo.
- Przymrużyła oczy i spojrzała na Crisa, prosząc go wzrokiem, by nic więcej nie mówił. - Zorganizowałam już dodatkowy dozór nad zwierzętami, a my jesteśmy tu bezpieczne. Dom leży tak daleko od ludzkich siedzib, że każdy obcy zostanie zauważony dużo wcześniej.

Cris podniósł się.

- Oczywiście jestem nadmiernie ostrożny i zapewne mam zbyt bujną wyobraźnię. Przepraszam, że wzbudziłem w paniach niepokój.

- Nie musi pan przeproszać - odrzekła krótko ciotka Rosie. - Mówi pan bardzo rozsądnie. Powinnyśmy być ostrożniejsze. Zaprowadź mnie do bawialni, Isobel. Nie, pan niech tu zostanie. - Gestem powstrzymała Crisa, który już zbliżał się w jej stronę. - Proszę uspokoić Tamsyn, zanim wyzwie Franklina na pojedynek za jego głupotę! - Roześmiała się. - Gotowa byłabym postawić kilka gwinei, że to ona strzela lepiej.

Cris zamknął za nią drzwi i znów odwrócił się do Tamsyn.

- Najmocniej przepraszam.

- Za co?

- Za to, że zaniepokoiłem pani ciotki, i za to, co się zdarzyło w altanie.

- Ciotki są twardsze, niż pan sądzi, a w altanie nic się nie zdarzyło.

- Być może właśnie za to powinienem przeprosić...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Może to była właściwa chwila, by zdobyć się na odwagę i przyznać szczerze, że chętnie zostałaaby jego kochanką. Ale powstrzymał ją ten sam cień w jego oczach, który wcześniej zabił jej pragnienie. Nie chciała stać się niczym zastępstwem.

Z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Nie ma pan powodu przepraszać, że zachował się pan jak džentelmen. Ja nie byłam pewna, a pan bardzo taktownie nie naciskał. A teraz zechce mi pan wybaczyć, ale muszę dokończyć rachunki, bo inaczej rzeczywiście znajdziemy się w kłopotcie, gdy nadejdą kolejne wezwania do zapłaty.

Sądziła, że zaoferuje jej pomoc, ale tylko uśmiechnął się równie uprzejmie i nonszalancko jak ona skinął głową.

- Oczywiście. Zostawię panią w spokoju.

Gdy wyszedł, przez długą chwilę wpatrywała się w księgi. Droga cnoty była słuszną drogą, a także mniej zenującą. Nie niosła żadnego ryzyka dla nich obojga.

Zdawało jej się, że słyszy szept Jory'ego: „To, co bezpieczne, jest nudne, zabija rutyną”.

Bądź ostrożny, prosiła go często. Nie ryzykuj.

Ryzyko sprawia, że krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. A strach świadczy o tym, że jeszcze żyjesz - odpowiadał, uroczo błyskając zębami. Miał czarujący uśmiech. Właśnie tak uśmiechnął się do niej, zanim obrócił się i pobiegł w stronę krawędzi urwiska. Ryzyko doprowadziło cię do śmierci, Jory, pomyślała teraz i zdawało jej się, że usłyszała odpowiedź: „Tak, ale moje życie było pełne do samego końca”.

Tydzień później Cris wciąż zajmował tę samą sypialnię, Collins większość czasu spędzał w kuchni, a obie starsze damy głośno protestowały, gdy którykolwiek z nich wspomniał, że powinny już ruszać. Cris zresztą nie chciał wyjeżdżać, dopóki nie

otrzyma wiadomości od Gabe'a i nie dowie się dokładniej, jakie są zamiary Chelforda. Czekał także na niespodziankę dla ciotki Rosie.

Starsze damy nalegały, by nazywał je ciotką Izzy i ciotką Rosie, wydawały okrzyki zachwytu, gdy w czymkolwiek im się przysłużył, i rozpieszczały go na każdym kroku. Nawet gdy poplątał włóczkę do robótek ciotki Izzy i wygrał z Rosie w szachy, nie przestały powtarzać, że potrzebny mu jest wypoczynek i że jego obecność doskonale na nie wpływa. Niemal każdego dnia czuł ochotę, by wyznać im prawdę, miał ją już na końcu języka, ale po raz kolejny zamykał stanowczo usta. Ukrywanie tożsamości było jak zatracanie się w picciu, coraz mocniej go uzależniało. Za każdym razem znajdował lepsze usprawiedliwienia. Powtarzał sobie, że rzeczywiście potrzebuje wypoczynku i że nikt go tym nie krzywdzi.

Jedyną skazą na tym przyjemnym obrazie była Tamsyn. Twierdziła, że nie powinny go zatrzymywać, że z pewnością nudzi się tu albo jest mu niewygodnie, a gdy któregoś dnia zakrztusił się przy kolacji, uznała, że potrzebny mu lekarz z Londynu.

Mimo to nie przestawał jej pragnąć. Przez cały czas był podniecony; długie spacerunki po urwisku i po lasach zupełnie nie pomagały. Przychodziło mu do głowy, że jeśli nie przestanie reagować na nią jak szesnastolatek, to w końcu będzie się musiał uciec do kilku zimnych kąpielii w morzu dziennie. Tego ćwiczenia jednak wolał unikać, obawiając się natknąć na Tamsyn, która nie zamierzała zmieniać zwyczajów i pomimo obecności mężczyzny w domu codziennie chodziła nad morze popływać.

Tego ranka wrócił do domu po długim, melancholijnym spacerze na plaży. Tamsyn stała w holu u stóp schodów i układała kwiaty w wielkim wazonie.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał. - Ten wazon wygląda na ciężki.

- Nigdzie go nie zabieram, ale dziękuję za propozycję.

Cris miał wielką ochotę zestawić kosz z kwiatami na podłogę i wziąć ją tu i teraz, na stole wśród porzucanych liści.

Zepchnął tę fantazję w najciemniejsze zakamarki umysłu, skąd w ogóle nie powinna była się wydostać, i przeskakując po

dwa stopnie, pobiegł do sypialni. Coraz trudniej mu było przebywać w towarzystwie Tamsyn i udawać, że nie chce od niej niczego oprócz zwykłej życzliwości.

Collins segregował właśnie pranie. Porozkładane rzeczy zajmowały prawie cały pokój.

- Za chwilę to wszystko zabiorę, sir, muszę tylko odłożyć na bok koszule. Reszta może poczekać.

- Nie przeszkadzaj sobie. - Cris zdjął kurtkę, rozluźnił krawat, stanął przy oknie i ponad dachami stajni popatrzył na stromą ścieżkę. Do domu zbliżał się jeździec w wielkiej bobrowej czapie na rozwianych wiatrem kędzierzawych czarnych włosach. Za nim na horyzoncie widać było dach powozu, do którego przywiązano coś, co przypominało wielką trumnę z oknami.

To był Gabriel. Przyjechał sam, bez ostrzeżenia, i Cris wiedział, że jeśli nie zatrzyma go w porę, to wszystkie jego sekrety wyjdą na jaw. Otworzył okno, przerzucił nogi przez parapet i zeskoczył z wysokości trzech metrów na trawiastą ścieżkę za domem.

- Sir - zawołał Collins, wychylając się za nim przez okno. - Czy mogę w czymś pomóc? - dodał dyskretnym szeptem. Już wielokrotnie obydwaj musieli się ewakuować z jakiegoś budynku przez okno. Cris podejrzewał, że pokojowy tak samo jak on lubi przygody spod znaku płaszcza i szpady.

- Lord Edenbridge tu jedzie. Muszę dotrzeć do niego pierwszy. - Zanim Collins zdążył odpowiedzieć, Cris przecisnął się przez szczelinę w żywopłocie za domem, minął bramę, za którą znajdowało się podwórze, i pobiegł ścieżką.

Na jego widok Gabriel ściągnął wodze i oparł rękę na głównej miecza. Koń, wyszkolony do bitwy, przysiadł na tylnych nogach, gotów zerwać się do biegu, zaraz jednak jeździec rozluźnił się, cmoknął i zwierzę stanęło spokojnie.

- Mój dobry człowieku - powiedział przeciągle, gdy Cris stanął przy jego strzemieniu. - Szukam mojego przyjaciela Crisa de Feaux. Elegancki, dobrze ubrany dżentelmen. Odznacza się pewnym wyrafinowaniem w sposobie bycia. Czy widziałeś w okolicy kogoś, kto odpowiadałby temu opisowi?

Cris odgarnął włosy z oczu.

- Bufon.

- Ja jestem bufonem? Na świętego Brummella, coś ty ze sobą zrobił? Zarośnięty, opalony jak chłop... i co to za strój? - Obrzucił go wzrokiem od stóp do głów. - Co się z tobą, do diabła, dzieje?

- Właśnie wyskoczyłem przez okno. A co ty tu robisz? Potrzebowałem informacji, a nie wątpliwej przyjemności twojego towarzystwa. Poza tym nazywam się teraz Defoe, a nie de Feaux.

Gabriel wzruszył ramionami.

- To, co napisałeś, brzmiało bardzo intrygująco, a ja musiałem się oddalić od pokusy w Londynie. Poczułem nagły przypływ przyzwoitości w stosunku do kobiety. - Wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej cyniczny. - Chodzi o damę. Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli się oddalę, zanim zacznę rozważać naprawę własnych obyczajów, toteż jestem, razem z całym bagażem z Bath, uzbrojony po zęby i gotów na przygody. A sądząc po stanie miejscowych dróg, jest to kraniec znanego ludzkości świata, toteż nie będzie trudno znaleźć tu przygodę.

- Znajdziesz to, czego szukasz. To okolica przemytników, a my zapewne mieliśmy piratów wśród niezbyt dalekich przodków. - Gabriel Stone nosił tytuł earla, ale ze swoimi potarganymi czarnymi włosami, czarnymi jak u Cygana oczami, mieczem u boku i nonszalanckim sposobem bycia wyglądał jak przestępca. - Musimy się pospieszyć. Ja jestem zwykłym panem Defoe, a ty lepiej przedstawiaj się jako pan Stone. W tej części świata nie przywykli do arystokracji i nie chciałbym stwarzać żadnych komplikacji.

- Ani rozbudzać oczekiwań. Przypuszczam, że jest w tym wszystkim jakaś kobieta?

- Dama. - Na dźwięk tego słowa Gabriel uśmiechnął się. - Dzieje się tu coś niepokojącego, ale jeszcze nie rozgryzłem całej sprawy. Na razie mogę ci powiedzieć tyle, że mieszkają tu dwie damy w dość zaawansowanym wieku, którym przyda się ochrona bez względu na to, co one same o tym myślą.

- I dlatego wezwałeś naszych irlandzkich przyjaciół? - Gabriel obejrzał się przez ramię na jadący za nimi powóz z dziwnym ła-dunkiem.

- No właśnie. Porozmawiam z nimi, a potem pójdziemy do domu. Właścicielki niewątpliwie zaproponują ci nocleg. Przyjmij propozycję, chyba że wolisz dojechać dzisiaj aż do Barnstaple. O dziesięć mil stąd w żadnym kierunku nie ma innej gospody.

Podszedł do powozu, skinął woźnicy i otworzył drzwi. W środku znajdowała się sterta bagaży Gabe'a oraz dwóch bardzo dużych Irlandczyków.

- Dzień dobry, milordzie! - wykrzyknął jeden z nich, czarnowłoso. - To wielka przyjemność znów pana zobaczyć.

- Seamus. - Cris spojrzał na jego rudowłosego towarzysza. - Patrick. Słuchajcie. Nazywam się Defoe i zapamiętajcie, że mam jakikolwiek tytuł. Jestem tu w gościnie u dwóch bardzo miłych dam, które potrzebują ochrony, ale nie mogą się o tym dowiedzieć. W razie czego mówcie, że posłałem po lektykę dla jednej z nich, która ma kłopoty z chodzeniem, a wy przyjechaliście, żeby przeszkolić paru miejscowych chłopaków. Tylko że będziecie mieli kłopoty ze znalezieniem odpowiednich osób. Rozumiecie, prawda?

Seamus uśmiechnął się szeroko, ukazując szparę między przednimi zębami, i splótł palce, aż stawy chrupnęły.

- Ktoś robi im na złość? Nie lubimy drani, którzy nastają na miłe starsze damy. Prawda, Patrick? Może pan na nas polegać, mi... panie Defoe. Odkąd pomógł nam pan znaleźć pracę w roli strażników, dobrze sobie radzimy i z przyjemnością popracujemy dla pana na wsi.

Patrick, który nie lubił wiele mówić, tylko chrząknął.

- Rozładujcie lektykę - nakazał Cris. - Za dziesięć minut przyjdźcie za nami. To będzie niespodzianka.

Bóg jeden wie, co właścicielki Barbary House pomyślą na widok dwóch wielkich Irlandczyków. Cris i Gabriel poznali ich w Bath, gdy w ciemnym zaułku dopadła ich banda opryszków, którym nie spodobały się legendarne umiejętności Gabe'a w grze w karty. Gdy kurz opadł i cała czwórka udała się do najbliższej gospody, by opatrzyć rany i uleczyć sińce odrobiną brandy, Cris zaproponował nowym sprzymierzeńcom, by za godziwym wynagrodzeniem zajęli się zawodowo ochroną, a potem

podesłał im kilku klientów. Irlandczycy szybko zdobyli sobie doskonałą reputację i otwarcie wyrażali swoją wdzięczność.

- Tamsyn, widzę przy bramie jakiś powóz - zawołała ciotka Rosie. - I dżentelmena na koniu. Któż to może być?

Tamsyn pospiesznie wrzuciła resztę kwiatów do wazonu, zdjęła fartuch i otworzyła frontowe drzwi. Za nimi stał Cris, który zaledwie dziesięć minut wcześniej pobiegł na górę. Przez ten czas Tamsyn nie ruszyła się spod schodów. Popatrzyła na niego pytająco, zamrugała na widok podwiniętych rękawów koszuli i rozluźnionego krawata i zamrugała jeszcze raz, gdy dostrzegła mężczyznę zsiadającego z wielkiego gniadego ogiera. Poczua się jak bohaterka powieści Minervy Press. Zapewne nie był to uroczy bandyta, który rabował podróżnych na drogach, mimo wszystko wyglądał jak romantyczny bohater książki.

- Pani Perowne, pozwoli pani, że przedstawię mojego przyjaciela, pana Gabriela Stone'a. - Cris patrzył na nią tak, jakby doskonale wiedział, co przeszło jej przez głowę na widok przybyśza. - Napisałem do niego w pewnej sprawie dotyczącej interesów i nie sprecyzowałem wystarczająco jasno, że nie musi przyjeżdżać osobiście.

Pan Stone zdjął kapelusz.

- Pani Perowne, najmocniej przepraszam za ten najazd. Odjedziemy stąd, gdy tylko mojemu woźnicy uda się zawrócić powóz na tej drodze.

- Pan Stone. - Tamsyn skinęła głową. - Czy bardzo się panu spieszy, sir?

- Nie, *madame*. Absolutnie nie.

- W takim razie musi pan tu zostać. Proszę powiedzieć woźnicy, żeby podjechał jeszcze odrobinę dalej. Zawróci w miejscu, gdzie droga dochodzi do plaży. Tuż za domem jest dziedziniec przy stajniach. O, widzę, że pan Defoe już się tym zajął. - Defoe chce, żeby on tu został, pomyślała. Bardzo jestem ciekawa, jaki to interes miał do niego.

Zapraszającym gestem wskazała na dom. Cris już zbliżał się do nich przez trawnik.

- Może panna Holt i panna Pritchard mogłyby podejść do

drzwi? Chciałbym im zaprezentować niewielki podarunek dla panny Pritchard. Przyniosę jej krzesło na werandę. – Zniknę, zanim zdążyła zapytać, cóż to za prezent.

Michael przyniósł krzesło, ciotka Rosie na nim zasiadła i przedstawiono jej pana Stone'a. Na kamiennej dróżce rozległy się kroki i ukazał się zupełnie niezwykły w tej części Devonu widok: dwóch krzepkich mężczyzn niosło lśniąca lektkę. Cris otworzył im bramę. Przemaszerowali przez trawnik, postawili lektkę przed ciotką Rosie, otworzyli drzwiczki, zdjęli kapelusze i ukłonili się unieźenie. Wyglądali imponująco w granatowych kurtkach, czarnych trójrożnych kapeluszach i mocnych buciorach. W lektce znajdowało się miękko wyściełane krzesło.

– Czy zechce pani ją wypróbować, *madame*? – zapytał czarnowłosy tragarz z mocnym irlandzkim akcentem.

– Ależ... – Ciotka Rosie na chwilę zaniemówiła. – Ależ tak, naturalnie! Ale tu nie ma takich chodników jak w mieście. Trudno wam będzie nosić tę lektkę.

– Jesteśmy z Bath, *madame*. Wzgórza są tam strome, a po bruku chodzi się jak po lodzie. Ale nie brakuje nam sił. Z pewnością pani nie upuścimy.

– To pan ich tu przywiózł? – zapytała Tamsyn pana Stone'a, gdy Michael i Cris pomagali ciotce Rosie wsiąść do lektki.

Skinął głową. Tragarze sięgnęli po drążki, równym krokiem obeszl trawnik i zniknęli za bramą.

Ciotka Izzy pochwyciła Crisa za ramię.

– Będę mogła jej towarzyszyć na mojej klaczy. Będziemy urządzać pikniki! Rosie znów będzie mogła odwiedzić przyjaciół i wybrać się na urwisko. Ogromnie panu dziękuję, panie Defoe!

– To pan Stone ich przywiózł – odrzekł Cris z uśmiechem.

– Ale to pan po nich posłał. – Tamsyn stanęła przy bramie. – Jak długo mogą tu zostać?

– Lektyka należy do pań. Seamus i Patrick zostaną tu, dopóki nie znajdą i nie wyszkolą odpowiednio dwóch miejscowych chłopaków. – Spojrzał na nią i jego twarz znów przybrała surowy wyraz. – To bardzo porządni ludzie, mogę za nich ręczyć. Są silni i uczciwi. W ich towarzystwie pani ciotkom nie stanie się

żadna krzywda.

Tragarze już wracali. Ciotka Izzy podbiegła do lektyki. Tamsyn prawie nie zwróciła uwagi na jej odejście.

- Posłał pan po strażników - uświadomiła sobie nagle.

- To dodatkowa korzyść. Przyszedł mi do głowy pomysł z lektyką, gdy pani ciotka skarżyła się, że trudno jej wychodzić z domu, a potem przypomniałem sobie o moich dwóch znajomych. Czy wykarmienie ich będzie jakimś problemem? Przepuszczam bowiem, że sporo jedzą.

- Nie, absolutnie nie. Mamy też dla nich miejsce nad stajniami. Ale, Cris, nie sądzi pan chyba, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

- Ktoś tu jedzie - zauważył naraz pan Stone, który stał przy murze, obserwując tragarzy. - Zdaje się, że to wojskowy.

Cris podszedł do niego i spojrzał w tym samym kierunku. Jeździec zwolnił, gdy na jego drodze znalazła się lektyka. Nawet z tej odległości Tamsyn dostrzegła jego mocno zaczerwienioną twarz i gniewnie zaciśnięte usta. Nie był zadowolony, że coś go zatrzymuje i że wszyscy na niego patrzą.

Tragarze wrócili do ogrodu, postawili lektykę przy krześle i pomogli wsiąść ciotce Rosie, która natychmiast pograżyła się w rozmowie z ciotką Izzy. Obie jednak zamilkły, gdy obcy zsiadł z konia przy bramie i pieszo zbliżył się do domu.

Tamsyn zauważyła zmianę ustawienia mężczyzn. Tragarze stanęli przed ciotkami, chroniąc je swoimi ciałami niczym murem. Cris i pan Stone znaleźli się po obu jej stronach. Wydało jej się to niedorzeczne, w końcu to był tylko jeden człowiek. Sądząc po granatowej kurtce z insygniami na wysokim kołnierzu i kordelasie przy boku, przyjechał tu w jakiejś urzędowej sprawie.

- Sir?

Zatrzymał się tuż przed nią i skłonił, unosząc kapelusz.

- Witam panią, *madame*. Szukam właściciela tego domu.

Zauważyła spojrzenie, jakim obrzucił dwóch mężczyzn stojących obok niej. Cris wciąż miał podwinięte rękawy, pan Stone wyglądał jak pirat, choć jego strój był bardzo prosty i zwyczajny.

- Właścicielką domu jest moja ciotka, panna Holt. Kim pan jest?

- Porucznik Ritchie. Zostałem właśnie mianowany oficerem patrolowym na tym odcinku wybrzeża. Powiedziano mi, że mam rozmawiać z panią Perowne.

Tamsyn zdawało się, że usłyszała cichy, gardłowy pomruk Crisa.

- Jestem Tamsyn Perowne. - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie i życzliwie, ale pod twardym, nieprzyjaznym spojrzeniem obcego włosy na karku stanęły jej dęba. - Pan Defoe i pan Stone to nasi goście. - Wiedziała, że powinna zaprosić go do środka. Oficer patrolowy miał podobny status jak lekarz czy sędzia i zwykle był przyjmowany w domach ziemiaństwa. Nie chciała jednak, by ten emanujący wrogością człowiek przestąpił próg domu. - Czym mogę panu służyć, poruczniku Ritchie?

- Urzędnicy skarbowi otrzymali informację, że w tej okolicy pojawił się nowy gang przemytników. Co pani może mi o tym powiedzieć, pani Perowne?

- Zupełnie nic. Nie ma tu żadnego gangu, odkąd...

- Od śmierci pani męża?

- W rzeczy samej. - Powściągnęła złość, nie chcąc prowokować gwałtownej reakcji swoich obrońców. Nie potrzebowała bójki na trawniku przed domem. - Przypuszczam, że niewielki przemyt wciąż się tu odbywa, ale żaden odcinek wybrzeża w Anglii nie jest od tego wolny.

- I to się nie skończy, dopóki miejscowe ziemiaństwo będzie patrzeć przez palce na łamanie prawa, droga pani. Przyszedłem panią ostrzec, że będziemy bardzo uważnie obserwować to wybrzeże.

- Nie ma tu żadnego gangu, poruczniku Ritchie. Sądzę, że chciał nam pan po prostu doradzić, byśmy były ostrożne i zamykały drzwi. Ostrzeżenie każdego innego rodzaju byłoby zwykłą obelgą.

- Może to pani rozumieć, jak pani chce, *madame*.

- Pani Perowne jest damą i nie odpowie na zawołaną obelgę. - Cris wysunął się o krok do przodu. Jego głos brzmiał zupełnie spokojnie, jednak była w nim wyraźna groźba, od której

po plecach Tamsyn przebiegł dreszcz.

- A kim pan jest, sir? - Twarz oficera patrolowego ściągnęła się jeszcze mocniej.

- Tak jak powiedziała pani Perowne, jestem tu gościem. Nazywam się Crispin Defoe - odrzekł wyniośle.

- Gabriel Stone. Ja również jestem gościem - odezwał się kpiący głos przy drugim boku Tamsyn.

Spojrzenie Ritchiego zatrzymało się na twarzach dwóch dżentelmenów. Obrócił się i przyjrzał tragarzom.

- Życzę panom miłego dnia. Pani również, pani Perowne. Zdaje się, że ma pani tu coś w rodzaju prywatnej armii. - Dotknął biczem skraju kapelusza, zawrócił konia i wyjechał za bramę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dwóch Irlandczyków wniosło ciotkę Rosie do domu razem z fotelem. Ciotka Izzy pozostała na werandzie, marszcząc twarz ze zdziwienia.

- Cóż to za nieprzyjemny człowiek! Nie słyszałam wszystkiego, co powiedział, ale brzmiał bardzo nieprzyjaźnie.

- To tylko pionek - stwierdził Cris. - Świeżo przyjęty na stanowisko i bardzo nadęty. Nie ma się czym martwić. Jeśli będzie próbował sprawiać jakieś kłopoty, zajmę się nim.

Tamsyn pomyślała, że to ona musi się zająć kryzysem. W tej chwili doskonale rozumiała ciotki, które wolały żyć bez mężczyzn. W jej życiu pojawiło się ich zbyt wielu. Oficer patrolowy, próbujący ją przestraszyć, tajemniczy pan Stone, który przybył tu bez uprzedzenia i natychmiast zdobył zaproszenie do pozostania w domu, oraz wielcy irlandzcy tragarze, którzy nosili ciotkę Rosie tak wprawnie, jakby nic innego nie robili od lat. A teraz Cris spokojnie oświadczał, że da sobie radę z przedstawicielem władz.

- A jak ma pan zamiar to zrobić? - zapytała. - Proszę mi wybaczyć, panie Defoe, ale nie jest pan chyba księciem Devonshire? - Stał, opierając dłonie na szczupłych biodrach. Morska bryza poruszała cienkim, białym płótnem jego koszuli. Tamsyn dostrzegła na jego udzie podłużną zieloną plamę. - Ale naturalnie książęta nie wychodzą z domu przez okno.

Pan Stone, stojący za jego plecami, parsknął śmiechem.

- Cris księciem? Przyznaję jednak, że czasem zachowuje się jak książę. - Zdawało się, że ten pomysł ogromnie go bawi.

- Panie Stone, czy mógłby nas pan na chwilę zostawić samych? Niewątpliwie chciałby się pan odświeżyć po podróży. Jeśli nie spotka pan w domu żadnej z moich ciotek, to zajmie się panem nasza gospodyni, pani Tape.

- Krótko i do rzeczy - zauważył Cris, gdy przyjaciel, wciąż

śmiejąc się pod nosem, ruszył w stronę drzwi.

- Nie mam ochoty na rozwlekłe pogawędki. Przeciwnie, jestem rozdrażniona. Co tu się właściwie dzieje, panie Defoe? Dlaczego wychodzi pan przez okno, grozi oficerom skarbowym i dlaczego na dźwięk słowa „książę” pański przyjaciel zanosí się śmiechem?

- Zanadto się pani tym wszystkim podnieca, Tamsyn. - Wierchem dłoni dotknął jej policzka. - Dostała pani rumieńców. Chodźmy do altany. Usiądzie pani i trochę się uspokoi.

Damie nie wypadało zgrzytać zębami, ale Tamsyn w tej chwili zupełnie nie czuła się jak dama.

- Ależ oczywiście, chodźmy do altany. - Gdy już znaleźli się w półmroku wnętrza, obróciła się na pięcie i rozgniewanym gestem wbiła palec w jego pierś. Pochwycił jej dłoń i przycisnął do ciepłego płótna.

- Małżeństwo z Jorym Perowne'em nie było usłane różami, ale on w każdym razie nigdy nie traktował mnie protekcyjnie, jakbym nie potrafiła zadbać o siebie. I nigdy, nigdy nie twierdził, że wpadam w niezdrowe podniecenie, gdy po prostu miałam jakiś powód do złości.

- Ale nie jest pani moją żoną, Tamsyn. Czy potraktowałem panią protekcyjnie? Jeśli tak, to przepraszam. - Nie puścił jej, tylko mocniej zacisnął palce na jej dłoniach i posunął się o krok do przodu.

- Nie. Nie zachowywał się pan protekcyjnie aż do chwili, gdy powiedział mi pan, że zanadto się podniecam - przyznała. - Wcześniej zachowywał się pan po prostu wyniośle.

Cris wzruszył ramionami.

- To po prostu londyński styl. Proszę nie zwracać uwagi na Gabriela. To stary kpiarz i bardzo go bawi myśl, że jego przyjaciel mógłby być księciem. Czy ja wyglądam na księcia? Omal nie utonąłem przez głupi pomysł, żeby popływać. Poza tym wyskoczyłem z okna i dobrze znam tragarzy z Bath. - Twarz miała poważną, ale dostrzegła leciutkie zmarszczki uśmiechu w kąciakach oczu.

- Proszę mi wyjaśnić, dlaczego wyskoczył pan przez okno.

- Lektyka i tragarze to miała być niespodzianka dla pani cio-

tek. Chciałem zatrzymać Gabriela, zanim dotrze do domu, żeby odpowiednio przygotować ich wejście.

Uświadomiła sobie, że nie mógł zejść zwyczajnie po schodach, nie będąc zauważonym przez nią, a chciał najpierw porozmawiać z Gabrielem. Obydwaj emanowali pewnością siebie i siłą. Widać było, że przyzwyczajeni są do dawania im posłuchu i do tego, że zawsze stawiają na swoim.

Przysunęła się bliżej i poczuła pod palcami bicie jego serca.

- Proszę mi coś powiedzieć - wymruczała słodko. Cris pochylił głowę. - Czy sprawiam na panu wrażenie bezradnej kobietki, która nie potrafi zadbać o siebie i o ciotki? Czy sądzi pan, że potrzebuję dużego, silnego mężczyzny, który mnie ochroni? - Uśmiechnęła się groźnie, pokazując zęby, jakby chciała go ostrzec, że jeśli zostanie sprowokowana, może ugryźć.

Spodziewała się, że Cris spróbuje ją pocałować albo może poczuje się urażony i oświadczy, że źle go zrozumiała. On tymczasem zrobił coś, czego zupełnie nie oczekiwała: wybuchnął śmiechem. Był to szczerzy, zaraźliwy śmiech i Tamsyn również zaczęła się śmiać, choć nie wiedziała dlaczego.

A potem rzeczywiście ją pocałował. Miała jakieś trzy sekundy, żeby się zastanowić, jak powinna zareagować. Dać się uwieść czy stawić opór? Walczyć czy ulec, a może stawić mu czoło jak równa równemu? Raz, dwa, trzy.

Cris uniósł głowę i popatrzył na nią poważnie. Wiedziała, że nie będzie jej do niczego zmuszał. Cokolwiek przed nią ukrywał, z pewnością nie należał do ludzi, którzy dręczą kobiety. Zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła jego głowę do swojej i prowokująco zaczęła skubać jego dolną wargę. Roześmiał się z ustami tuż przy jej ustach i teraz ona poczuła jego język i zęby.

Powiodła dłońmi po jego płóciennej koszuli, po długich mocnych mięśniach pleców, i niecierpliwie wyszarpnęła koszulę z bryczesów.

Cofnął się i pozwolił ściągnąć sobie koszulę przez głowę, a potem jego palce zajęły się guzikami jej sukni. Kiedy opadła u jej stóp, Tamsyn znów znalazła się w jego ramionach. Jego skóra była gorąca i gładka, a usta znalazły się na jej piersiach,

tuż nad wycięciem koszuli.

- Tak - powiedziała. Zacisnęła zęby na ścięgnie jego szyi i przygryzła lekko. - Tak.

- Cris! - zawołał ktoś na zewnątrz. Obydwoje znieruchomieli.

- Niech to diabli. - Cris odsunął się gorączkowo, szukając koszuli. - Chyba oszalałem. W środku dnia w jakiejś szopie w ogrodzie, o rzut kamieniem od domu i tuzina ludzi. Czy wszystko z tobą w porządku? - Naciągnął koszulę i wepchnął ją w bryczesy. Tamsyn stała nieruchomo, patrząc na niego. - Ubieraj się. Co ty robisz?

- Patrzą na ciebie. - Miała ochotę się uśmiechnąć, widząc jego nietypowe zachowanie. Zmieszany i wyraźnie podniecony, zupełnie nie przypominał spokojnego, opanowanego i tajemniczego pana Defoe. To był zupełnie inny człowiek, taki, który urzekał ją i pociągał.

Wołanie pana Stone'a rozległo się bliżej.

- Ubierz się, Tamsyn! - Pospiesznie zawiązał krawat w coś w rodzaju węzła i stanął między Tamsyn a drzwiami. Szybki w drzwiach były pokryte solą od morskiej bryzy. Tamsyn dostrzegła przez nie niewyraźny zarys mężczyzny, który stał zwrócony do nich plecami. Zdawało się, że patrzy na plażę.

Udzielił się jej pośpiech Crisa. Naciągnęła suknię, zapięła ją pośpiesznie i przygładziła włosy.

- Czy wyglądam przyzwoicie?

- Mniej więcej. Wykończysz mnie, kobieto. - Poprawił spinki w jej włosach i uśmiechnął się do niej z nieoczekiwaną czułością. - Chcesz stracić reputację?

- Tak. Bardzo proszę - odrzekła poważnie. - Ale nie tutaj.

Drzwi za nimi otworzyły się.

- Tu jesteście! Cris, co ty, do diabła, wyprawiasz? - Gabriel Stone wszedł do środka, ale po jednym spojrzeniu na Tamsyn obrócił się na pięcie i znów wyszedł. - Albo raczej, dlaczego, do diabła, robisz to tu i teraz? - zapytał, nie odwracając się.

- Jestem niespełna rozumu - odrzekł Cris z przewrotnym uśmiechem. Pogładził ją po policzku i mruknął cicho: - Porozmawiamy później.

Obejrzał się przez ramię i zawołał już głośniej:

- Czy droga wolna?

- Wolna. - Gabriel Stone odsunął się, pozwalając im wyjść. - Wszyscy są na podwórzu. Podziwiają lektkę i kłócą się o to, kto z miejscowych najbardziej nadawałby się na tragarza. - Wciąż wpatrywał się w morze, taktownie omijając Tamsyn wzrokiem, ona jednak odkryła ze zdumieniem, że w ogóle nie czuje się zażenowana. - Proponuję, pani Perowne, żeby nie spieszyła się pani z wyborem odpowiednich kandydatów. Powinni być podobnego wzrostu i obdarzeni podobną siłą, wytrzymali i z dobrym poczuciem równowagi. Noszenie lektki jest trudniejsze, niż się wydaje.

- Sugeruje pan, żebym nie szukała zbyt dokładnie? - Spróbowała zebrać myśli i skupić się na omawianej sprawie. - Ale jak długo ci dwaj tragarze mogą tu zostać?

- Dopóki tu jestem, będę ich opłacał - obiecał Cris. - Może to pani uważać za dowód wdzięczności za gościnę - dodał, widząc, że Tamsyn zamierza protestować. - Gdy wyjadę, zostaną, dopóki zechce ich pani zatrudniać, bo z tego właśnie żyją.

- Zapłacił pan już za lektkę. Nie może pan opłacać również ich.

- Robię to dla własnego spokoju. - Cris podał jej ramię. Wsunęła dłoń w zagłębienie jego łokcia. Pan Stone stanął po jej drugiej stronie i również podał jej ramię.

- Czuję się bardzo bezpieczna między dwoma dżentelmenami - zauważyła, idąc przez trawnik.

Gabriel zaśmiał się.

- Co pana tak bawi? - zapytała.

Przyjrzał jej się brązowymi oczami o długich, gęstych rzęsach.

- W Londynie wiele osób twierdzi, że jesteśmy parą łotrów i że nikt nie może się czuć przy nas bezpieczny.

- Nie? Pan Defoe wydaje się człowiekiem jak najbardziej szacownym i godnym zaufania.

- Jesteśmy dwoma z czterech bliskich przyjaciół, których dziekan naszego uniwersytetu nazywał czterema zakałami. Nie szczędziliśmy wysiłków, by zasłużyć na to miano i nie zmieniliśmy obyczajów po wejściu w świat. Dwóch z nas ożeniło się

w tym roku, co zapewne odpędzi od nich rozmaite pokusy, ale Cris i ja nadal musimy dbać o podtrzymanie naszej reputacji.

- Mów za siebie - rzekł Cris. - Ja, jak twierdzi pani Perowne, jestem jak najbardziej godny szacunku.

- Podtrzymujesz pozory, ale w gruncie rzeczy jesteś takim samym łotrem jak my wszyscy. - Pan Stone mocniej przycisnął dłoń Tamsyn pod swoim ramieniem. - Gdyby zobaczyła pani, jak Cris radzi sobie na dworze pośród ambasadorów, dworzan i polityków, nie wspominając już o ich żonach, nie poznałaby w nim pani tego człowieka, który w samej koszuli wypędził stąd oficera patrolowego.

Zdawało jej się, że Cris na chwilę znieruchomiał, choć nadal szedł obok niej równym krokiem.

- Często bywa pan na dworze? Mówił pan chyba, że jest ziemianinem?

- Tak, to prawda. Ale tak się składa, że jestem dość dobrze ustosunkowany i bywam w pałacu na St. James. Nic w tym niezwykłego. Nie jest to tak ekskluzywne miejsce, jak utrzymują niektórzy. - Wzruszył ramionami. - Interesuje mnie polityka i dyplomacja. Nie jestem podobny do Gabriela, który przeważnie milczy jak grób, ale gdy już otwiera usta, nie ustępuje największym plotkarzom we wsi - dodał kpiąco.

Było coś, czego jej nie mówił, i domyślała się, co to takiego. Crispin Defoe nie był właścicielem ziemskim, lecz człowiekiem z dobrego towarzystwa, nawykłym do władzy i przywilejów. Co zatem ukrywał? A jeszcze ważniejsze było, dlaczego to ukrywał? Tamsyn nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego Cris mógłby stanowić zagrożenie dla niej samej albo dla innych domowników. W końcu znalazł się w ich świecie przypadkiem i to, że nie chciał mówić o własnym życiu, zapewne nie wynikało z żadnych złych intencji.

Ciotka Izzy pomachała do nich od drzwi.

- Kolacja będzie za pół godziny! Przez to całe zamieszanie zupełnie straciłyśmy poczucie czasu i kucharka straszy, że jeśli się spóźnimy, ryba nie będzie się do niczego nadawać.

- Muszę się odświeżyć - powiedział Cris. - Wrócić do swojego szacownego „ja”.

- Zaprowadzę pana do pańskiego pokoju, panie Stone, i każe przynieść gorącą wodę.

- Nic nie rozumiem - rzekł Gabe, wchodząc do jadalni, gdzie Cris, przyzwoicie umyty, ubrany i uczesany, czekał na pozostałych domowników.

- Ty nic nie rozumiesz? To ja nie rozumiem, co tu robisz. Tylko mi nie mów, że przywiodła cię tu ciekawość. Jeszcze nigdy ciekawość nie kazała ci przebyć dwustu mil do jednego z najbardziej niedostępnych zakątków Anglii.

- Mówiłem ci, że musiałem oddalić się od pokusy. Przez cały czas sobie powtarzam, że nie jestem aż takim łajdakiem, żeby zniszczyć opinię szacownej młodej damy. - Na widok uniesionych brwi Crisa Gabriel wzruszył ramionami. - Kate martwi się o ciebie. Jest przekonana, że opłakujesz utraconą miłość, ale widzę, że się myli. Chyba że poznałeś panią Perowne już wcześniej?

Gdy jakiś czas temu obaj z Gabrielem odwiedzili swojego dawnego przyjaciela Granta Riversa, lorda Allundale, i jego nową żonę Kate, Cris sądził, że udało mu się ukryć cierpienie złamanego serca za zwykłą cyniczną maską. Do diabła, czyżby tak łatwo było go przejrzeć? Ale myśl o Katerinie nie przyniosła ze sobą zwykłego ukłucia bólu. Uświadomił to sobie i wstrzymał oddech. Czyżby był aż tak płytki i szybko otrząsnął się z cierpienia niespełnionej miłości tylko dlatego, że uwiodła go urocza kobieta i tajemnica? A może wcale nie był zakochany?

Przeszedł przez jadalnię i zatrzymał się przed niszą okienną.

- Kate się myli - powiedział cicho. - Była pewna kobieta, której nie mogłem mieć. Przez jakiś czas ta myśl zaprzętała mi głowę, i to wszystko. - Przyszło mu na myśl, że po raz pierwszy w życiu markiz Avenmore zapragnął czegoś, czego nie mógł dostać. Czy tylko o to chodziło? Czy właśnie to w połączeniu z seksualną frustracją i atmosferą zakazanego romansu sprawiło, że poczuł się zakochany? Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Oparł rękę na futrynie okna. Zawsze panował nad swoimi emocjami i znał swoje motywacje. Ale czyżby omal się nie utopił przez złudzenie, że jest zakochany?

Gabe, doskonały gracz w karty, nieruchomo wpatrywał się w jego twarz. Nie musiał nic mówić. Było jasne, że jego zdaniem Cris wpadł z jednej nieudanej miłości w następną.

- Nie byłem zakochany. - Tak mi się wydaje. Ale, do diabła, powinienem chyba mieć pewność? - I nie jestem zakochany - powtórzył już mocniejszym głosem. - Ani nie mam zamiaru się zakochiwać. Wyjadę stąd, gdy będę miał pewność, że tym damom nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. Kate właściwie mnie nie zna. To, co uznała za oplakiwanie niespełnionej miłości, to był zwykły ponury nastrój, w jaki zawsze popadam, gdy myślę o małżeństwie.

Wargi Gabriela drgnęły w ironicznym uśmiechu, ale nie podjął lekkiego tonu.

- Cóż zatem zdarzyło się dzisiaj w tej altanie? Słyszałem też, że omal się nie utopiłeś.

- Skoro naprawdę muszę ci wyjaśnić, że Tamsyn i ja zmierzamy prostą drogą do romansu, to należy się martwić o ciebie, nie o mnie. A co do utonięcia, nie doceniłem prądów przy tym wybrzeżu. Po prostu chwila nieuwagi.

- Tobie nigdy nie przydarzają się chwile nieuwagi, Cris - wymamrotał Gabriel. - I nigdy nie jest łatwo cię przeniknąć. A teraz czytam w tobie jak w książce i zupełnie tracisz koncentrację. Wydaje mi się, że...

Na szczęście tę rozmowę przerwało wejście ciotki Rosie, którą do jadalni wprowadził lokaj. Tuż za nią pojawiły się Isobel i Tamsyn. Cris wypuścił wstrzymywany oddech i przybrał obojętny wyraz twarzy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jadł, uśmiechał się i brał udział w rozmowie, co nie było trudne, bowiem dwie starsze damy przez cały czas zachwycaly się lektyką i planowały wycieczki, na jakie wreszcie będą mogły się wybrać. Cris potrafił jednocześnie prowadzić rozmowę w trzech językach, zastanawiać się nad zaszyfrowanym listem, planować spotkanie i na boku rozważać zakup nowej pary butów. Ten pogodny rodzinny posiłek był dla niego dziecianną zabawą, choć Gabriel przez cały czas patrzył na niego drwiąco.

- Panie Defoe?

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że ktoś coś do niego mówi.

- Przepraszam. Myślałem o czymś innym.

- Mówiłam tylko, że mamy dziś wyjątkowo piękny zachód słońca - stwierdziła ciotka Rosie.

Ściana za jej plecami skąpana była w różowym świetle. Wszyscy obrócili się w stronę okna, by podziwiać czerwone słońce zanurzające się w falach.

- Prawie słycać syk - zauważyła Tamsyn. Nacisnęła przycisk dzwonnka obok talerza i gdy Michael wszedł do jadalni, kazała mu zapalić świece. - Dzisiaj będzie pełnia.

- Najlepsza pora dla przemytników - zauważył Gabriel.

- Przy dużym transporcie światło księżyca z pewnością jest bardzo pomocne, zwłaszcza jeśli przenosi się ładunek bezpośrednio na konie i transportuje go w głąb lądu - wyjaśniła Tamsyn. Cris zdziwił się nieco, że tak swobodnie o tym mówi. - Ale tutejsi znają wybrzeże tak dobrze, że mogą przybić do brzegu, kierując się tylko blaskiem kilku latarni na wybrzeżu. - Rzuciła mu zagadkowe spojrzenie. - Niech pan nie zwraca uwagi na to, co mówił ten oficer patrolowy. To tylko głupie pogłoski. Obecnie nie ma tu żadnego poważnego przemytu. Wiedziałabym o tym.

Przez chwilę zabawiała ich opowieściami o wydarzeniach

z poprzedniego stulecia, gdy okolicą rządziły gangi przemytników, a potem przeszła do opowieści o miejscowych duchach.

- Mam nadzieję, że uda mi się stąd jutro bezpiecznie odjechać - rzekł Gabriel z udawanym przerażeniem. - Żadne duchy nie będą łapać mnie za nogi? Nie spotkam jeźdźca bez głowy, żeglarzy topielców ani żadnych innych koszmarów w środku białego dnia?

- Chyba nie chce pan wyjechać tak szybko, panie Stone? - zdziwiła się ciotka Isobel. - Proszę zostać nieco dłużej. Na pewno nie miał pan jeszcze czasu omówić swoich spraw z panem Defoe.

- Porozmawiamy dzisiaj po kolacji - odrzekł Gabriel.

- Miał pan dzisiaj bardzo ciężki dzień - oznajmiła Rosie stanowczo. - Proszę odpocząć, a o interesach możecie porozmawiać jutro rano. Potem wszyscy urządzimy sobie piknik na urwisku, żeby uczcić moją nową wspaniałą lektykę. - Gdy Gabriel zawahał się, dotknęła jego dłoni powykrecanymi palcami. - Proszę nie odmawiać mi przyjemności pańskiego towarzystwa. Żyjemy na odludziu. Uroczy i inteligentny gość to prawdziwy skarb.

- Droga pani, nie spodziewałem się tak wielkiej gościnności. Z największą przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa. - Cris zauważył, że Gabriel padł urokiem kobiety, która mogłaby być jego matką, jeśli nie babcią. Zazwyczaj jego przyjaciel unikał szacownych starszych dam jak zarazy, całą uwagę skupiając na młodych trzpiotkach i urodziwych patronkach życia towarzyskiego.

Tamsyn znów zadzwoniła po służbę i gdy Michael się pojawił, wstała od stołu.

- Panowie, zostawimy was teraz przy szklaneczce portu.

W jadalni powstało zamieszanie, gdy wszyscy rzucili się pomagać ciotce Rosie. Cris skorzystał z okazji i odciągnął Tamsyn na bok.

- Gdzie możemy porozmawiać?

- Porozmawiać? - Podniosła na niego wzrok i zarumieniła się.

- W altanie o północy.

- To zbyt blisko domu. Poza tym to nie jest najwygodniejsze

miejsce na rozmowę.

Zarumieniała się jeszcze mocniej.

- Niewygodne do rozmowy? Nie sędzę. Ale mogę pana zabrać na spacer, jeśli nie obawia się pan spotkać ducha. Proszę założyć mocne buty. Już idę, ciociu Izzy!

Gdy Cris wrócił do stołu, Gabriel siedział już na swoim miejscu i rozlewał rubinowe porto do pięknych kryształowych szklaneczek Waterforda. Wziął jedną do ręki i powąchał zawartość.

- Doskonałe porto, bez względu na to, z jakiego pochodzi źródła.

Mocno wytrącony z równowagi Cris sięgnął po drugą szklaneczkę i podszedł do szkiców wiszących na ścianie w niszy przy kominku.

- Niezłe rysunki. Podoba mi się styl tych dam, szczególnie panny Isobel. Bierze gliniany dzbanek zrobiony przez miejscowego garncarza, napełnia go polnymi kwiatami, stawia na pięknym stoliku Sheratona i wygląda to doskonale.

- Przestań się tak kręcić. To niepodobne do ciebie. - Gabriel patrzył na niego spod przymrużonych powiek. - Podoba mi się ta twoja ognista wdówka.

- Nie jest moja... - Cris opadł na najbliższy fotel i sięgnął po wino. - Może coś między nami będzie. To znaczy na krótki czas.

Oczywiście nie mogło z tego wyniknąć nic poważniejszego. Doskonale wiedział, jakiej żony potrzebuje, ojciec wyjaśnił mu to jeszcze w dzieciństwie. Markizowie żenili się z powodów dynastycznych, ze względu na koneksje, ziemie i krew. Tamsyn sprawiała, że krew zaczynała szybciej krążyć w jego żyłach, ale była niejasnego pochodzenia wdową, miała za sobą skandaliczne małżeństwo i żadnych cech, które miałyby sprawić, że zostałaby zaakceptowana w jego świecie. Ale ponieważ była wdową, mogli sobie pozwolić na dyskretny romans.

Gabriel przewrócił oczami.

- Odnoszę wrażenie, że przemytnicy porwali mojego przyjaciela Crisa de Feaux i na jego miejsce podstawili ciebie. Gdzie się podział ten elokwentny, cyniczny lew salonowy, którego znałem wcześniej?

Cris rzucił w niego orzechem. Gabriel pochwycił go jedną

ręką i zgniótł długimi palcami.

- Żarty na bok. Jeśli dzieje się coś złego, bądź ze mną szczerzy. Postaram się pomóc.

- Wiem. I owszem, dzieje się wiele złego, ale nie chodzi tu o mnie. Jutro bardzo chętnie posłucham, czego dowiedziałeś się o Chelfordzie, a tymczasem nalej mi jeszcze tego doskonałego porto i opowiedz ostatnie londyńskie plotki.

Przeszedł przez trawnik, kierując się w stronę słabo widocznego światła latarni stojącej na schodku altany.

- Jesteś już?

- Zawsze jestem na czas. - W jej głosie usłyszał lekki śmiech i nerwowe podniecenie. Nie widział jej twarzy w cieniu, ale był pewien, że tej nocy Tamsyn będzie należała do niego.

- Dokąd idziemy?

- Chodź ze mną. - Wzięła do ręki latarnię i przysłoniła światło klapką. Tylko zapach rozgrzanego łożu świadczył o tym, że latarnia jest zapalona. Tamsyn wzięła go za rękę i ruszyła przez trawnik, oddalając się od ścieżki. Odsunęła nieco klapkę, żeby oświetlić kamienie wystające z muru, i zręcznie przeszła górą.

- Teraz możemy sobie poświecić - powiedziała. Teren dokoła nich zaczynał się wznosić. - To ścieżka owiec, biegnie dokoła wzgórza. Za chwilę będziemy niewidoczni z domu.

Szła równym krokiem po stromej ścieżce. Na niebie pojawił się księżyc w pełni. Dotarli na szczyt urwiska. Tamsyn szła dalej, nie sprawdzając, czy Cris idzie za nią. Naraz skrzyła i zatrzymała się tuż nad przepaścią.

- Ostrożnie! - Cris wyciągnął rękę, ale Tamsyn zniknęła. Pochylił się i rozluźnił, gdy ją zobaczył na ścieżce położonej o jakieś dwa metry pod krawędzią urwiska. Ścieżka była gładka i równa, ale tak wąska, że mogła nią iść tylko jedna osoba. Tamsyn pochyliła się i zniknęła w ścianie urwiska. Cris nieoczekiwanie usłyszał skrzyp zawiasów.

Odsunął klapkę latarni i zauważył niski szalás zbudowany z drewna wyrzuconego przez morze. Dach pokryty był murawą. W świetle księżycy dostrzegł nad głową zarysy dzikich goździków na tle ciemnego nieba.

Pochylił głowę pod niską futryną. Szałas był niewielki i kwadratowy, przy tylnej ścianie znajdowała się platforma z nieheblowanych desek. Tamsyn wyciągnęła spod niej metalową skrzynkę i wyjęła z niej grubą pikowaną kołdrę przesyconą zapachem lawendy. Rozłożyli kołdrę na deskach, po czym Tamsyn wyjęła ze skrzyni jeszcze kilka koców i poduszek.

- Zamknij drzwi i usiądź tutaj.

Drzwi były zbudowane jak drzwi do stajni, składały się z górnej i dolnej połowy. Cris zamknął dolną, zostawiając górną otworem. Siedząc na kołdrze, widział niebo i morze z ciągnącą się w ich stronę świetlistą ścieżką księżyca. Tamsyn westchnęła i przytuliła się do jego boku. Otoczył ją ramieniem.

- To twoja kryjówka?

- Kiedyś pewnie była to kryjówka wartownika. Strażnika skarbowego - dodała w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie. - Ale już od dawna nikt jej nie używał. Jory i ja znaleźliśmy ją jeszcze w dzieciństwie. Później, gdy pojawiały się kłopoty, czasami tu spałam, bo jest tu bardzo spokojnie.

- Kłopoty? To znaczy po śmierci twojego męża?

Przez chwilę milczała.

- Tak. Przychodziłam tutaj, gdy chciałam być sama. Samotność czasem pomagała.

- Tamsyn...

- Tak?

Musiał to powiedzieć.

- Wiesz, że tu nie zostanę. Wyjadę za jakiś tydzień.

- Oczywiście. - Wyprostowała się i Cris poczuł chłód w miejscu, gdzie przed chwilą spoczywało jej ciepłe, miękkie ciało. - Teraz zapewne będziemy rozmawiać o tym, czy naprawdę tego chcę i czy ty mnie szanujesz, ale...

Usłyszał w jej głosie nutkę rozbawienia, więc pozwolił sobie na szczerość.

- Właśnie tak. Zapewniam cię, że będę bardzo ostrożny, ale jeśli pojawią się jakieś konsekwencje, liczę na to, że mnie zawiadomisz.

- Naturalnie. O to się nie martwię. - Rozbawienie zniknęło z jej głosu; teraz brzmiała niemal smutno. Ich rozmowa w ni-

czym nie przypominała flirtu ani nie była romantyczna.

- Tamsyn, jeśli nie chcesz tego robić, to możemy wrócić do domu. Nie będę czuł się urażony. - Obrócił się na twardym łóżku i pogładził ją po policzku. - To dla mnie ważne, moja syreno. Nie chcę cię skrzywdzić.

- Syreno? - zaśmiała się nisko i zmysłowo. Ten śmiech zabrzmiał w jego uszach jak pieszczota. - A ja uznałam cię za wodnika, który wynurzył się z morza. Jeśli nie chciałeś zwracać na siebie kobiecej uwagi, to nie trzeba było wyglądać tak kusząco.

- Byłem zziębnięty jak sople lodu, podtopiony i pewnie cały pokryty gęsią skórą. - Przyłożył twarz do jej szyi, a ona natychmiast odchyliła głowę na bok.

- Nie zauważyłam żadnej gęsiej skóry. Zauważyłam twoje mięśnie, niebieskie oczy i niemal boskie proporcje. - Jej dłoń przesunęła się na jego bryczesy, a oddech przyspieszył.

Cris uniósł głowę i popatrzył na nią w bladym świetle latarni.

- Proporcje? Było piekielnie zimno. Wątpię, żebym wyglądał wtedy imponująco.

- Ależ wyglądałeś bardzo imponująco.

Niezmiernie mu to pochlebiło. Podniósł się, domknął drzwi i odsunął zasłonki w obu latarniach.

- Jeśli mamy się rozebrać, to wolałbym, żeby mi było ciepło, nawet jeśli w zimnie wyglądam równie dobrze.

- Ty pierwszy. - Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę i patrzyła na niego wielkimi ciemnymi oczami. Cris rozebrał się szybko, uważając, by nie uderzyć głową o niski strop. Nie było zimno, ale na tyle chłodno, że chciał jak najszybciej wsunąć się pod kołdrę i sprawdzić, czy ciało Tamsyn jest tak ciepłe i cudowne w dotyku, jak przypuszczał.

Usiadł na skraju łóżka i zdjął buty. Tamsyn przesunęła ręką po jego plecach.

- Masz piękne plecy.

Cris z trudem panował nad pokusą, by zerwać z niej ubranie i pościć ją w butach. Była to podniecająca myśl, ale nie znał tej kobiety wystarczająco dobrze i nie wiedział, czy mogłoby ją to podniecić, czy też obrazić.

Po chwili zdjął również bryczesy. Tamsyn opadła na kolana i powiodła dłońmi po jego piersi. Cris znieruchomiał i zaczął się poważnie obawiać, że nie wytrzyma długo. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni kobieta podniecała go równie szybko i równie mocno.

Na szczęście Tamsyn przysiadła na piętach i tylko na niego patrzyła.

- Jeśli mnie dotkniesz, nie zapanuję nad sobą - ostrzegł.

- Doskonale. - Teraz ona zrzuciła prostą suknię, pod którą nie miała nic. Cris zmełł w ustach przekleństwo, wpatrując się w jej palce, które rozplatały długi warkocz.

- Masz piękne włosy.

- Dziękuję. - Potrząsnęła głową i ciemnobrązowa fala rozsyłała się po jej piersiach. - Cris - powiedziała takim tonem, jakby zbierała się na odwagę. - Spałam dotychczas tylko z jednym mężczyzną. Nie mam doświadczenia, do jakiego zapewne przywykłeś.

- Z łatwością rzuciłaś mnie na kolana - odrzekł, klękając obok niej. Przyciągnął ją do siebie, ułożył na materacu i przykrył ich oboje kocem. Wtuliła twarz w jego szyję, jakby nagle ogarnęło ją zawstydzenie, ale w ruchach jej dłoni nie było nieśmiałości ani niezręczności.

- Jesteś pewna? - Cris nigdy dotychczas nie wątpił w swoją samokontrolę, teraz jednak czuł, że jeszcze chwila i będzie stracony.

- Jestem pewna. - Ułożyła się pod nim, a on wsunął się w jej wilgotne, gorące ciało i zaraz zatrzymał, oparty na łokciach, z czołem przy jej czole.

- Ach - mruknęła, zaciskając dłonie na jego ramionach, a nogi na plecach.

- Jesteś doskonała - wyszeptał z westchnieniem. - Doskonała.

Granice między ich ciałami zatarły się. Stworzyli harmonijną, niemal doskonałą jedność, zupełnie tak, jakby byli kochankami od lat. A jednak czuli przy tym ekscytację towarzyszącą nowemu, wyjątkowemu odkryciu. Crisowi z trudem udało się dotrwać do chwili, gdy Tamsyn jęknęła przeciągle, pochwycona spazmem rozkoszy, a potem opuścił w porę jej ciało.

Długo leżał oszołomiony, wsłuchując się w bicie ich serc i odległy szum fal. Tamsyn natychmiast dopasowała się do jego pozycji i oparła głowę na jego piersi. Jej ciało było ufnie i rozluźnione. Usta przesunęły się w milczeniu po jego skórze, a potem znieruchomiały. Wyczuł, że usnęła, i sam również przymknął oczy, ale zapomnienie nie chciało nadejść. Był cudownie rozluźniony, ale jakiś głos w umyśle zabraniał mu się tym wszystkim cieszyć. Nie mógł przestać analizować swoich motywów i pragnień. Nie kochał Tamsyn, ale musiał również przed samym sobą przyznać, że po doświadczeniu z Kateriną nie miał już pojęcia, czym właściwie jest miłość.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Co się stało? - Wynurzając się z mgły sennego zadowolenia, Tamsyn czuła obecność Crisa obok siebie i jego ciężkie ramię na brzuchu. Wyczuwała jego napięcie. - Słyszę, jak myślisz.

Roześmiał się szczerze, Tamsyn jednak w ciągu ostatniego tygodnia zdążyła go niezle poznać i wiedziała, że nie jest mu lekko na sercu. Wysunęła się z jego ramion i usiadła.

- Czy żałujesz tego, co zrobiliśmy?

- Nie. - Odetchnął nieco teatralnie. - Myślałem o różnych rzeczach. Gabriel pewnie by powiedział, że się starzeję.

- Doprawdy? - Wsunęła rękę pod koc. - Nie wydaje mi się.

Cris przytrzymał jej rękę, ale nie odsunął.

- Mentalnie.

- Nagły atak poczucia odpowiedzialności? To rzeczywiście bardzo postarza. - Próbowała żartować, ale on tylko zmarszczył brwi.

- Nie, chyba zawsze byłem odpowiedzialny. Tak mnie wychowano. Musiałem się nauczyć akceptować to, kim jestem i co muszę zrobić, żeby odegrać swoją rolę. - Gorycz w tych słowach zaskoczyła ją. Cóż to za ciężary wychowanie nałożyło na jego barki? - Nawet gdy rozrabiałem jak pijany zając, zawsze robiłem to, co trzeba, i dbałem o ludzi, za których byłem odpowiedzialny.

- Tak jak teraz - zauważyła.

- Nie lubię mężczyzn, którzy próbują zdobyć to, czego chcą, zastraszając słabszych. - Cris skrzywił się, gdy Tamsyn zacisnęła palce nieco mocniej. - Wiem, że potrafisz walczyć o siebie, ale nie powinnaś być do tego zmuszona. Mówiłem ci, że nie zostanę tu długo. Muszę wrócić do domu, ustatkować się i skończyć z poszukiwaniem przygód.

Cris przymknął oczy i nakrył jej dłoń swoją.

- Czy jest ktoś, z kim powinieneś się ożenić? - Starła się py-

tać lekkim tonem, choć gryzła ją zazdrość.

- Nie, nie ma nikogo takiego. To kwestia obowiązku. - Poruszył biodrami. - Ach, jakie to przyjemne.

- Skoro nikogo nie ma, to nikogo nie zdradzasz. - Zdawało jej się, że jego twarz ściągnęła się, ale być może powodem było to, co robiły jej palce. - Może po prostu doświadczasz melancholii, która czasami przychodzi po miłości.

- Francuzi nazywają to *la tristesse*. Nie, nie cierpię teraz na przyływ melancholii. - Odsunął koc, wyciągnął do niej ramiona i opadli razem na łóżko w wirze pocałunków.

- Tamsyn, moja droga, czy dobrze spałaś? - Ciotka Izzy patrzyła na nią niespokojnie nad misą z owocami. - Masz trochę podkrążone oczy.

- Jestem pewna, moja droga, że Tamsyn doskonale wypoczęła - odrzekła Rosie z nieprzekonującym uśmiechem, zanim Tamsyn zdążyła się wyrwać z rozmyślań.

Ona wie, pomyślała.

Z kolei na twarzy pana Stone'a malował się wyraz niewinności, tak ostentacyjny, że musiał być fałszywy. Zupełnie tak, jakby wiedział, co zaszło ostatniej nocy między nią a jego przyjacielem.

- Za długo siedziałam nad księgami rachunkowymi - odrzekła. - Nie mogę się już doczekać naszego pikniku. To mnie na pewno rozbudzi.

Po śniadaniu każdy poszedł w swoją stronę. Pograżeni w rozmowie mężczyźni ruszyli nad morze, ciotka Rosie kazała sobie przygotować gorącą kąpiel, by, jak się wyraziła, być w doskonałej formie na piknik, a ciotka Izzy zamknęła się w kuchni z kucharką, przygotowując lunch do koszyków. Tamsyn znów zasiadła nad rachunkami i spróbowała się skupić. Musiała być na bieżąco na wypadek, gdyby nadeszły nowe rachunki. To było ważne i pilne, ale za każdym razem, gdy przygryzała końcówkę pióra i dotykała karty księgi, zdawało jej się, że na palcach i ustach czuje skórę Crisa.

Znów go pragnęła i intensywność tego uczucia była przerażająca. Pewnie przez to, że od wielu miesięcy żyła w celibacie.

Jako młodej kobiecie brakowało jej fizycznej miłości, choć stłumiła tę potrzebę, tak samo jak żal po Jorym. Właśnie dlatego ostatnia noc wydawała jej się tak magiczna. Od pierwszej chwili, gdy Cris wyłonił się z morza, jego jasna uroda i przenikliwe niebieskie oczy sprawiały na niej wrażenie czegoś niezwykłego. Gdyby nie była dorosłą, nowoczesną kobietą, pewnie byłaby w stanie uwierzyć, że przyszedł ze świata celtyckich legend, żeby jej pomóc. Czytała szkockie baśnie o *selkies*, ludziach fokach, którzy wychodzili z morza, żeby uwodzić prawdziwych ludzi, i zawsze potem wracali do swojego świata, opuszczając ziemskich kochanków. To była przygnębiająca myśl, ale Cris oczywiście również miał odejść. Kimkolwiek był i jakkolwiek wyglądało jego życie w Londynie, poruszał się w kręgach zupełnie różnych od jej prostego wiejskiego świata. Nawet gdyby pragnął związać się z nią na dłużej, zmieniłby zdanie, gdyby poznał prawdę o niej. Wszyscy mężczyźni bowiem chcieli mieć dzieci, by odziedziczyły po nich nazwisko.

Uświadomiła sobie, że jej dłoń spoczywa na brzuchu, i cofnęła ją gwałtownie, zirytowana, że wciąż tęskni i rozpacza po tym, co straciła i co już nigdy nie wróci.

Oparła brodę na rękę i spojrzała przez okno na ogród. Dwaj mężczyźni przechadzali się wzdłuż muru na końcu trawnika. Naraz stanęli naprzeciwko siebie i Gabriel Stone wyciągnął szpadę z pochwy. Tamsyn zerwała się z miejsca, zaraz jednak zauważyła, że ma to być tylko jakaś demonstracja. Wymierzył cios, Cris płynnym ruchem odsunął się na bok, a potem w jednej chwili znalazł się za plecami Gabriela i pochwycił go za rękę trzymającą broń. Stone uwolnił się i znowu stanęli naprzeciwko siebie. Potem Cris znów się poruszył. Gabriel obrócił głowę, ale zorientował się o sekundę za późno i Cris wytrącił mu szpadę z ręki. Ostrze wbiło się w trawę.

Gabriel skłonił się nisko, zabrał szpadę, wytarł ją starannie i schował. Cris otoczył ramieniem jego barki i znów zaczęli się przechadzać.

Tamsyn usiadła i dopiero teraz zamknęła otwarte ze zdumienia usta. Ta walka na niby była doskonałą demonstracją szybkości, umiejętności i pełnego zaufania. Ostrze szpady nie było ni-

czym zabezpieczone. Jeden z nich z łatwością mógł zostać ranny. Było jasne, że znają się doskonale.

Tamsyn ciekawa była, dlaczego Stone przez cały czas nosi szpadę. Dżentelmeni zwykle trzymali pistolety w olstrach przy siodle, a podczas podróży w powozie, ale tylko oficerowie nosili szpadę przy pasie. Ta szpada jednak pasowała do jego ciemnej urody i czarnych kpiących oczu. Gabriel Stone irytował Tamsyn, pomyślała jednak, że skoro Cris mu ufa, ona też powinna.

Wyruszyli na piknik o jedenastej. Ciotkę Rosie starannie usadowiono w lektyce. Dwaj tragarze stanęli między uchwytami, nałożyli skórzaną uprzęż i zdecydowanie podnieśli lektykę do góry. Tamsyn jechała na Foxym, ciotka Izzy na swoim łagodnym wierzchowcu Bumble, a Jason objuczył kucyka pledami i koszami.

Gdy Gabriel Stone wsiadał na swojego konia, Tamsyn spojrzała na Crisa.

- Obawiam się, że czeka pana długi spacer.

- Collins właśnie siodła mojego konia. Nie wiedziała pani, że objada się w stajni od czasu, gdy Collins przyprowadził powóz?

- Nikt mi o tym nie wspominał, a ja byłam zbyt zajęta, żeby zaglądać do stajni. - To tylko dowodziło, jak bardzo rozpraszała ją obecność Crisa. Zwykle codziennie sprawdzała wszystkie zakamarki domu i budynki gospodarcze.

Naraz z bramy przy stajniach wybiegł piękny wierzchowiec. Nikt na nim nie siedział, ale gdy Cris gwizdnął i podszedł do ścieżki, koń zwolnił i trącił go łbem w pierś.

- Nazywa się Gawron.

- Dlatego że jest czarny?

- Owszem, a do tego przebiegły i kradnie - odrzekł Cris, wskakując na siodło. - Przestań - zwrócił się do konia, który rzucił łbem, jakby chciał zaprzeczyć, że kiedykolwiek wyjadał siano ze żłobu gniadego ogiera Gabriela Stone'a. - Jesteś już dorosły i powinienes być mądrzejszy.

- Ale nie jest bardzo stary. - Tamsyn podjechała bliżej. Gawron parsknął i przewrócił oczami.

- Ma tylko cztery lata.

- I chyba nie pochodzi z Anglii? - W potężnym kłębie i postawie konia było coś nietypowego.

- Jest z Danii - odrzekł Cris krótko, zwalniając, żeby pozostać za lektyką.

- Z Danii? - powtórzyła Tamsyn głośno. Jeszcze nigdy nie wiedziała niczego, co pochodziłoby z Danii.

- Przywiózł go ze sobą. - Gabriel Stone zrównał się z Foxym. - To dobry koń. Wart był kosztów i wysiłku.

- To znaczy, że Cris... pan Defoe był w Danii?

- Tak. Podczas swojej ostatniej misji - odrzekł Gabriel niejasno. Tamsyn podejrzewała, że celowo wprowadził atmosferę tajemniczości.

Cris znowu do nich dołączył, zapewne obawiając się tego, co przyjaciel może o nim powiedzieć.

- Misji? - Tamsyn podjęła grę Gabriela.

- Dyplomatycznej. - Wyraz twarzy Crisa nie zmienił się, ale Gawron uskoczył w bok na ścieżce. - Czasami pomagam. - Zabrzmiało to tak, jakby roznosił drinki na przyjęciach w ambasadzie.

- Komu? Rządowi? - Tamsyn mimowolnie opuściła rękę i Foxy ruszył klusem. Zapanowała nad nim dopiero po kilku metrach.

- Ministerstwu spraw zagranicznych. Przydaję się, gdy zależy im na kimś, kto, powiedzmy, nie należy do kręgów dyplomatycznych.

Tamsyn nie miała pojęcia, kim właściwie jest Cris Defoe. Przypuszczała, że jego praca w dyplomacji nie jest do końca oficjalna. Był silny, sprawny i potrafił rozbroić niebezpiecznego pana Stone'a. Stać go było na to, by przywozić konie z kontynentu, a do tego jeszcze miał czas zajmować się miejscowymi kłopotami w odległej wiosce w Devon.

Zapragnęła zadać mu jakieś pytania, ale nie przychodziło jej do głowy żadne, które nie sprawiałoby wrażenia zwykłego wścibstwa. Kłopot polegał na tym, że jego tajemniczość zwiększała jeszcze atrakcyjność. Jesteś nim zauroczona, powiedziała sobie surowo. Powinnaś znaleźć sobie jakiegoś miłego, zwykłego mężczyznę, takiego jak doktor Tregarth - dość przystojny, inteligentny, pracowity, szanowany i odpowiedzialny. Może na-

wet potrafiłby zaakceptować ją taką, jaka jest, a w każdym razie zrozumiałby, że to nie jej wina.

Przez całą drogę do Stibworthy wygłaszała sobie w duchu kazania, aż w końcu doszła do wniosku, że nie pociągają jej mężczyźni tacy jak doktor, bo widocznie ona nie podoba im się na tyle, by okazali jej zainteresowanie.

Naraz jak na zawołanie, doktor we własnej osobie pojawił się na ulicy.

- Dlaczego tak się zarumieniłaś? - zapytał Cris. Gabriel Stone usłyszał te słowa, obrócił się w siodle i uśmiechnął do niej szeroko, co tylko pogorszyło sytuację.

- Cicho. Dzień dobry, doktorze Tregarth! - Pomachała mu ręką, on zaś zatrzymał się przy lektyce i z uśmiechem skinął głową ciotce Rosie. Tragarze na chwilę postawili swój ciężar, żeby rozprostować mięśnie.

- To dobry człowiek, ale zbyt nudny dla ciebie. - Cris ściszył nieco głos, ale nie na tyle, by pan Stone nie mógł go usłyszeć. - Ale jeśli nie zauważa, że rumienisz się na jego widok, no cóż - można tylko z politowaniem pokiwać nad nim głową.

- Nie rumienię się na widok doktora ani nikogo innego. To przez wiatr, który uderza mnie w twarz. Powinnam włożyć woalkę.

- A czy masz woalkę? - zapytał Cris niewinnie.

Tamsyn zbliżyła Foxy'ego do Gawrona i wymruczała:

- Przestań mnie prowokować.

- Lubię, kiedy się rumienisz. Zastanawiam się wtedy, co powinienem zrobić, żeby wywołać ten rumieniec na twoich policzkach, gdy jesteśmy sami - powiedział cicho.

Na szczęście nie musiała odpowiadać, bo tragarze znów podnieśli lektykę i cała procesja ruszyła.

- Dokąd zmierzamy? - zapytał Gabriel.

- Przejdziemy przez wioskę, a potem skręcimy na północ, na brzeg powyżej Barbary Combe House. Roztacza się stamtąd piękny widok.

Ulubionym miejscem jej ciotki zawsze był Black Edge Head, położony na południe, ale Tamsyn wiedziała, że ciotka ma zbyt wiele taktu, by zabrać ich w miejsce, gdzie odbyła się ostatnia

konfrontacja Jory'ego z policją.

- Pani Perowne. - Doktor Tregarth znów zatrzymał się obok niej. - Jeśli mogę, chciałbym zamienić z panią słowo na osobności. Wolałbym nie niepokoić pani ciotek.

Cris skinął głową do Gabriela.

- Jedźmy dalej.

- Nie. - Tregarth podniósł dłoń. - Sądzę, że dobrze będzie, jeśli pan również to usłyszysz, panie Defoe. Po okolicy krążą pogłoski, że gang Jory'ego Perowne'a znów się uaktywnił. Podobno ktoś rysuje kredą na murach znak srebrnej dłoni. Pojawił się nawet na drzwiach urzędu skarbowego w Barnstaple.

Tamsyn przełknęła słowa, które cisnęły jej się na usta, i zmusiła się, by spokojnie pomyśleć.

- Może ktoś używa starej nazwy i znaku. Chyba właśnie to miał na myśli pan Ritchie, kiedy nas odwiedził.

- To nie wszystko - Tregarth patrzył na nią poważnie spod nisko opuszczonego ronda kapelusza. - Ludzie zastanawiają się, kto jest przywódcą gangu Srebrnej Ręki, skoro znów przystąpił on do działania.

- Nie mam pojęcia. Jory nie miał przybocznego. Nie było nikogo innego, kto mógłby zapanować nad taką bandą. - Usłyszała, że Cris gwałtownie wciągnął oddech i dopiero teraz uświadomiła sobie, do czego doktor Tregarth zmierza. - Naprawdę sądzą, że to ma coś wspólnego ze mną? To niedorzeczne. Przemysłowcy nigdy nie przyjmowaliby rozkazów od kobiety.

- Mogliby to zrobić, gdyby chodziło o kobietę Jory'ego Perowne'a.

- Nie! - Tamsyn szarpnęła wodze, dźgnęła konia piętą i pogalopowała ulicą za oddalającą się lektyką. Gang Srebrnej Ręki wrócił do życia? To niemożliwe. Z pewnością wiedziałyby, gdyby komuś udało się odbudować tę sieć. Z drugiej strony, mogła być pewna tylko tego, że to nie ona dowodzi gangiem...

Zanim dogoniła ciotki, usłyszała za sobą tętent potężnych kopyt. Cris i Gabriel pojawili się po obu jej stronach. Ściągnęła wodze.

- Gang Srebrnej Ręki? - zapytał Cris.

- Jory odziedziczył srebrny talizman. Była to dłoń, długa

mniej więcej na dwa cale. Wyglądała jak część jakiejś religijnej rzeźby. Podobno to pozostałość z wraku Armady, którą odnalazł jego przodek. Doczepił do niej zawieszkę i nosił na łańcuszku na szyi. Jory również tak ją nosił. - Przypomniała sobie obraz srebrnego łańcuszka pośród kręconych czarnych włosków na piersi męża. Czasami, gdy był w buntowniczym nastroju, wykladał wisiorek na koszulę i wyjaśniał śmiało, że jest to po prostu pamiątka rodzinna i że to nie jego wina, jeśli ludzie używają jej jako symbolu.

- To stało się częścią jego legendy - wyjaśniła. Wszystko, co miało związek z Jorym, tchnęło dramatyzmem. - Jego ludzie rysowali kredą dłoń na skrzynkach, które zostawiali na progach domów, żeby wszyscy wiedzieli, komu zawdzięczają podarunki, które były zapłatą za milczenie. Ale i tak nikt nie zdradziłby Jory'ego ani pozostałych. Gdy urzędnicy skarbowi wywieszali plakaty obiecujące nagrodę za schwytanie go, zawsze ktoś dorysowywał na nich dłoń.

- Gdzie ona jest teraz?

Pytanie Gabriela wyrwało Tamsyn ze wspomnień.

- Miał ją na szyi, gdy... tamtego dnia.

- To nieistotne, gdzie ona jest teraz - powiedział Cris z namysłem. - Ten przedmiot jest doskonale znany w okolicy. Przypuszczam, że nie ma takiego drugiego.

- Jest - przyznała Tamsyn. - Jory zrobił kopię dla mnie w prezencie ślubnym. Ale nie były identyczne. Na mojej Jory kazał wygrawerować nasze imiona, serce i kotwicę.

- I gdzie ona jest?

- Zamknięta w szkatule razem z dokumentami i biżuterią. Nie noszę jej przy sercu, jeśli o to pytasz.

- Wiem - szepnął Cris i Tamsyn znów się zarumieniła. - Ale może dobrze byłoby ukryć ją gdzieś na wypadek rewizji. Oficer patrolowy może ją uznać za dowód winy.

- Pewnie masz rację, ale nie wierzę, że mogą się posunąć aż do przeszukania domu. - Robili to, gdy Jory jeszcze żył, tak często, że sprzątanie po rewizji przeprowadzonej przez urzędników skarbowych albo straż stało się niemal domową rutyną. Przeszukiwali piwnice, strychy, zaglądali pod łóżka, przetrząsali

stogi siana.

Ścieżka pod kopytami koni zaczęła się wyrównywać. Przejechali przez kępę drzew i znaleźli się na skraju urwiska. Po lewej wiodła ścieżka, którą Tamsyn i Cris szli poprzedniej nocy.

- Jesteśmy chyba w prostej linii nad domem? - Gabriel podniósł się w strzemionach i spojrział w dół.

- To jedyna droga, którą można dotrzeć tu konno. Na skróty z domu można dojść tylko pieszo. Tu nie ma zbyt wielu króliczych nor. Jastrzębie trzebią króliki, więc możemy pogalopować. - Sprowadziła Foxy'ego ze ścieżki i popędziła. Za sobą słyszała tętent dwóch innych koni. Foxy, rozgrzany rywalizacją, wyciągnął szyję, a Tamsyn śmiała się z podniecenia.

W końcu ściągnęła wodze.

- Teraz ostrożnie. Zbocze opada w stronę strumienia. Lepiej zawróćmy.

Ruszyli stępa za Gabrielem, który znów popędził swojego ogiera do galopu.

- Pójdziemy dzisiaj wieczorem tą ścieżką? - zapytał Cris.

Tamsyn znów się zarumieniła.

- Może przyjdę do twojego pokoju? Zastanawiałam się nad tym rano. Twój pokój jest położony daleko od wszystkich innych. Nikt się nie dowie.

- I łóżko jest miększe - zgodził się z opanowaną twarzą. Przed sobą na urwisku widzieli pozostałych, którzy rozkładali już dywaniki i składane krzesło dla ciotki Rosie. Cris pochylił się, objął ją wpół i szybko pocałował w usta.

Wciąż się śmiała, zarumieniona, gdy zbliżyli się do reszty grupy.

- Jak dobrze znów słyszeć twój śmiech, moja droga. - Ciotka Rosie uśmiechała się do niej, siedząc na krześle wśród koszy z jedzeniem. - Ja też mam ochotę śmiać się na głos. Ogromnie panom dziękuję, panie Defoe, panie Stone, za ten wspaniały prezent. Dziękuję też moim silnym tragarzom. - Rozpromieniła się, patrząc na nich. - Spójrzcie tylko na ten widok. Tam w od-dali widać Lundy i... - naraz urwała. - Kto tu jedzie?

Na drodze, którą tu przybyli, pojawiła się grupka złożona z trzech jeźdźców i trzech pieszych członków straży. Na szkar-

łatnych kurtkach wyraźnie odznaczały się białe pasy. Na ramionach nieśli muszkiety.

Cris trącił Gawrona i przysunął się bliżej do Foxy'ego. Gabriel ustawił swojego konia pomiędzy zbliżającą się grupą a krzesłem ciotki Rosie.

- To Penwith - powiedziała Tamsyn, gdy tamci zbliżyli się nieco. Wyprostowała się w siodle. - A także koroner, sir James Trelawney, i chyba któryś z urzędników skarbowych.

Grupa zatrzymała się tuż przed rozpostartymi na ziemi dywanikami.

- Sir James, pan Penwith. Witam was, panowie.

- Pani Perowne, drogie panie. - Sir James uniósł kapelusz. - Przepraszam, że przeszkadzam wam w pikniku.

- Niewątpliwie ma pan jakąś pilną sprawę, sir Jamesie - stwierdziła Tamsyn wyniośle.

- Owszem, pani Perowne. Z wielkim żalem muszę panie zawiadomić, że oficer patrolowy, porucznik Ritchie, został zamordowany.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Zamordowany? - Tamsyn zacisnęła dłonie na wodzach z taką siłą, że Foxy stanął dęba. - Jak to? Kiedy?

- Wczoraj w nocy, przy Cat's Nose Bay. Postrzał w plecy - odrzekł szorstko umundurowany jeździec. - Jestem kapitan Sutherland z Królewskiej Służby Skarbowej.

- To okropna wiadomość - rzekł Cris, zanim Tamsyn zdążyła złapać oddech. - Ale czy mogę zapytać, dlaczego zawiadamia pan o tym te damy w tak brutalny sposób?

- Będę prowadził dochodzenie w tej sprawie i domagam się, by pani Perowne złożyła zeznania i odpowiedziała na pytania. - Sir James przymrużonymi oczami przyjrzał się dwóm mężczyznom chroniącym kobiety własnymi ciałami. - Wydaje mi się, panowie, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Sir James Trelawney, koroner tego dystryktu.

- Crispin Defoe z Londynu i z Kent. A to mój przyjaciel, Gabriel Stone z Londynu. Do usług, sir. - Słowa Crisa były nienagannie uprzejme, jakimś sposobem jednak ta grzeczna prezentacja zabrzmiała jak wypowiedzenie wojny.

Gabriel skłonił się, nie zsiadając z konia, i oparł rękę na głowni szpady. Tragarze zerwali się na nogi, mocno ściskając cynowe kufle w masywnych dłoniach.

- Przesłuchanie odbędzie się za dwa dni. Żądam, by pani Perowne do tego czasu pozostała w moim domu, naturalnie w towarzystwie mojej żony.

- Chce pan mnie aresztować?

- Czy ma pan nakaz? - W głosie Crisa nie było już uprzejmości.

- Nie mam, ale nie aresztuję pani Perowne. To tylko dla jej bezpieczeństwa - odrzekł koroner lodowato. Zza jego pleców urzędnik skarbowy patrzył na Crisa ponuro, a policzki Penwitha pokryły się rumieńcem - gniewu albo podniecenia, pomyślała

Tamsyn. Zastanawiała się, dlaczego się nie boi. Była oburzona, ale nie przerażona. Ale oczywiście, Cris stał tuż przy niej. Powinna jednak sama walczyć o siebie.

- Przed czym chce mnie pan chronić?

- Przed członkami gangu odpowiedzialnymi za tę zbrodnię - prychnął Trelawney. - Z całą pewnością nie chcą, żeby składała pani zeznania.

- Pańskie słowa, sir Jamesie, są obraźliwe - wtrącił Cris, zanim Tamsyn zdążyła odpowiedzieć. - Już nie wspomnę o tym, że widać w nich uprzedzenia, jakie nie powinny się pojawić podczas uczciwego przesłuchania. Widzę, że przybył pan tu w eskorcie. Jeśli obawia się pan o bezpieczeństwo pani Perowne, to proponuję, by pozostawił pan ten oddział na straży przy jej domu. To w zupełności wystarczy. Może w ten sposób przekona pan panią Perowne, by nie wносиła przeciwko panu oskarżenia za bezpodstawne zatrzymanie, porwanie oraz zniesławienie.

- Zniesławienie? - parsknął Penwith. - Dziewka przemytnika nie jest kimś, kogo można zniesławić, sir.

Cris skinął na Gabriela, który objechał grupę i stanął po drugiej stronie Foxy'ego. Gdy już się tam znalazł, Cris podprowadził Gawrona do przodu, aż wielkie czarne chrapy dotknęły chrapów konia Penwitha.

- Gdy spotkaliśmy się poprzednio, sir, proponowałem panu spotkanie o świcie. Nadal wydaje mi się, że to był dobry pomysł.

- Pojedynkowanie jest nielegalne - odrzekł Penwith. Jego koń zaczął się cofać. Gawron napierał na niego coraz mocniej.

- Owszem, to prawda - przyznał Cris jedwabistym tonem. - Ale to nie jest wielka przeszkoda. Ważniejsze jest to, że w pojedynku stają przeciwko sobie dwaj dżentelmeni obdarzeni pewną odwagą.

- Wystarczy już tego - koroner popatrzył na Penwitha karcąco. - Pańska propozycja jest rozsądna, panie Defoe. Sierżancie Willis, proszę pozostawić swoich ludzi przy Barbary Combe House i zapewnić eskortę do sądu pani Perowne. Przesłuchanie odbędzie się pojutrze o dziesiątej. Życzę wszystkim miłego

dnia, a paniom udanego pikniku.

- Bezczelny łotr - powiedziała ciotka Rosie. Jej głos dźwięcznie rozbrzmiał w czystym powietrzu. - Znałam go jeszcze, kiedy był chłopcem. Już wtedy był nadęty i nieobliczalny. - Uszy sir Jamesa poczerwieniały, ale nie obrócił się. - A co się tyczy tego durnia Penwitha, traci pan tylko czas, próbując wyzwać go na honorowy pojedynek, panie Defoe. On nie ma żadnego honoru.

- Cris - odezwała się Tamsyn.

Podjechał bliżej, zeskoczył z siodła i wyciągnął do niej rękę.

- Odwagi, Tamsyn. Oni blefują. Zsiądź teraz, zjedz coś, podziwiał widoki i ciesz się piknikiem.

- Naturalnie. - Udało jej się uśmiechnąć. - Nie mogę pozwolić, żeby ci idioci zepsuli wyjątkowy dzień ciotki Rosie.

- No właśnie - powiedział cicho, gdy zsunęła się z siodła prosto w jego ramiona. - Jestem tutaj. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Przez chwilę stała nieruchomo tuż przy nim, chłonąc jego siłę i żałując, że nie może oprzeć głowy na jego ramieniu. Odsunęła się i podeszła do żołnierzy. Nie pozwalaj sobie na słabość, pomyślała. On nie zostanie tu na zawsze.

- Sierżant Willis, tak? Proszę się rozgościć. Na razie nikt z nas nigdzie się nie wybiera, a piknik na pewno przeciągnie się aż do lunchu.

- *Madame*. - Sierżant wyraźnie czuł się nieswojo. Odchrząknął i rozejrzał się, jakby szukał inspiracji.

- Czy mogę zaproponować, żeby zostawił pan jednego wartownika, a pozostali usiądą z nami i coś zjedzą? - Cris rozejrzał się. - Widać stąd całą okolicę. Jeśli będzie się tu zbliżał jakiś niebezpieczny gang przemytników, z pewnością w porę ich zauważymy.

- Eee... tak, sir. Zrobię tak, jak pan mówi, dziękuję. Perkins, słyszałeś. Stań na straży przez pierwsze pół godziny, potem zmieni cię Downton.

Żołnierze odeszli sztywno. Tamsyn stłumiła śmiech.

- To byłoby śmieszne, gdyby...

- Gdyby nie to, że to nie jest śmieszne - dokończył za nią Cris.

- Masz rację, to wyjątkowo kiepska farsa. Usiądź.

Uśmiechnęła się do ciotek i zauważyła z zadowoleniem, że

obydwie wydawały się raczej zagniewane niż przestraszone.

- W żadnym razie nie wierzę, by jacyś przemytnicy działali tu na dużą skalę - powiedziała nad serem, jabłkami i ciastem. - Jeszcze przed śmiercią Jory'ego przemyt stawał się coraz trudniejszy. Wojna się skończyła, zmieniono podatki i nie ma już wielu towarów, które opłacałoby się przemycać.

- Nie mogą zlekceważyć morderstwa - powiedziała ciotka Rosie, zdobywając się na sprawiedliwość. - Ale chyba odebrało im rozum, skoro sądzą, że Tamsyn ma z tym cokolwiek wspólnego.

- Na przesłuchaniu jasno się okaże, że nie mają żadnych dowodów. - Gabriel, z nóżką kurczaka w ręku, wdzięcznie rozłożył się na rogu dywanika. - Sądzę, pani Perowne, że nawet się pani nie zbliżała do Cat's Nose Bay.

- Nie byłam tam od kilku tygodni, choć znam to miejsce. To było jedno z ulubionych miejsc Jory'ego i pewnie nadal jest używane przy niewielkim przemycie. Ale od czasu, kiedy Jory zaczął wszystkim dowodzić, nigdy nie stosowano tu przemocy. Zawsze udawało mu się znaleźć jakiś sposób, żeby uniknąć straży i urzędników skarbowych. Ktoś musiał wpaść w desperację albo może został przyparty do muru...

- Gdyby został przyparty do muru, nie strzeliłby tamtemu w plecy - zauważył Cris sucho.

Ciotka Izzy wydawała się zmartwiona. Tamsyn wzięła głęboki oddech i zdobyła się na uśmiech.

- Przesłuchanie odbędzie się w Kilkhampton, więc przy okazji zrobię jakieś zakupy u tej doskonałej szwaczki, którą poleciła nam pani Holworthy. Trzeba przygotować listę rzeczy, które są nam potrzebne.

Ciotka Izzy rozpogodziła się i przypomniała jej, że jest tam również dobry sklep z artykułami papierniczymi, a przydałby im się воск do pieczęci i czarny atrament.

Jakoś udało im się nie zwracać uwagi na strażników, którzy przechadzali się dokoła. Kątem oka dostrzegali czerwone kurtki, ale wszyscy patrzyli w inną stronę, udając, że nie dzieje się nic szczególnego. W końcu Rosie oświadczyła, że jest już zmęczona, i zaczęli się zbierać do powrotu. Załadowano resztki pikniku na kucyka, lektyka ruszyła w dół wzgórza, dwaj dżentelme-

ni stanęli po obu stronach Tamsyn, a strażnicy szli za nimi.

- Skoro już twoje ciotki nas nie słyszą, to porozmawiajmy poważnie - odezwał się Cris i Tamsyn poczuła irracjonalną ulgę. - Przede wszystkim trzeba wynieść z domu tę srebrną rękę.

- Jak? Jestem pewna, że nie pozwolą nikomu z nas opuścić domu, a jeśli będzie rewizja, przeszukają również wasze bagaże.

- Mam skrytkę w powozie. Jeszcze żadnemu celnikowi na kontynencie nie udało się jej znaleźć. Zaraz po powrocie wyjmij ten talizman ze szkatuły, a ja znajdę jakiś pretekst, żeby odprowadzić Gawrona do stajni.

Poczuła ulgę. Woląla na razie nie zastanawiać się nad tym, po co Crisowi była potrzebna skrytka.

- Przypuszczam, że to kolejna odsłona zabawy Chelforda - ciągnął.

- Franklina? Ależ tu chodzi o morderstwo! - Zastanawiała się przez chwilę. Cris jechał obok niej w milczeniu. - Rozpuścił plotki o nowym gangu przemytników, zastrzelił tego biednego człowieka i chce zrzucić winę na mnie? To by wyjaśniało pewność siebie sir Jamesa. Ale nie może mieć żadnych dowodów.

- To mnie właśnie martwi - rzekł Gabriel. - To znaczy, że sfabrykował jakieś dowody i zapewne będzie to coś tak oczywistego, że nawet ten tępy koroner to przełknie.

Cris dostrzegł, że odwaga zaczęła opuszczać Tamsyn, i dotknął jej dłoni spoczywającej na wodzach.

- Nie martw się, jesteśmy tutaj. Uwierz, że nie trafisz na szubienicę. Rozluźnij się i baw się dobrze.

- Mam się rozluźnić? - pisnęła. - Jak mogłabym się dobrze bawić w takiej sytuacji?

- Chelford wpadnie we własne sidła - powiedział Gabriel z wielkim zadowoleniem w głosie. - Powiesimy go za ja... to znaczy za palce u stóp i zostawimy, żeby się kołysał na wietrze.

- Nie musi pan tak ostrożnie dobierać słów, panie Stone - rzekła Tamsyn krótko. - Bardzo mi się podoba pomysł, żeby powiesić Franklina za jaja. Naprawdę bardzo mi się podoba.

- Dobrze by było, żebyś wrócił do Londynu, Gabe, i przeprowadził to śledztwo, o którym rozmawialiśmy rankiem.

- Zrobię to po przesłuchaniu. Może zdobędę jeszcze jakieś dodatkowe informacje.

- A zatem pan Stone nie przyjechał tu tylko po to, żeby przywieźć lektykę? - domyśliła się Tamsyn.

Cris wzruszył ramionami.

- Na moją prośbę próbował dowiedzieć się w Londynie czegoś o Chelfordzie. - Spojrzał na przyjaciela z ukosa. - Nie musiał tu przyjeżdżać, wystarczyłby mi list. Przywiodła go tylko niepoważna ciekawość.

- Mówiłem ci przecież - odrzekł Gabriel lakonicznie. - Musiałem uciekać przed kobietą.

Dopiero w Barbary Combe Tamsyn uświadomiła sobie, że obydwoj przez całą drogę starali się oderwać jej myśli od kłopotów i doprowadzić ją do śmiechu. Cris pomógł jej zsiąść z Foxy'ego. Przez chwilę stała tuż przy nim. Widziała, że sierżant na nich patrzy, toteż odsuwając się od Crisa, celowo podniosła głos.

- Proszę chwilę zaczekać. Przyniosę panu resztę tych ziół, które kowal mi dał, kiedy Foxy uszkodził sobie kopyto. Skoro Gawron nadmiernie obciąża tylną nogę, powinny pomóc.

Strażnik nie próbował jej zatrzymać. Pobiegła do domu, do swojego gabinetu, i wyjęła kluczyk do szkatuły ze schowka za biurkiem. Stary zamek zaskrzypiał i stawiał opór, ale w końcu otworzył się. Tamsyn przejrzała zawartość, szukając pod stertą dokumentów pudełka ze srebrnym talizmanem, ale nie było go tam.

Przeszukała szkatułę jeszcze kilka razy. Wyjęła wszystkie papiery i wyrzuciła na podłogę. Akty własności zmieszały się z plikami banknotów. Pudełka jednak nigdzie nie było, znalazła tylko pudełeczka z biżuterią ciotek. Nie było srebrnej ręki ani nawet łańcuszka.

Wrzuciła wszystko do środka, zamknęła szkatułę, schowała kluczyk i poszła do zielarni po jakieś nieszkodliwe zioła.

- Nie musiała się pani tak spieszyć - powiedział Cris, gdy znów znalazła się przy jego boku. Rozmawiał właśnie z jednym ze strażników.

- Nie znalazłam tego, czego szukałam - odparła krótko. - Ale te zioła powinny pomóc na opuchliznę.

Cris wyjął miseczkę z jej dłoni i powąchał.

- Trzeba to przyłożyć jako kompres? Czy może pani pokazać Collinsowi, jak to zrobić? - Spojrzał na wojskowego. - Idziemy tylko do stajni. Chce pan iść z nami?

Mężczyzna niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Chyba nie ma takiej potrzeby, sir. Moim zdaniem to zupełna bzdura. Sierżant kazał mi obserwować drogę, a nie chodzić za wami. Tam dalej jest Dan, a sierżant obserwuje plażę. Nigdzie pani nie ucieknie, prawda?

- Nie, nigdzie nie ucieknę. Jesteś bratem Williego Downtona, tak?

- Tak, *madame*. Jed. Lubiłem pana Jory'ego. Znałem go od małego. Nie ma żadnych powodów, żeby prześladować wdowę po nim.

- Dziękuję ci, Jed, ale musisz wypełniać rozkazy. Nie chcę, żebyś miał kłopoty. Zostań tutaj, z tego miejsca widać dziedziniec stajenny i drogę.

Na dziedzińcu Collins zdejmował siodło z Gawrona.

- Zdaje się, że przeciążył tylną nogę? - odezwał się Cris.

Collins chrząknął i rozejrzał się. Cris tymczasem podniósł tylne kopyto Gawrona i zdjął podkowę. Tamsyn stanęła obok niego i również popatrzyła na kopyto.

- Wisiorek zniknął - szepnęła. - Razem z łańcuszkiem. Nie brakuje niczego innego. Nawet pieniądze i biżuteria są na miejscu.

- Kiedy widziałas go ostatnio? - Cris nie próbował ściszać głosu i Tamsyn uznała, że ma rację. Gdyby ktoś zauważył, że szepczą do siebie, wyglądałoby to podejrzanie.

- Kilka miesięcy temu. Był w czarnym woreczku i nie rzucał się w oczy. Nie zauważyłabym go, gdybym specjalnie nie szukała. - Przygryzła usta z namysłem. - To było jeszcze przed ostatnią wizytą Franklina. Bez trudu mógł go zabrać.

Cris powiedział coś do Collinsa na temat kopyta, podał mu zioła, ujął Tamsyn pod ramię i ruszyli do domu.

- Widocznie zaczął to planować już wtedy, gdy ciotka Izzy od-

mówiła przeprowadzki do jego posiadłości – stwierdziła Tamsyn, wchodząc do domu kuchennymi drzwiami.

- Zabrał przedmiot, który nie tylko wiąże cię ze świętej pamięci mężem, ale jest również symbolem jego przemytniczej działalności – odrzekł Cris ponuro.

Tamsyn obróciła się na pięcie i stanęła twarzą do niego.

- Zaczynam się martwić.

- Dopiero teraz? – Na widok jego krzywego uśmiechu poczuła panikę. – Nie ma powodu, żebym traktował cię jak głupie dziecko i udawał, że wszystko będzie dobrze, jeśli sami się o to nie postaramy. Co, zdaniem Chelforda, stałoby się z twoimi ciotkami, gdyby uwięziono cię aż do procesu?

- Chelford nie wierzy, by dały sobie radę same.

- Toteż zapewne oczekuje, że wpadną w przerażenie i zwrócą się do najbliższego męskiego krewnego, by zapewnił im bezpieczeństwo.

- Ale one by tego nie zrobiły. Wynajęłyby zarządcę i zatrudniłyby dodatkową służbę.

- To znaczy, że ich nie docenia, ale przekona się o tym zbyt późno. – Przeszli przez pokój kąpielowy do pustej bawialni.

- Wolałabym, żeby nie musiał się o tym przekonywać. – Jakoś udało jej się powstrzymać drżenie głosu.

Cris zwrócił się do niej ze zmarszczonym czołem.

- Sądzisz, że pozwolę, by do tego doszło? Widzę, że nie masz wiele wiary we mnie.

- A co możesz zrobić? Na pewno mają jakieś dowody, nawet jeśli sfalszowane. – Miała ochotę wykręcać palce i chodzić w kółko, ale zmusiła się, by stać nieruchomo i stawić czoła faktom.

- Przesłuchanie odbędzie się pojutrze. To dopiero przesłuchanie, nie proces. Ma na celu ustalić przyczynę śmierci i wszelkie okoliczności. Chodź tutaj – rzekł nieco szorstko i przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę miała wrażenie, że jego ręce drżą, zaraz jednak zaczął ją gładzić po plecach, jakby próbował uspokoić zdenerwowanego konia.

- Tamsyn, przysięgam, że zapewnię ci bezpieczeństwo – powiedział spokojnym, równym głosem.

- Dlaczego? - Wyrwała mu się z obawy, że bezpieczne schronienie jego ciała i ramion osłabią ją i nie będzie w stanie samodzielnie walczyć z przeciwnościami. - Nie jesteś stąd. Prawie mnie nie znasz. Dlaczego chcesz się mieszać w tę sprawę?

Cris odpowiedział bez zastanowienia.

- Bo prawdopodobnie zawdzięczam ci życie. Bo lubię ciebie i twoje ciotki. Bo jesteś moją kochanką. A poza tym nie chcę, żeby temu łajdakowi Chelfordowi uszło to na sucho. Wybierz sobie powód, który najbardziej ci się podoba.

- Och. To dosyć długa lista. - Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu i bladość zaczęła ustępować. Crisowi nie podobał się jej spokój; miał wrażenie, że to po prostu szok albo że Tamsyn nie rozumie, jak poważna może się okazać ta sprawa, jeśli bezliźnie nie zdusi się jej w zarodku. Poczuli się wstrząśnięty, gdy sobie uświadomili, jak bardzo się o nią martwi.

- Powiedz mi, co zamierzasz.

- Muszę uspokoić ciotki, wyprowadzić wszystkie księgi na bieżąco, wybrać odpowiedni strój na przesłuchanie i zastanowić się, co jeszcze może przedsięwziąć Franklin - wymieniła spokojnie, unosząc wyżej głowę.

Pomyślał, że może już zostawić ją samą. Rozczulanie się nad nią mogłoby ją tylko bardziej zdenerwować.

- Wydaje mi się, że to jest właśnie to, co powinnaś zrobić. Pójdę sprawdzić, co planuje Gabriel. Powinien jak najszybciej wrócić do Londynu.

- Cris... - Tamsyn oblała się rumieńcem. - Dziś wieczorem...

- Przyjdiesz do mojej sypialni? Sama mówiłaś, że jest oddalona od wszystkich pozostałych. - Jej rumieniec wyraźnie się pogłębił. - Zwolnię Collinsa zaraz po kolacji. Gdybyś zechciała zajrzeć na drinka, powiedzmy, o jedenastej, pewnie nie będę jeszcze spał. - Nieoczekiwanie serce zaczęło mu bić szybciej. To tylko przyjemna rozrywka, która odwraca uwagę od ważniejszych rzeczy, pomyślał. Gdy to wszystko się skończy i wróci do Londynu, szybko zapomnę o niej i o całym tym świecie rybaków, przemytników i owiec.

Mimo wszystko wyczekiwał najbliższej nocy z żarliwością kochanka, który po raz pierwszy czeka na schadzkę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Cris.

- Słucham - odezwał się nieuprzejmie.

- Powiedziałem do ciebie już dwa pełne zdania, a ty siedzisz i gapisz się w okno jak zakochany młodziak. Co się z tobą dzieje? - zapytał Gabriel, wchodząc do bawialni i opierając się biodrem o krawędź stołu.

- Myślę. Musisz przyznać, że jest się nad czym zastanawiać.

- Ale nie są to sprawy, które mogłyby wywołać na twojej twarzy ten głupi uśmiech. Będę musiał napisać Aleksowi i Grantowi, że widziałem Crisa de Feaux z uśmiechem.

Cris obawiał się, że za chwilę obleje się rumieńcem, a to dopiero byłaby nowina warta nagłówek gazet. Co się z nim właściwie działo? Widocznie w Danii rozum zupełnie mu się pomieścił.

- Czasem się uśmiecham, szczególnie gdy ciebie nie ma w pobliżu i nie ma mnie kto denerwować. - Machnął ręką w kierunku okna. - Ładny widok.

Gabe prychnął lekceważąco.

- Widok, akurat. Wygląda to na coraz większe bagno.

- Widok?

- Prześladowanie pani Perowne. - Gabriel uśmiechnął się. - Brzmi jak tytuł powieści Minervy Press.

- Na ile znam Chelforda, bardzo możliwe, że zaczerpnął swoje pomysły właśnie z tego typu powieści. Powtarzałem sobie, że Chelford jest za głupi, żeby wymyślić taką akcję tylko po to, by odwrócić uwagę od następnego ciosu, a Patrick i Seamus daliby sobie radę nawet z oddziałem wojska, ale mimo wszystko cieszę się, że będzie tu ktoś jeszcze na wypadek, gdyby na tym przesłuchaniu zdarzyło się coś głupiego.

- Będę zabezpieczał tyły - obiecał Gabe i na chwilę położył rękę na ramieniu Crisa. Była to największa demonstracja uczuć,

na jaką kiedykolwiek sobie pozwolił wobec przyjaciela. Wyciągnął sobie krzesło i usiadł bokiem do stołu. Po chwili, nie wiadomo skąd, w jego rękach znalazła się talia kart. Rozdał je na dwie kupki, odkrył obydwie i zaczął grać sam ze sobą.

- Zdarzyła się dzisiaj jeszcze jedna dziwna rzecz. - Cris opowiedział mu o zniknięciu srebrnej ręki.

Gabriel rzucił karty na stół i zmarszczył czoło.

- Cóż to może oznaczać? Nie podoba mi się to, że ten wisiołek zniknął, a zamek w szkatułce nie jest uszkodzony.

Cris też się nad tym zastanawiał.

- Chelford kiedyś swobodnie poruszał się po tym domu. Ktoś taki jak on mógł ukraść zapasowe klucze, żeby myszkować bez przeszkód wszędzie.

- Moim zdaniem cała służba jest godna zaufania. To prawie na pewno on albo jakiś jego pomocnik. Jeśli nie będziesz mnie tu potrzebował, to zaraz po przesłuchaniu pojedę do Londynu i spróbuję prześledzić jego ostatnie ruchy.

- Dziękuję. - Żadne więcej słowa nie były potrzebne.

Gabriel jednym ruchem ręki zgarnął rozrzucone karty i podniósł się.

- Lubię ją, Cris. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Ale nie wsiąkaj zbyt mocno. Jesteś, kim jesteś, a ona jest...

- Inteligentna, interesująca i nietypowo piękna? - odrzekł Cris chłodno, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie dał Gabrielowi w twarz. Ogarnęła go dziwna złość. Sam nie wiedział, skąd się bierze jego irytacja.

- Jest wdową po przemysłowcu i absolutnie nie nadaje się...

Dopiero wtedy Cris podniósł się.

- Wiem. Nie musisz tego mówić.

- ...dla kogoś o twojej pozycji - dokończył Gabe i wysunął się ze zręcznością człowieka wprawionego w znikaniu w porę z rozmaitych przybytków hazardu.

Do diabła z nim. Gabriel lubił się drażnić ze wszystkimi, a z Crisem najbardziej, właśnie dlatego, że jego przyjaciel bardzo sobie cenił opanowanie i samokontrolę.

- Lubię kruszyć lód - przyznał kiedyś z przewrotnym uśmiechem. - Wtedy ślizgawka jest bardziej interesująca.

Cris zerknął w lustro nad kominkiem. Odpowiedziało mu chłodne spojrzenie niebieskich oczu w twarzy zupełnie pozbawionej emocji. Czy Gabe dostrzegł coś, czego on sam nie widział? Czyżby ów lód zaczynał się kruszyć?

Wiatr wzmagął się. Od czasu do czasu słychać było stuk nie-domkniętej okiennicy albo obluzowanej listwy. Przez tarczę księżycyca w pełni przebiegały burzowe chmury. Wypolerowane deski podłogi w korytarzu na przemian wyłaniały się z mroku i znów w nim zagłębiały, zostawiając Tamsyn w zupełnych ciemnościach.

Znała jednak każdy cal tego domu. Trzaski i poskrzypywania nie przerażały jej; przeciwnie, pomagały stłumić odgłos kroków. Dziwnie się czuła, skradając się tak przez dom – nie jak rozważna, stateczna matrona, lecz jak impulsywna, namiętna dziewczyna, którą była kilka lat temu. Ale do Jory’ego nigdy się tak nie zakradała.

Myśląc o tym, dotarła do drzwi Crisa i stanęła z ręką na klamce, czując, jak jej pewność siebie ulatuje. Cóż on z kolei mógł w niej widzieć? Może była po prostu pod ręką, a może podniecała go atmosfera nowości... Z pewnością w niczym nie przypominała dam, z którymi zwykle się spotykał. Może po prostu ulitował się nad biedną wdową, która zapewne tęskniła za względami okazywanymi przez mężczyznę.

Drzwi uchyliły się. Naraz została wciągnięta do pokoju z takim impetem, że uderzyła o mocną, pokrytą jedwabiem pierś i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to Cris w ciężkim brokatowym szlafroku.

– Zaczekaj chwilę. – Sięgnął za jej plecy, cicho zamknął drzwi i odłożył coś na komodę. W świetle jedynej świecy dostrzegła mały srebrny pistolet. Powstrzymała okrzyk i udało jej się zapytać w miarę spójnie:

– Po co ci ten pistolet?

– Kiedy ktoś stoi za drzwiami mojej sypialni o północy, przestępując niepewnie z nogi na nogę, tak że deski skrzypią, to z mojego doświadczenia wynika, że ten ktoś chce albo podebrać mi gardło, albo wejść do mojego łóżka.

- Czy to się zdarza często? - zapytała stłumionym głosem, z twarzą przyciśniętą do nagiej skóry w wycięciu jego szlafroka.

- Co? Zamachowcy czy propozycje?

- Jedno i drugie.

- Jedno częściej niż drugie - wymruczał, przesuwając ustami po jej skroni. - Masz takie piękne kości policzkowe i smakujesz jak posolona brzoskwinia.

Jakoś udało jej się wsunąć dłonie między ich ciała i pochwycić pasek od szlafroka. W odpowiedzi przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej i przesunął tak, że jej ręce znalazły się niżej, pod paskiem. Zaczęła go pieścić przez gruby jedwab. Cris jęknął i lekko zacisnął zęby na wrażliwym miejscu między jej szyją a ramieniem.

Pociągnęła za pasek i kiedy szlafrok rozchylił się, powiodła paznokciami po płaskim brzuchu. Cris odpowiedział natychmiast. Prawą ręką pociągnął za jej koszulę nocną na karku, rozrywając płótno, a potem podniósł ją i całym ciałem przycisnął do drzwi. Tamsyn instynktownie oplótła nogami jego biodra i zarzuciła mu ramiona na szyję. Była na niego gotowa. Poruszyła się i jednym ruchem wzięła go w siebie.

Cris znieruchomiał z czołem opartym o jej czoło i dłońmi opartymi o drzwi po obu stronach jej głowy.

- Ty łasico. - Głos miał szorstki, ochrypliwy. Zrozumiała, że nie spodziewał się tego. To doskonale, pomyślała, bo on również wstrząsnął nią do głębi. Drzwi twardo wpijały się w jej łopatki, musiała ścisnąć razem kostki nóg i napinać mięśnie ud, żeby nie zsunęły się po jego biodrach, wciąż okrytych jedwabiem.

Jego ruchy były nieskończenie powolne. Słyszała jego wyężony oddech, widziała, z jakim wysiłkiem panuje nad sobą.

- Cris, proszę! - westchnęła. Nie została jej już ani odrobina dumy. Mogła tylko błagać i wzdychać, próbując wyrwać się z sieci pragnienia, które oplatało ją coraz mocniej i mocniej.

- Jeszcze nie.

- Nie mogę...

- Możesz. - Widziała, z jakim wysiłkiem oddycha, ile trudu kosztuje go wypowiedzenie choćby słowa. - Podnieś głowę.

- Po co?

- Nie chcę, żebyś krzyczała. - Zamknął jej usta pocałunkiem, poruszył się jeszcze raz i sieć zacisnęła się, a potem rozpadła na tysiąc kawałków. Tamsyn wykrzyknęła prosto w jego usta i zobaczyła pod powiekami tęczę.

- Tamsyn.

Jeszcze przed chwilą unosiła się w powietrzu, teraz więc zapewne leżała na chmurze. Ciekawa była, co zobaczy, gdy spojrzy w dół, może rozciągający się pod nią ocean? Uniosła ciężkie powieki i odkryła, że leży w poprzek łóżka z nosem zagrzebanym w grubej puchowej kołdrze. Z trudem odwróciła głowę w stronę głosu Crisa. Leżał obok niej na plecach, z rękami pod głową.

- To było znacznie lepsze niż podcinanie gardła - powiedział poważnie, gdy zamrugła.

Zaśmiała się, obróciła na bok i przytuliła do niego.

- Mam taką nadzieję.

- Wszystko w porządku? - Usiadł i przesunął ręką po jej plecach. - Nie posiniaczyłem cię?

- Nie wiem - wymamrotała, całując jedyną dostępną jej w tej chwili część jego ciała. Tak się złożyło, że była to prawa kość biodrowa. - Wszystko jedno.

- Chyba jeszcze nikt mnie tam nie całował - rzekł z zadowoleniem, znów opadając na plecy. - Czy sądzisz, że uda ci się znaleźć więcej takich miejsc?

- Przypuszczam, że sama będę musiała ich poszukać?

- Przed chwilą to ja wziąłem na siebie cały trud - odrzekł rozsądnie, jakby negocjował kontrakt, ale w kąciku jego ust znowu pojawił się dołeczek.

- Dobrze. Połóż się na brzuchu.

Cris posłusznie przetoczył się na brzuch. Tamsyn zastanawiała się przez chwilę, po czym przyklękała, pochyliła się i pocałowała ścięgno Achillesa.

- Trafiłaś - przyznał.

Przesunęła się nieco, uszczypnęła go w pośladek i pocałowała to miejsce.

- Nie. Tutaj już mnie całowano.

- Nie bądź taki zadowolony z siebie. To, że masz bardzo ładny tyłek...

Poruszył się i zanim zdążyła się odsunąć, błyskawicznie znalazł się na niej.

- Naprawdę? Jest ładny?

- Tak myślę. Prawie tak ładny jak tyłek pana Stone'a.

- Łasica - powtórzył, wsuwając się w nią. Uświadomiła sobie, że kocha jego dotyk, kocha mrok w jego oczach, kocha to, jak ich ciała poruszają się razem bez żadnego wstydu i wahania.

Kochała go całego.

Odkrycie, że jest zakochana, nie dawało Tamsyn spokoju przez cały następny dzień. Trudno było jej się skupić na uspokajaniu ciotek i wysłuchiwanie rad, których udzielał jej Cris, bo przez cały czas miała ochotę tylko na niego patrzeć.

- Moim zdaniem powinnaś włożyć coś praktycznego i nierzucającego się w oczy. Nie powinnaś sprawiać wrażenia, że próbujesz kokietować ławę przysięgłych, a poza tym sądzę, że oni cię znają, więc i tak nie udałoby ci się udawać bezradnej kobietki. - Oparł się o ścianę altany i ławka zakołysała się na metalowych nóżkach.

Jest piękny, myślała Tamsyn, ale nie zakochałam się w tych niebieskich oczach ani kształtnych pośladkach.

- Tamsyn...

- Myślałam, że włożę mój najnowszy strój jeździecki. Tak czy owak, muszę tam pojechać konno. Ten strój jest prosty w kroju, granatowy.

- Doskonale. Przypuszczam, że będziesz się bardzo złościć, ale...

Choć to wszystko bardzo pomaga, mówiła do siebie w myślach. Ale zakochałam się w jego odwadze, dobroci...

- Najważniejsze, żebyś nie straciła opanowania. Oczywiście chcesz pomóc władzom, ale nic nie rozumiesz.

„Chociaż nie wiem, dlaczego cię kocham, skoro masz przede mną tyle tajemnic i nie należę do twojego świata, jakkolwiek on jest. A poza tym niedługo znikniesz i nigdy więcej cię nie zobaczę”.

- Tamsyn, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Nic nie rozumiem - powtórzyła posłusznie, myśląc dalej: W łóżku jesteś jak anioł albo może właśnie jak diabeł, i to też bardzo pomaga. - Będę próbowała panować nad sobą i postaram się być pomocna, choć nic nie rozumiem. A jeśli on będzie się upierał przy tych bzdurach, okażę słuszne oburzenie. Jestem szanowaną damą, bez względu na to, co robił mój świętej pamięci mąż. W końcu żona jest tylko dodatkiem w świecie męzczyzny, prawda? Nie mogę odpowiadać za to, co robił Jory.

- Z pewnością nie można o tobie powiedzieć, że byłaś tylko dodatkiem.

A poza tym uwielbiam ten uśmiech, który pojawia się tak rzadko.

- To są mężczyźni, więc będą zakładać, że nie byłabym w stanie wymyślić ani przeprowadzić żadnej skomplikowanej operacji - powiedziała, patrząc przez ogród na morze. - Myślę o tym jak o pojedynku z Franklinem. Muszę zachować chłodną głowę i walczyć zdecydowanie, ale ostrożnie.

- To rozsądne - przyznał Cris. - A kiedy już dowiemy się, o co mu tak naprawdę chodzi, to z wielką przyjemnością wyzwę go na prawdziwy pojedynek.

Tamsyn poruszyła się tak gwałtownie, że ławka omal się nie przewróciła.

- Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego? Zachował się w niedopuszczalny sposób wobec damy i obowiązkiem każdego dżentelmena jest zmusić go, by za to odpowiedział.

- Jeśli to on zamordował biednego pana Ritchiego, to go powiesz. Chcesz oszukać wymiar sprawiedliwości? Oszczędzić mu przechodzenia przez salę sądową i cały proces? - zapytała z ogniem, wiedząc doskonale, że chodzi jej o bezpieczeństwo Crisa, a nie abstrakcyjne pojęcie sprawiedliwości.

- Wątpię, by to on sam nacisnął spust. Po co miałby to robić, skoro jest mnóstwo opryszków do wynajęcia, którzy z radością podcięliby gardło własnej babce, gdyby tylko uznali, że im się to opłaca.

- Chcesz powiedzieć, że może mu to ujść na sucho?

- Sądzę, że to bardzo prawdopodobne. W końcu jakie mamy dowody?

- Może będziemy mieli jakieś po przesłuchaniu. - Tamsyn wolała nie wymyślać dodatkowych kłopotów. Miała ich już wystarczająco wiele.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Proszę wstać, idzie sir James Trelawney.

Przysięgli podnieśli się z ław stojących w dwóch rzędach. Wiadać było, że czują się niezręcznie w najlepszych ubraniach i że przygniata ich ciężar odpowiedzialności. Publiczność, upchnięta ciasno w niewielkiej salce gospody Pod Baranią Głową, również wstała, trącając się łokciami, wymieniając szeptem uwagi i wpatrując się w pierwszy rząd, gdzie siedzieli świadkowie.

Sir James zajął miejsce za stołem na chwiejnym podwyższeniu, które miejscowy cieśla, zajmujący się również produkcją trumien, na tę okazję pospiesznie zbił z desek. Poprawił poduszkę, przesunął na stole pióro i papiery, nałożył na nos okulary i odchrząknął.

- Proszę o ciszę! - Konstabl parafialny najwyraźniej dobrze się bawił. - Proszę usiąść - zwrócił się do sir Jamesa, który skinął mu głową. - Proszę wezwać pierwszego świadka! Thomas Gedge!

- Tu jestem, Fredzie Dare, ty stary głupcze. Przecież siedzę przed tobą. Nie musisz wrzeszczeć - odezwał się starszy mężczyzna w fartuchu i butach rybackich, podnosząc się z ławy.

- Stań tutaj. - Zaczerwieniony po czubki uszu konstabl wskazał mu miejsce dla świadka, również zmontowane przez cieślę.

- Tu jest Biblia. - Podniesionym głosem odczytał przysięgę i usiadł.

- Tak mi dopomóż Bóg - zakończył świadek.

- Nazywasz się Thomas Gedge i jesteś rybakiem?

- Ano tak, sir.

- I często bywasz w Cat's Nose Bay?

- Nie wiem, czy często. Trzymam tam łódź i mam szopę z sieciami.

Sir James popatrzył na niego groźnie.

- I byłeś tam w ostatnią środę wieczorem? W jakim celu?

- Ano, byłem. Poszedłem do szopy, żeby sobie zapalić. Przyjechała matka mojej żony i kiedy dwie kobiety ciągle trajkoczą nad głową, człowiek nie ma chwili spokoju we własnym domu. Noc była ciepła, więc poszedłem nad zatokę. Jak tam szedłem, to zegar na kościele wybił ósmą, a do domu wróciłem po pierwszej.

- I na pewno miałeś ze sobą butelkę brandy! - zawołał ktoś z tyłu sali.

- Proszę o spokój. Widziałeś stamtąd plażę?

- Drzwi szopy były otwarte, ale nie widziałem plaży, bo szopa otwiera się w drugą stronę. Widziałem ścieżkę na plażę.

- I czy widziałeś, żeby tamtego wieczoru ktoś szedł tą ścieżką?

- Ano, widziałem. - Po sali przebiegł szmer zainteresowania. - Widziałem tego nowego oficera patrolowego, Ritchiego. Poznałem go po kapeluszu i po tym, że tak szybko chodził. I jeszcze księżyc oświetlił jego twarz, kiedy mijał szopę. Pomyślałem sobie: nic tu ciekawego nie znajdziesz, ty wścibski diable.

- Widziałeś kogoś jeszcze?

- Widziałem. Jakieś dziesięć minut później. Ktoś owinięty płaszczem. Przeszedł cicho, jakby nie chciał, żeby ktoś go zauważył.

- Czy ta osoba znajduje się teraz w sali sądu?

- A skąd mam wiedzieć, wasza wysokość? Mówiłem przecież, że był owinięty płaszczem.

- Czy to był mężczyzna?

- Mógł być. Ale mogła być i wysoka kobieta. - Rybak wzruszył ramionami. - Trochę się zdrzemnąłem, potem się obudziłem i pomyślałem, że teściowa pewnie już poszła spać i mogę wracać do domu. I wtedy usłyszałem strzał. Zamknąłem drzwi szopy i czekałem, aż usłyszałem kroki na ścieżce. Poczekąłem jeszcze trochę i poszedłem się rozejrzeć. Ritchie leżał na plaży z kulą w plecach, kamienie dokoła były zachlapane krwią.

- Dlaczego czekałeś, zanim tam poszedłeś, człowieku? - zapytał sir James z irytacją.

- Bo nie chciałem zarobić kulki. Potem poszedłem do Freda Dare'a i wyciągnąłem go z łóżka.

- To wszystko, możesz wracać na miejsce.
- Fredericku Dare, stań na miejscu świadka.

Gabriel Stone pochylił się przed Tamsyn i gdy konstabl składał przysięgę, mruknął do Crisa:

- I to już wszystko? Jedna postać nieznaney płci owinięta płaszczem?

- Pewnie będzie więcej - odrzekł Cris.

Konstabl zeznał, że został obudzony, ubrał się, wstąpił po kilku miejscowych i razem poszli na plażę, gdzie leżało ciało.

- Czy morderca pozostawił jakieś ślady?

- Ano pozostawił, wasza wysokość. Pod ciałem znalazłem pewien przedmiot. Ten przedmiot teraz jest w tej czarnej torebce przed panem, wasza wysokość. Zanieśliśmy ciało do kościoła, obudziliśmy wikarego, potem poszedłem do pana, a pan mi kazał przeszukać okolicę i wypytać, czy nie było tu jakichś obcych albo czy nikt nie zachowywał się podejrzanie. I tak zrobiłem. Tamtej nocy nie znalazłem nikogo, ale następnego wieczoru spotkałem tego podróżnego w gospodzie. Powiedział, że wyszedł się przejść i widział coś dziwnego, więc przyprowadziłem go do pana, sir Jamesie.

- Dziękuję, Dare. Możesz opuścić miejsce świadka i zawołać następną osobę.

Teraz na podeście stanął miejscowy lekarz. Wyjaśnił szczegółowo, nie szczędząc krwawych detali, że denat został zabity jedną kulą, która trafiła w serce. Poza tym nie miał żadnych więcej obrażeń.

Tamsyn obserwowała tę powolną wiejską rozprawę, jakby była to dość kiepska sztuka. Pomyślała, że powinna chyba coś czuć - lęk albo przynajmniej ciekawość - ale była jak odrętwiała.

- Teraz pojawia się interesujący świadek - szepnął Cris.

Chudy mężczyzna z bardzo przeciętną twarzą, którą łatwo było natychmiast zapomnieć, złożył przysięgę i stanął w wyznaczonym miejscu, mnąc kapelusz w dłoniach i wpatrując się w koronera. Miał brązowe włosy ściągnięte w staroświecki ogonek, brązowe oczy i całkiem przyzwoite, choć proste, ubranie.

- Proszę powiedzieć, kim pan jest, czym się pan zajmuje i co

pan porabia w tej parafii.

- Nazywam się Paul Goode i jestem sekretarzem w kancelarii prawnika przy Gray's Inn Road w Londynie. - Tamsyn poczuła nagły przyływ zainteresowania. Nieznajomy mówił z południowym akcentem i z pewnością był obcy w tej okolicy. - Zostałem tu przysłany przez mojego pracodawcę, pana Ebenezera Howarda, w interesach, które zawiadły mnie nieco dalej na wybrzeże. Byłem już w drodze powrotnej i zatrzymałem się na noc w tej gospodzie, wasza wysokość. Miałem nadzieję, że uda mi się dotrzeć do Barnstaple, ale droga okazała się zbyt trudna dla mojego starego konia, więc zatrzymałem się, żebyśmy obaj mogli wypocząć.

- Czy ma pan coś do powiedzenia, panie Goode, co mogłoby rzucić jakieś światło na tę sprawę?

- Po kolacji wybrałem się na przechadzkę, sir. Nie chciało mi się spać. Był ładny wieczór, świecił księżyc, a ja jestem z miasta i nigdy jeszcze nie byłem nad morzem. Nie wiedziałem, gdzie iść, ale zobaczyłem mężczyznę na ścieżce, która, jak się potem przekonałem, wiodła w stronę plaży, i poszedłem za nim, zakładając, że skoro idzie tą ścieżką, to musi ona gdzieś prowadzić. Szedłem za nim dość ostrożnie, sir, bo obawiałem się przeszkodzić w jakiejś tajemnej schadzce.

- Tajemnej schadzce? - Sir James popatrzył na świadka znad okularów. Tamsyn poczuła jego napięcie. Był jak łasica przyczajona do skoku na ofiarę. - To dziwne słowo, panie Goode, w odniesieniu do spotkania dwóch mężczyzn. Proszę opuścić miejsce świadka, ale nie wychodzić z sali.

- Dlaczego nie wysłucha go do końca? - szepnęła Tamsyn do Crisa.

- Nie mam pojęcia. Wyraźnie reżyseruje cały ten spektakl.

- Proszę wezwać na miejsce świadka panią Tamsyn Perowne.

Cris podniósł się razem z nią i ujął ją pod ramię, ale odwróciła się do niego i z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku.

Poczuła ulgę, że czekanie już się skończyło. Stała na miejscu świadka, powtórzyła przysięgę, zaplotła ręce na poręczy i najspokojniej, jak potrafiła, spojrzała na sir Jamesa.

- Nazywa się pani Tamsyn Perowne i jest pani wdową po Jorym Perownie, przywódcy bandy przemytników nazywanej Bandą Srebrnej Ręki?

- Jestem wdową po Jorym Perownie - zgodziła się. - I o ile wiem, jego związki z tą bandą nigdy nie zostały potwierdzone w sądzie.

- Czy знаła pani ofiarę morderstwa?

- Spotkałam porucznika Ritchiego raz. Przyjechał do Barbary Combe House i przedstawił się. Rozmawialiśmy przez chwilę na trawniku przed domem. Nie widziałam go nigdy wcześniej ani później.

- Czy przekazał pani ostrzeżenie?

- Powiedział, że w okolicy działa gang przemytników. Uznałam, że chce nas ostrzec na wypadek, gdyby okazali się niebezpieczni.

- Doprawdy? Dziwnie to brzmi, zważywszy na to, czym zajmował się pani nieżyjący mąż. - Tamsyn w milczeniu czekała na następne pytanie. - I kogo ma pani na myśli, mówiąc „my”?

- Siebie, pannę Holt, moją krewną, z którą mieszkam, jej towarzyszkę pannę Pritchard, naszą służbę oraz dwóch dżentelmenów, którzy są naszymi gośćmi. Poznał ich pan przedwczo-
raj. Pan Defoe i pan Stone siedzą teraz w pierwszym rzędzie.

- Czy mąż pani nosił zawieszkę na szyi?

- Tak - potwierdziła Tamsyn. - To była srebrna dłoń na srebrnym łańcuszku.

- Czy ta zawieszka była jedyna w swoim rodzaju?

Tamsyn spodziewała się, że sir James zapyta raczej, co się stało z tą zawieszką, ale odpowiedziała natychmiast, wiedząc, że wahanie mogłoby wyrzucić złe wrażenie na koronerze.

- Ja również posiadałam taki wisiołek. To była kopia z wygrawerowanym napisem, prezent od mojego męża.

- Gdzie ten wisiołek znajduje się teraz?

- Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że ktoś go ukradł z zamkniętej szkatuły, w której go przechowywałam.

W sali rozległ się szmer podniecenia.

- Mówi pani, że został skradziony. To musiała być cenna rzecz, dlatego zatem nie wyznaczyła pani nagrody dla znalaz-

cy?

- Bo dopiero teraz odkryłam zniknięcie wisiorka - powiedziała i naraz poczuła lęk.

Sir James uśmiechnął się.

- Konstablu, proszę pokazać świadkom i ławie przysięgłych zawartość czarnej torebki.

Tamsyn nie musiała patrzeć na srebrny łańcuszek, który Dare wysypał na swoją pokrytą odciskami dłoń. Wiedziała, co to jest. Zaczekała jednak, aż Dare poda jej łańcuszek, i obejrzała go dokładnie.

- To jest wisiorek i łańcuszek, który dostałam od mojego nieżyjącego męża. Są na nim wygrawerowane litery J i T oraz serce. - Znów włożyła łańcuszek do wyciągniętej ręki konstabla, zastanawiając się, czy powinna wyjąć chusteczkę i otrzeć oczy, ale na samą myśl o udawaniu robiło jej się niedobrze. Mogli jej wierzyć albo nie. Powie im prawdę i nic więcej.

Koroner czekał, aż wszyscy ławnicy obejrzą łańcuszek, a potem powiedział:

- Ten łańcuszek razem z wisiorkiem znaleziono w zaciśniętej dłoni porucznika Ritchiego, gdy leżał na plaży w Cat's Nose Bay. Jak słyszeliście, panowie przysięgli, świadek zidentyfikowała je jako swoją własność.

Ktoś podrzucił ten wisiorek, żeby mnie obciążyć. Omal nie powiedziała tych słów na głos, ale nie musiała podsuwać przysięgłym tej konkluzji; było pewne, że sami na to wpadną.

- Czy zna pani zatokę, o której mowa, pani Perowne?

- Oczywiście. Bywam tam od czasu do czasu. Po raz ostatni byłam tam chyba w marcu tego roku, gdy morze wyrzuciło na brzeg jedną z moich łodzi. - Miała wrażenie, że stoi na zamrzniętym jeziorze i słyszy trzask pękającego lodu. Chciała uciec, ale musiała tu zostać i zachować spokój.

- Panie Goode, proszę tu podejść. Przypominam, że nadal obowiązuje pana przysięga.

Szepty stały się głośniejsze. Chudy mężczyzna wystąpił na przód, doskonale opanowany i zupełnie bezbarwny.

- Powiedział pan, że widział pan osobę w płaszczu, która szła za porucznikiem Ritchiem w stronę plaży. Czy może pan opisać

tego mężczyznę?

- Mogę, sir, ale to nie był mężczyzna, tylko kobieta. Miała na sobie płaszcz, ale kaptur był opuszczony i wyraźnie ją widziałem w świetle księżyca. Była dość wysoka.

Na tle szeptów rozległy się pojedyncze okrzyki. Tamsyn poczuła ból w dłoni. Spuściła wzrok i popatrzyła na swoje palce, z całej siły zaciśnięte na szorstkiej poręczy podestu dla świadków. W szew rękawiczki na palcu wskazującym wbiła się drzazga.

- Proszę o ciszę. Czy widzi pan tę kobietę w tej sali?

Goode zawahał się i przygryzł usta.

- Światło księżyca trochę zmienia kolory.

Dobry ruch, pomyślała Tamsyn, zadziwiona własnym spokojem.

- Proszę spróbować, panie Goode. - Koroner uśmiechnął się zachęcająco.

Mężczyzna obrócił się w stronę miejsca dla świadka i przyjrzał się jej z wielką uwagą. Zmusiła się, by odpowiedzieć mu obojętnym spojrzeniem, ale żołądek zaciskał jej się na supeł, a serce biło coraz szybciej.

- Hm... czy ta dama mogłaby się obrócić bokiem do mnie?

- Pani Perowne, proszę zrobić to, o co prosi świadek.

Zmusiła się, by się obrócić, choć nogi pod nią drżały. Stała twarzą do sir Jamesa, uniosła wyżej głowę i popatrzyła na niego nieruchomo.

- To ona. To ta dama, którą widziałem. Nie mógłbym się pomylić. Wyraźnie widziałem ten profil oświetlony księżycem.

Tamsyn powoli zwróciła się w jego stronę.

- Kłamca - powiedziała spokojnie, zastanawiając się, czy za chwilę zemdleje. Słyszała słowa koronera skierowane do świadka jak przez mgłę, skupiona na tym, by oddychać.

- Pani Perowne, słyszała pani, co powiedział świadek. Co ma pani do powiedzenia?

- Świadek kłamie albo się myli. Nie było mnie nad zatoką. Byłam w domu, w Barbary Combe House.

Mówiąc te słowa, uświadomiła sobie, że nie było jej w domu. Była w kryjówce z Crisem, leżała w jego ramionach i wróciła do

domu dopiero po trzeciej nad ranem. Na jej twarzy musiało się odbić wahanie, bo sir James pochylił się w jej stronę.

- Czy jest pani tego pewna, pani Perowne?

Gdy skinęła głową, uśmiechnął się blado.

- I czy może pani tego dowieść?

- Nie - odrzekła bezbarwnie.

- Tak - odezwał się Cris Defoe, wstając z miejsca.

Sir James przymrużył oczy i spojrzał na niego.

- Czy chce pan złożyć zeznania, sir?

- Chciałbym stanąć na miejscu świadka i pod przysięgą zapewnić alibi pani Perowne.

- Dobrze. Pani Perowne, proszę wrócić na miejsce. Panie Defoe, proszę tu stanąć.

- Nie - szepnęła Tamsyn, gdy Cris przechodził obok niej. - To mnie zrujnuje.

Cris złożył przysięgę. Tamsyn patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Gabriel Stone, siedzący obok niej, mruzczał:

- Cholerny głupiec, przecież wie, do czego to doprowadzi!

- Proszę podać sądowi pańskie nazwisko, sir.

- Anthony Maxim Charles St. Crispin de Feaux z Avenmore Park i St. James's Square.

- Ten...

- Tak - odrzekł Cris szybko, z wyraźnym naciskiem. - Sądzę, że to wystarczy.

- Rozumiem. Cóż, sir, co chciałby pan dodać do tego, co już powiedziano?

- Nie wiem, kogo widział pan Goode, ale pani Perowne tamtej nocy była ze mną.

- Zdajemy sobie sprawę, że jest pan gościem w domu i jako gość zakłada pan, że pańska gospodyni udała się do swojej sypialni, gdy wszyscy rozeszli się wieczorem. Jednak strzał oddano po północy.

- Kiedy mówię, że pani Perowne była tamtej nocy ze mną, mam na myśli to, że byłem z nią - odrzekł Cris. Jego twarz przypominała surową maskę. - Byliśmy razem przez całą noc. Czy mam to panu narysować, sir Jamesie?

W sali znów rozległy się szmery. Tamsyn pobladła. Miała wra-

żenie, że w jej twarzy nie ma ani kropli krwi. Cóż on sobie myślał? Zupełnie zrujnował jej reputację!

Koroner kilkakrotnie uderzył młotkiem, konstabl okrzykami prosił o ciszę i w końcu przywrócono spokój.

- Czy chce pan powiedzieć, że pani Perowne jest pańską kochanką, sir?

- Absolutnie nie - parsknął Cris. - Ta dama jest moją narzeczoną.

Gabriel Stone klął pod nosem, rzucając całą litanie słów, których Tamsyn na szczęście prawie nie słyszała, ogłuszona poczuciem ulgi i oszołomienia.

- Ach. Skoro tak, to wydaje się oczywiste, że pan Goode musiał się pomylić. Panie Goode?

Konstabl gorączkowo rozejrzał się po sali. Publiczność zaczęła wyciągać szyje.

- Zniknął, sir!

- W takim razie jest oczywiste, że kłamał i że został do tego namówiony przez prawdziwego zbrodniarza. Chyba że to on sam popełnił morderstwo - oświadczył Cris.

Sir James zawahał się, po czym warknął:

- Konstablu, znajdź tego Goode'a i aresztuj go! Panowie przysięgli, nie bierzcie pod uwagę tego, co usłyszeliście od tego świadka. Dziękuję, sir. Może pan odejść.

- Ale ja mam jeszcze coś do powiedzenia. - Tamsyn cudem odzyskała głos. - Sir Jamesie, pan Defoe bardzo uprzejmie przedstawił swoje świadectwo, żeby oddalić ode mnie oskarżenie, ale wnioski, jakie wyciągnął pan z jego słów, są niewłaściwe. To prawda, spędziłam tamtą noc w jego towarzystwie aż do późna, ale byliśmy na przechadzce na urwisku. Byłam zdenerwowana pewną sprawą rodzinną, a pan Defoe postanowił mi towarzyszyć dla mojego bezpieczeństwa, gdy uparłam się, by wyjść z domu tak późno.

- Powiedział, że jest pani jego narzeczoną.

- A cóż innego mógłby powiedzieć dżentelmen, skoro zniszczył reputację damy, choćby nawet z najszlachetniejszych pobudek? Nie kłamał przecież. Skoro już uwierzył pan w najgorsze, to poczucie honoru kazało mu się ze mną ożenić, choć nigdy

wcześniej nie rozmawiał ze mną na ten temat.

- Rozumiem. To bardzo niekorzystny zbieg okoliczności. Świadek może odejść. Sąd przyjmuje, że nie ma żadnej skazy na reputacji pani Perowne, toteż nie ma również potrzeby dla, hm... szarmanckich deklaracji pana Defoe. - Sir James przez chwilę wydawał się zbity z tropu, zaraz jednak odchrząknął. - Panowie przysięgli, słyszeliście zeznania świadków. Musicie teraz podjąć decyzję.

Tamsyn znów siedziała jak odrętwiała. Cris wrócił na miejsce obok niej. Sam doprowadził do sytuacji, w której musiał zadeklarować chęć małżeństwa z nią, żeby ocalić jej reputację. Czy to mogło oznaczać, że ją kocha? Nie ośmielała jednak się nad tym zastanawiać.

Ława przysięgłych wyszła z sali, by uzgodnić werdykt. Zabrało im to całe dziesięć minut.

- Wasza wysokość, uznajemy, że porucznik Ritchie został celowo zamordowany strzałem z pistoletu przez nieznanego sprawcę czy też sprawców. Wszyscy też zgodziliśmy się, że jest mało prawdopodobne, by uczyniła to kobieta, a zwłaszcza pani Perowne, którą wszyscy znamy i szanujemy. Zgadza się też z panem i panem Defoe, że ten Goode kłamał i to jest opinia nas wszystkich. - Przysięgły usiadł ciężko i towarzysze zaczęli go poklepywać po ramionach.

Cris podniósł się, ujął Tamsyn pod ramię i wyprowadził z sali. Gabriel szedł tuż za nimi. Poszli do stajni i w milczeniu czekali, aż stajenni przyprowadzą ich konie. Stępa wyjechali z dziedzińca stajennego i gdy znaleźli się na ulicy, przeszli do kłusa.

Na rozstajach drogi Cris ściągnął konia i czekał na pozostałą dwójkę.

- Cris, dlaczego to zrobiłeś, na Boga?

- Oszczędziłem ci procesu - odrzekł, przytrzymując konia. - Wsadziliby cię do więzienia, a na to nie mogłem pozwolić. Poza tym w ten sposób wykazałem, że Goode jest kłamcą i zapewne to on pociągnął za spust.

- To była najgłupsza rzecz, jaką mogłeś zrobić - wybuchnął Gabriel. - Nie mogłeś wymyślić czegoś innego? Czegoś, co nie wymagałoby od ciebie małżeństwa z absolutnie nieodpowiednią

kobietą?

- Uważaj, co mówisz, Stone! - Gawron znów rzucił się nerwowo, gdy Cris obrócił go w miejscu w stronę Gabriela. - Nie możesz w mojej obecności tak lekceważąco odnosić się do pani Perowne.

- Lekceważąco? To urocza dama, inteligentna i piękna, wspinała gospodyni i znakomita towarzyszka. - Gabriel z ponurą twarzą skłonił się przed Tamsyn. - Ale jest również wdową po przemytniku i, zechce mi pani wybaczyć, pochodzi z prostego ziemiaństwa. Dobrze wiesz, że nie nadaje się na żonę dla człowieka o twojej pozycji.

- Czy moglibyście panowie przestać o mnie rozmawiać tak, jakby mnie tutaj nie było? - Foxy zaraził się nerwowością Gawrona i również zaczął rzucać łbem. - A jaka właściwie jest pozycja Crisa? - Naraz przyszła jej do głowy okropna myśl. - Nie, chyba nie zamierza mi pan powiedzieć, że Cris jest księciem i że tamtego dnia mówił pan poważnie?

- Nie, nie jest księciem - odrzekł Gabriel z wściekłością. - Pozwoli pani, że przedstawię jej markiza Avenmore.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Markiz? - Oczywiście, to musiał być żart. Za chwilę na pewno wszyscy wybuczną śmiechem.

Ale nic takiego się nie stało. A potem w jednej chwili zaczęła wszystko rozumieć. Wykwintne ubrania Crisa, jego wyniosły lokaj, wielka pewność siebie, zagraniczne podróże.

- Nazywam się de Feaux - rzekł z odrobiną francuskiego akcentu. - Nie Defoe. Nie próbowałem cię okłamywać, tylko głos miałem ochrypli.

Tamsyn z irytacją machnęła ręką.

- Mogłeś powiedzieć koronerowi cokolwiek: że razem zajmowaliśmy się chorym koniem albo że pan Stone przez całą noc grał z nami w karty. To byłoby lepsze niż podsuwanie wszystkim myśli, że jesteśmy kochankami.

- Ale to nie byłaby prawda - odrzekł Cris irytująco rozsądnie.
- Nie kłamię pod przysięgą, Tamsyn.

- A tak to ja minęłam się z prawdą! Przynajmniej dzięki temu nie jesteś przykuty kajdanami do żony, którą twój bliski przyjaciel uważa za katastrofę... Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo był to jedyny sposób, aby przekonać koronera i ławę przysięgłych. A co do twojej reputacji, cóż, wybaczą ci prawie wszystko, jeśli się dowiedzą, że jesteś zaręczona z markizem.

- A markizowi wybacza się w ogóle wszystko, jak sądzę?

- Tak to już jest na tym świecie.

- To irytujące, ale prawdziwe - zauważył Gabriel.

- Dziękuję, panie Stone. Nie musi mi pan tego tłumaczyć - parsknęła.

- Skoro już układamy karty na stół... tak naprawdę jestem earlem Edenbridge - rzekł z żalonym grymasem.

- W każdym razie cel został osiągnięty. Goode uciekł, przyznając się tym samym do winy - odezwał się Cris i wzruszył ramionami. - Nikt nie musi za nikogo wychodzić.

- Sądzę, że przedstawiłam swoje wyjaśnienie akurat w chwili, gdy ty zamierzałeś wyjawić koronerowi swój podstęp.

- Tak, naturalnie. - Cris doskonale już panował nad koniem i nad głosem.

Tamsyn czuła głęboki gniew, ale nie była pewna, czy jest zła na niego, czy też na siebie. Ściągnęła wodze, wbiła pięty w boki Foxy'ego i pogalopowała w stronę Stibworthy. Robiła wszystko, żeby nie myśleć i żeby Cris nie zauważył uczuć malujących się na jej twarzy.

- Nie możemy jej stracić z oczu - odrzekł Cris, popędzając Gawrona do biegu.

- Ale nie próbuj jej doścignąć. - Gabriel nasadził kapelusz na głowę i zrównał się z przyjacielem. - W tej chwili z pewnością nie czuje się szczęśliwa.

- Ale przynajmniej nie siedzi w celi - rzekł Cris ponuro.

- Tak - zgodził się Gabriel i spojrzał wymownie na przyjaciela.
- Omal nie wpadłeś we własną pułapkę. Tylko mi nie mów, że zamierzałeś wyjawić koronerowi prawdę. Z pewnością nie chciałeś tego zrobić. Pomyślałeś o tym dopiero wtedy, gdy ona podniosła się, żeby cię wyciągnąć z dołka, który sam pod sobą wykopałeś.

Ryzykował wielką burzę w Londynie, w korpusie dyplomatycznym i na dworze, bo po prostu nie był w stanie patrzeć, jak na szyi Tamsyn zaciska się pętla.

- Więc miałem pozwolić, żeby ją oskarżono i posadzono razem z prostytutkami i Bóg wie jakimi łajdakami, gdy ja będę się zastanawiał, jak podważyć zeznania tego tak zwanego urzędnika prawniczego?

- Tak.

- Zawsze mogę polegać na twojej bezlitośnie chłodnej ocenie sytuacji, prawda?

- Możesz. Tamsyn przeżyłaby kilka tygodni w więzieniu. To nie jest rozpieszczona panienka z wyższych sfer.

Ściągnęli wodze, bo przez drogę przechodziło stado owiec. Dokoła nich krążył wielki pies. Gabriel wysunął się naprzód.

- Cris, posłuchaj. Martwię się o ciebie. Masz ochotę powiedzieć jej, że twoja propozycja jest nadal aktualna, prawda? Spa-

łeś z nią i widzę, że znowu wpadłeś w rycerski nastrój. Ale zastanów się. Masz zobowiązania wobec własnego nazwiska i honoru. Może nie masz wielkiej ochoty znów pomagać ministrowi spraw zagranicznych i nie potrzebujesz pieniędzy, ale przecież lubisz to robić, a ślub z nią odbierze ci tę możliwość. Jaka żona ambasadora zechce przyjąć wdowę po przemytniku? Królowa z całą pewnością nie wpuściłaby jej na dwór. Pozwól teraz Tamsyn odjechać, niech się uspokoi. Wróc powoli do domu i uwierz jej na słowo, że wcale cię nie chce.

- Wiem o tym wszystkim. Przecież od dziecka włączano mi do głowy, czego się ode mnie oczekuje.

Naraz zaklął i pokręcił gwałtownie głowę. A jeśli ona mnie kocha!? Co ja narobiłem!

Przed oczami zamigotała mu czerwona mgła frustracji i złości. Popędził Gawrona do przodu i mijając Gabe'a, uderzył go pięścią w szczękę. Na chwilę powstrzymał pobudzonego konia i obejrzał się. Gabriel siedział na wrzosowisku, rozcierając podbródek i klnąc głośno. Cris uśmiechnął się i pogalopował za Tamsyn.

Dostrzegł ją dopiero wtedy, gdy Gawron przemknął przez brukowane uliczki Stibworthy obok gospody - jej sylwetka zniknęła już na ścieżce prowadzącej w stronę Barbary Combe.

Ściągnął konia. Skoro wracała do domu, to zapewne nic już złego nie mogło jej się przydarzyć. Na rozstajach, od których odchodziła ścieżka na urwisko, Cris zeskoczył z siodła, związał wodze i klepnął Gawrona po zadzie. Wielki czarny ogier pokłusował w kierunku stajni, Cris zaś wszedł na szczyt urwiska i zsunął się na ścieżkę prowadzącą do kryjówki. Gdy już się tam znalazł, zamknął dolną połówkę drzwi, usiadł na ławce i wpatrzył się w kwadrat błękitnego nieba. Po chwili jego złość na Gabriela opadła i umysł zaczął pracować jasno.

Powtarzał sobie, że wybrał jedyne możliwe honorowe wyjście z sytuacji. Ale nie miał obowiązku żenić się z Tamsyn, chyba że ona tego oczekiwała. Ona jednak odrzuciła go w sądzie, gdy jeszcze uważała go za zwykłego pana Defoe, a odkrycie, że jest markizem, napełniło ją przerażeniem.

Usłyszał chrzęst kroków na kamieniach. Drzwi otworzyły się

i ktoś wśliznął się do środka. Przez chwilę Cris widział tylko zarys sylwetki na tle jasnego nieba. Rozpoznał ją i w tej samej chwili ona również go zauważyła.

- Tamsyn.

- To ty! - Drgnęła ze zdumienia, a on rzucił się w jej stronę, przepełniony strachem na myśl o skraju urwiska po drugiej stronie wąskiej ścieżki. Pochwycił ją za nadgarstki, gdy już stała na krawędzi. Opadli razem na drewnianą ławę, a w następnej chwili jego usta odnalazły jej usta. Wsunęła dłonie w jego włosy. Całowali się żarliwie, zapominając o całym świecie.

Naraz obrócił się twarzą do niej i podciągnął jej spódnicę.

- Cris! - W tym słowie kryło się jednocześnie żądanie, prośba i rozkaz. Opadł na nią i wszedł w nią jednym płynnym ruchem. Usłyszał jej przenikliwy okrzyk i omal nie eksplodował.

Przez chwilę leżeli nieruchomo, spleceni i ogarnięci błogością. Potem Tamsyn odepchnęła jego ramiona, próbując się wyswobodzić z jego objęć.

- Przestań ze mną walczyć. - Umościł się na niej wygodniej, przytrzymując jej nadgarstki nad głową.

- Puść mnie.

- Puszczę cię, jeśli obiecasz, że nie wydrapiesz mi oczu i nie pobiegiesz znowu w stronę tej krawędzi. Skróciłaś mi życie o dziesięć lat, kobieto.

Ciężko zdyszana, przestała się wyrywać. Cris usiadł, próbując się od niej odsunąć na tyle, na ile to było możliwe w ciasnej kryjówce. Wepchnął koszulę do bryczesów i zawiązał troczki.

Tamsyn również się podniosła i poprawiła spódnicę.

- Okłamałeś mnie.

- Przed chwilą krzyczałaś z rozkoszy w moich ramionach.

Ukryła twarz w dłoniach i niecierpliwym gestem odgarnęła włosy.

- Nie wiem, co to było.

- Strach, ulga, irracjonalne pożądanie. Nie okłamałem cię, tylko nie powiedziałem wszystkiego.

- Dlaczego?

W ciągu ostatnich dni on również zadawał sobie to samo pytanie. Zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Bo bardzo mi się spodobało odgrywanie roli nikogo szczególnego. Odkąd pamiętam, byłem markizem Avenmore. Teraz po raz pierwszy w dorosłym życiu doświadczyłem wolności. Bardzo polubiłem Barbary Combe House i jego mieszkańców. Przekonałem się, że podoba mi się spokój tego domu i jego nieformalne obyczaje. Gdybym powiedział, kim jestem, wszyscy traktowaliby mnie zupełnie inaczej. Nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy, nie podając swojego tytułu.

- Gdybym wiedziała, nigdy nie poszłabym z tobą do łóżka.

- Dlaczego? Nagi markiz wygląda w łóżku zupełnie tak samo jak każdy inny mężczyzna.

- Nie bądź taki mądry. - Tamsyn wydawała się raczej znużona niż rozzłoszczona. Była zarumieniona i widział na jej szyi czerwone otarcie od kołnierza stroju jeździeckiego. - Doskonale wiesz dlaczego. Ty możesz na chwilę uciec od tego, kim jesteś, ale my wszyscy nie. Arogancko uznałeś, że to nie ma znaczenia, że mnie oszukujesz. Bawiło cię odgrywanie rycerza w lśniącej zbroi, który ma mnie chronić, a teraz twoja duma omal nie doprowadziła do skandalu, którego tylko cudem udało ci się uniknąć. - Podciągnęła kolana pod brodę, objęła je ramionami i oparła na nich głowę. Prawie nie widział jej twarzy.

- Tamsyn, nie zwracaj uwagi na to, co mówi Gabriel. To mój przyjaciel i po prostu próbuje mnie chronić. Książętom zawsze zdarzało się poślubić aktorki i świat się od tego nie zawalił.

- Ale zapewne zdarzało się to w sytuacjach, kiedy obie strony chciały takiego małżeństwa.

Usłyszał sarkazm w jej głosie i poczuł się tak, jakby dała mu w twarz.

- Nie chciałabyś zostać moją żoną? - Powinien jej podziękować za to, że go odtrąciła, i zostawić w spokoju, ale miał wrażenie, że opętał go zły duch. - Zapomnijmy na chwilę o moim tytule. - Wymamrotała coś, co zignorował. Zignorował również własny rozsądek, który nakazywał mu nie wdawać się w ten spór. - Dlaczego tak reagujesz?

- Nie mogę za ciebie wyjść - powiedziała żałośnie, zaraz jednak podniosła głowę i jej głos stwardniał. - Jedną z zalet bycia zwykłym chłopem, prochem pod butami jego lordowskiej mości,

jest to, że można wyjść za tego, kogo się kocha i kto odwzajemnia nasze uczucie. A nasze małżeństwo nie byłoby zawarte z miłości, prawda, milordzie?

- Nie jestem pewien, czym jest miłość. - To z pewnością była prawda. Omal nie zginął, zanim wreszcie doszedł do ładu po poznaniu Kateriny. - Lubię cię i pragnę. Starałbym się uczynić cię szczęśliwą.

Zostaw to. Porzuć ten temat. Zrobiłeś wszystko, czego wymaga honor, słyszał głos rozsądku. Przypomniał sobie słowa ojca. Szli kiedyś przez długą galerię w Avenmore Park. Ojciec wskazywał portrety przodków i wymieniał powody, dla których każdy z nich się ożenił. Mówił o pochodzeniu ich żon, koneksjach i posagach. „Każde małżeństwo wzmacnia nasz ród. Nie ma nic ważniejszego od wyboru odpowiedniej żony, matki twoich dzieci”.

- Nie możesz tego zrobić. - Tamsyn westchnęła głęboko. - Wiem o tym, nawet jeśli ty jesteś przekonany, że byłbyś wymarzoną mężem dla każdej kobiety.

No cóż, to już wszystko, pomyślał. Ona mnie nie kocha i nie chce za mnie wyjść. Z całą pewnością jestem wolny. O dziwo, wcale nie poczuł się przez to szczęśliwszy.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał. Wiedział, czego on chce. Chciał wziąć ją w ramiona i pozwolić jej się wypłakać. Przypuszczał, że Tamsyn przez cały czas walczy ze łzami.

- Wrócę do Barbary, zapewnię ciotki, że wszystko jest w porządku, i opowiem, co zdarzyło się w sądzie, żeby nie dowiedziały się tego z plotek.

- Powiesz im, kim jestem?

- Nie. Może dopiero wtedy, kiedy wyjedziesz, ale nie wiem. Nie zrozumiałyby, dlaczego sam nam o tym nie powiedziałeś. - Podniosła się i stanęła przygarbiona pod niskim stropem. - Bo przecież wyjedziesz, Cris, prawda? Wkrótce wyjedziesz.

Poszedł za nią wąską ścieżką aż na skraj urwiska, namacalnie czując obecność przepaści po prawej stronie, gdzie morze rozbijało się o kamienie. Tamsyn stała nieruchomo, patrząc na morze. Wiatr rozwiewał jej odkryte włosy i owijał spódnicę wokół długich nóg.

- Chcesz, żebym wyjechał?
- Tak, chcę, żebyś wyjechał – powiedziała bez złości. Jej znużenie było bardziej bolesne niż ostry ton.
- A ja chcę, żebyś była bezpieczna.
- Opłacę tych tragarzy, żeby tu zostali, i zastanowię się, czego Franklin może pragnąć tak bardzo, że gotów jest zabić. Zatrudnię dodatkowych ludzi do pilnowania ziemi i stad. Zrobię wszystko, co i tak bym zrobiła, gdybyś w ogóle się tu nie pojawił, milordzie.

To słowo zabrzmiało w jej ustach jak obelga. Owszem, pomyślał. Wyjedzie i dołoży wszelkich starań, by obnażyć postępkę Chelforda. A jeśli nie uda mu się dowiedzieć, czego tamten chce od Barbary Combe House i jego mieszkańców, jeśli nie znajdzie żadnego dowodu, który ostałby się w sądzie, to wsadzi Franklina Holta na statek płynący do Australii.

Patrzył na Tamsyn, gdy oddalała się od niego z wysoko uniesioną głową. Ta kobieta widziała, jak jej mąż skoczył z urwiska na spotkanie śmierci, śmiało stanęła przed sądem, wyciągnęła z morza jego samego, a teraz odchodziła z jego życia. Skoro tego właśnie pragnęła, powinien się cieszyć.

Nie była jeszcze gotowa, aby stanąć przed ciotkami. Zamknęła za sobą drzwi altany, próbując odzyskać równowagę. Kim się właściwie stała? Co ten koszmar z nią zrobił? W jednej chwili pragnęła stopić się w jedno z Crisem, w następnej czuła do siebie obrzydzenie na myśl, że rzuciła się na mężczyznę, który pragnął jej tylko na chwilę.

Tajemnica przyprowadziła do niej Crisa i miłość, ale nie mogła się z tego cieszyć. Nie cieszyły jej nawet wspomnienia dwóch nocy spędzonych w jego ramionach. Cris w końcu wyjedzie, wróci do Londynu i poszuka sobie dobrze urodzonej żony z dużym posagiem, ustosunkowanej dziewczycy, która urodzi mu dzieci. Tamsyn nie spełniała żadnego z tych warunków.

Uczesała włosy, poprawiła ubranie, zapanowała nad twarzą i dopiero wtedy wsunęła się do domu. Dokoła panowało milczenie. Ciotki zapewne były w swoim pokoju. Stanęła u stóp schodów i odwróciła głowę, gdy usłyszała ciężkie kroki.

- To pan.

- Tak, to ja, niedobry lord Edenbridge. - Oparł się o stół, na którym stał wazon z ułożonymi przez nią kwiatami. Jego ciemna cygańska uroda dziwnie kontrastowała z delikatnymi źdźbłami traw i kobieco rozwiniętymi różami. - Gdzie jest Cris?

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- Na urwisku.

- Gdzie zapewne kochaliście się, a potem wybuchła piekielna awantura. Tamsyn...

- Dla pana, milordzie, pani Perowne. - Skąd on może wiedzieć, co robiliśmy? - zastanawiała się. Pewnie nadal wyglądam, jakbym wyszła ze stogu siana. Jak wiejska dziewczka, za jaką zapewne mnie uważa.

- Pani Perowne, nie życzę pani źle, ale Cris jest moim przyjacielem i nie chcę, żeby uwikłał się w nieodpowiedni związek.

Podniosła rękę, powstrzymując go.

- Ja sama go uwolniłam. Może pan być pewien, milordzie, że wkrótce wróci do Londynu. Znowu będzie bezpieczny, we właściwym otoczeniu, z dala od skandali i nieodpowiednich kobiet.

Na twarzy Gabriela pojawił się cień współczucia.

- Czy jest pani w nim zakochana, Tamsyn? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej. Cris jest niewolnikiem swoich obowiązków i nie byłby zadowolony, gdyby zdjęła mu pani z ramion ten ciężar. - Odwrócił się i odszedł, zahaczając łokciem o różę. Szkarłatne płatki rozsypały się po lśniącej dębowej podłodze.

Tamsyn zgarnęła spódnicę jeździeckiego stroju, powoli weszła na schody i zastukała do drzwi pokoju ciotek. Izzy, jak zwykle wylewna, rzuciła haft i podbiegła, by ją uścisnąć.

- Och, moja droga! Ten miły pan Stone był tu już i powiedział, że wszystko jest dobrze i że wracasz do domu cała i zdrowa. Powiedział, że było to dla ciebie męczące przeżycie, toteż nie powinniśmy oczekiwać cię zbyt szybko.

Wróciła na swoje miejsce obok sofy, na której leżała Rosie, i obie wpatrzyły się w nią wyczekująco. Tamsyn znalazła wolne krzesło, wzięła głęboki oddech i opowiedziała im, co zaszło tego dnia. Izzy przerywała jej westchnieniami i okrzykami, Rosie tyl-

ko na przemian kiwała i potrząsała głową.

Gdy podała im werdykt ławy przysięgłych, popatrzyły na siebie w milczącej wymianie spojrzeń, których Tamsyn nigdy nie potrafiła zrozumieć. Za nimi na ścianie nad łóżkiem wisiały dwa małe olejne obrazki, które ciotka Rosie bardzo lubiła. Przedstawiały bogów i boginie, uczujących i kochających się, piękne nagie ciała i miękkie bogate tkaniny. Patrząc na nie, Tamsyn pomyślała o opadłych płatkach róży na stole i o dotyku skóry Crisa na jej skórze...

- A zatem - powiedziała krótko - skoro już mamy z głowy tę sprawę, pan Defoe wkrótce wróci do Londynu.

Udało jej się nawet uśmiechnąć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Ale przecież oświadczył ci się! - Ciotka Izzy potrząsnęła głową z niezrozumieniem. - To wspaniale! A ty mu odmówiłaś?

- To była tylko intryga, a ja nie chciałam być postrzegana jako kobieta, która skandalem wciągnęła mężczyznę w sidła małżeństwa - odrzekła Tamsyn stanowczo.

- Naturalnie, moja droga, ale z pewnością nie przyszłoby mu to do głowy, gdyby już wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Nie chcesz za niego wyjść?

- Nie, absolutnie nie.

Ciotka Rosie uniosła brwi z niedowierzaniem, ale Tamsyn wpatrywała się w nią nieruchomo tak długo, aż starsza kobieta potrząsnęła głową i spojrzała w okno.

- Idzie tu. - Otworzyła okno nieco szerzej. - Panie Defoe, proszę tu wejść! Bardzo chcemy z panem porozmawiać.

- Nic mu nie powiecie? - poprosiła Tamsyn.

- Podziękujemy mu, naturalnie - odrzekła ciotka Rosie. Rozległo się stukanie do drzwi. - Proszę wejść! - zawołała. - Panie Defoe, bardzo panu dziękujemy, że zaopiekował się pan dzisiaj Tamsyn.

Tamsyn zauważyła, że nie był tak elegancki i niewzruszony jak zwykle, ale ciotki chyba niczego nie dostrzegły.

- Sytuacja stała się nieco niebezpieczna. - Obdarzył Rosie uśmiechem, omijając wzrokiem Tamsyn, która siedziała na skraju sofy. - Ale udało się wysliznąć z sieci. Pani Perowne jest szanowana w tej okolicy, choć władze nadal zamierzają obwinić ją za grzechy jej świętej pamięci męża.

- Uważa pan, że udało się wysliznąć z sieci, bo nie musi pan zenić się z Tamsyn? - zapytała Rosie cierpko.

Cris spokojnie popatrzył na nią błękitnymi oczami i jego twarz przybrała chłodny, uprzejmy wyraz. Tamsyn poczuła dreszcz, a ciotka Izzy ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy.

- W tej sprawie decydujące są życzenia pani Perowne. Jutro wracam do Londynu. Z pewnością pomoże to stłumić dalsze spekulacje. I tak już nadużyłem pań gościnności. - Widząc, że Izzy otwiera usta, dodał szybko: - Oczywiście w dalszym ciągu będę starał się ujawnić udział lorda Chelford w problemach, jakich panie doświadczyły. Tak czy owak, Londyn może być do tego lepszym miejscem.

- Będzie nam pana brakowało - oświadczyła Izzy, patrząc na Rosie karcąco.

- Mnie również będzie pań brakowało. - Cris znów się uśmiechnął i chłód zniknął. - Ocaliły mi panie życie i okazały niezwykłą gościnność. Będzie mi brakowało towarzystwa pań i tego uroczego domu. - Podniósł wzrok na obrazki na ścianie. - Znajduje się tu mnóstwo ukrytych skarbów.

We trójkę zaczęli rozmawiać o sztuce i o sztychach Hogartha, które zdobiły ściany podestu. Tamsyn zauważyła, że rozmowa z ciotkami sprawia Crisowi przyjemność. Zmarszczki uśmiechu w kącikach ust pogłębiły się, surowe usta złagodniały.

- Na przykład te dwa oleje - wskazał obrazy nad łóżkiem. - Są wspaniałe. To prawdziwe klejnoty.

- Wiem - oznajmiła Izzy z satysfakcją. - Może są nieco zanadto podniecające na to, by je wieszać w dziennych pomieszczeniach, ale zawsze lubiłam te kolory i energię. - Potrząsnęła głową. - Zdziwiająca, że ci starożytni bogowie mają w sobie tyle werwy, tyle...

- Życia - odpowiedział Cris, uśmiechając się szerzej.

- Właśnie. Kiedyś wisiały w gabinecie papy, ale wiedział, że je lubię, więc przekazał mi je w testamencie. Napisał, że chce, żeby te obrazy ubarwiały mi wietrzne zimy na wybrzeżu. Nie mam pojęcia, kto je namalował, ale mój drogi papa zawsze powtarzał, że są w rodzinie już od bardzo dawna.

- Czy mogę? - Cris sięgnął do obrazka po lewej stronie i gdy Izzy skinęła głową, zdjął go ze ściany. Podszedł do okna, przyjrzał się uważnie, potem ustawił obraz na parapecie i wrócił po drugi. - One nie są po prostu dobre. Są wyjątkowe. I wydaje mi się, że widziałem już prace tego artysty. - Podniósł wzrok na Izzy. Jej uśmiech przygasł, gdy dostrzegła powagę w jego twa-

rzy. – Sądzę, że może to być Rubens.

– Rubens? Ależ to by znaczyło, że te obrazki są warte grube tysiące! – westchnęła Rosie i jej twarz stwardniała. – Tego właśnie chce Franklin. Tych obrazów.

– Sądzę, że znalazły się na liście inwentaryzacyjnej Holt Hall...

Tamsyn usiadła obok Izzy i wzięła jej dłoń w swoje ręce.

– Z całą pewnością – stwierdziła ciotka Rosie. – A tę listę ma teraz Franklin.

– Należą do niego? – zapytał Cris.

– Tak, podobnie jak wszystko w tym domu. Ale nie może ich dotknąć, a tym bardziej sprzedać, dopóki żyje moja ciotka – powiedziała Tamsyn z namysłem. – Myślę, ciociu Rosie, że masz rację. Zawsze wiedziałyśmy, że Franklin ma długi. Jeśli wierzyście zaczęli go przyciskać, być może przeczytał listę inwentaryzacyjną, zauważył, że mamy tu coś bardzo cennego, i postanowił dobrać się do tych obrazów. Gdyby zmusił nas do przeprowadzki do domku w swojej posiadłości, Izzy nie mogłaby zabrać stąd wszystkich mebli i obrazów. Albo może obrazki zginęłyby podczas przeprowadzki. Oczywiście pod warunkiem, że nie dowiedziałybyśmy się, jak wiele są warte.

– Ale my nie zgodziłyśmy się na przeprowadzkę, więc Franklin próbował nas przestraszyć, a kiedy nic z tego nie wyszło, dobrał się do ciebie. Gdyby tobie stało się coś złego, to nie wiem, czy byłybyśmy w stanie mieszkać tu same. Możliwe, że zgodziłybyśmy się przeprowadzić. Teraz to wszystko zaczyna mieć sens. – Ciotka Izzy przycisnęła dłonie do piersi. – Ale żeby zamordować człowieka i zrzucić winę na ciebie, Tamsyn? Taka podłość nie mieści mi się w głowie.

– Franklin musi być w desperacji – stwierdziła Tamsyn. – Bardzo bym nie chciała, by uszło mu to na sucho, ale jeśli ten rzekomy sekretarz prawnika, który zeznawał na przesłuchaniu, nie zostanie schwytany, to nie mamy nic oprócz podejrzeń.

– Pozwólcie, że zabiorę te obrazki do Londynu i dam je ekspertom do wyceny – zaproponował Cris. – Wtedy w każdym razie będą panie wiedzieć, na czym stoicie. Jeśli się mylę, będą panie mogły powiedzieć Franklinowi, że te obrazki nie są wiele

warte, i barwnie opowiedzieć o swoim rozczarowaniu.

- A jeśli są prawdziwe? - zapytała Izzy.

- Wtedy zastanowią się panie, co zrobić. - Izzy uśmiechnęła się. Zdawało się, że Cris zawsze potrafi ją uspokoić. - W każdym razie będą już panie wiedzieć, jaki cel miały te ataki. Znajomość faktów zawsze dodaje siły.

Tamsyn wysunęła się z pokoju. Musiała pomyśleć i zapanować nad palącym gniewem na kuzyna, który był w stanie zabić człowieka i jej grozić. Poszła do swojej sypialni, walcząc z pragnieniem, by po prostu położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i udawać, że cały ten okropny, pełen goryczy dzień w ogóle się nie zdarzył. Uznała, że lepiej będzie nie mówić ciotkom, że przyjeły pod swój skromny dach markiza i earla. Natychmiast zaczęłyby się martwić, że nie podjęły ich należycie, i zepsułoby im to całą niewinną przyjemność, jaką czerpały z wizyty Crisa.

Cris napisze o ekspertyzie obrazów i o przedsięwzięciach Franklina. To będzie bolesne, pomyślała, przebierając się ze stroju jeździeckiego w coś bardziej odpowiedniego do kolacji. Chciała o nim zapomnieć, a wiedziała, że nigdy jej się to nie uda, choć wciąż była na niego zła, że zachował w tajemnicy swój przeklęty tytuł. Markiz, na Boga, myślała. To tylko jeden stopień poniżej księcia, a ja musiałam się zakochać właśnie w kimś takim.

Przebrała się, uczesała włosy staranniej niż zazwyczaj i włożyła biżuterię. Jej uśmiech wyglądał niemal zupełnie szczerze. Cris powinien zobaczyć, że jest szczęśliwa przed jego wyjazdem. Również wrogo do niej nastawiony lord Edenbridge powinien się przekonać, że wbrew jego opinii Tamsyn potrafi się odpowiednio zachować.

- Zadbasz o wszystko?

Cris stał przy bramie obok nerwowo przestępującego z nogi na nogę konia. Gabriel siedział już w siodle i ostentacyjnie patrzył w inną stronę. Jego powóz powoli wspinał się na wyboistą ścieżkę, a za nim podążał powóz Crisa.

- Oczywiście. Mówiłam przecież, że zapłacę tragarzom za

ochronę domu.

- Już się tym zająłem.

- Nie potrzebuję pańskiego miłosierdzia, milordzie.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Dlaczego? Pański przyjaciel, lord Edenbridge, zwróciłby mi jeszcze uwagę, że powinnam także dygać z szacunkiem... O, tak. - Dygnęła z wdziękiem, nie zginając pleców.

- Gabriel będzie się kiedyś musiał nauczyć trzymać język na wodzy. Ale skoro już musimy rozmawiać tak oficjalnie, pani Perowne, to nie pani decyduje o wynajęciu ochrony. Rozmawiałem z pani ciotką Isobel, która w końcu jest panią tego domu, i przekonałem ją, że to dobry pomysł.

- Zawsze musi pan postawić na swoim? - Udało jej się lekko uśmiechnąć.

- Nie zawsze. - On również się uśmiechał, ale oczy pozostawały poważne. - I czasami jest lepiej, gdy nie próbuję stawiać na swoim.

Miała go nigdy więcej nie zobaczyć i pewnie dlatego zapytała lekkomyślnie:

- Jest jakaś kobieta, prawda? Ktoś, w kim jest pan zakochany i kogo nie może pan zdobyć?

- Tak mi się wydawało - odrzekł natychmiast i spochmurniał.

- Myliłem się. Ale ta sprawa zmąciła mój osąd i rozsądek na tyle, że omal nie utonąłem. - Odwrócił się i wskoczył na konia. - Gdyby pani zechciała za mnie wyjść, zrobiłbym, co w mojej mocy, żeby panią uszczęśliwić.

- Milordzie, ja chcę tylko odzyskać swoje dawne życie. Życzę panu bezpiecznej podróży i szczęśliwego powrotu do dawnego życia. Dziękuję za pomoc i za to, że zabrał pan obrazy do wyce-ny.

Skłonił głowę, zawrócił konia i popędził wzdłuż drogi. Nie zwolnił nawet wtedy, gdy zrównał się z przyjacielem. Tamsyn czekała, ale Cris nie obejrzał się.

Niezmiernie trudno było wrócić do domu i dołączyć do ciotek w bawialni, Tamsyn jednak powiedziała sobie, że to dobra lekcja dyscypliny. Jeśli nie przestanie się uśmiechać i udawać,

wkrótce przywyknie do tego tępego bólu.

- Tacy mili młodzi ludzie - odezwała się Izzy, poklepując miejsce na sofie obok siebie. - Będzie mi ich brakowało.

- Przypuszczam, że pan Defoe wkrótce się do nas odezwie - rzekła Rosie.

- Drogi pan Defoe będzie wiedział, co zrobić - stwierdziła Izzy z wielką pewnością.

- Drogi pan Defoe obiecał tylko dostarczyć nam wycenę obrazów, a nie prowadzić śledztwo w sprawie przestępstwa - zauważyła Tamsyn.

- Gdyby Franklin po prostu przyszedł do mnie i powiedział, że potrzebuje pieniędzy i chce sprzedać obrazki, tobym mu je dała - jęknęła Izzy. - Nawet teraz gotowa byłabym to zrobić, gdyby nie śmierć tego biednego człowieka.

- Bez dowodów i tak niewiele wskóramy... - Tamsyn westchnęła. - Musimy zachować czujność i mieć nadzieję, że znajdzie się jakiś sposób, by sobie poradzić z Franklinem.

Londyńskie gazety dotarły do nich za pośrednictwem wikarego, cztery dni po dacie publikacji. Od wyjazdu Crisa i Gabriela minął tydzień. Tamsyn próbowała czytać o zabytkach Devonu również dzięki wikaremu, który pozwalał jej korzystać ze swojej biblioteki. Powiedziała sobie, że doskonale sobie radzi bez Crisa de Feaux. Prawie już o nim nie myślała, w każdym razie nie częściej niż co godzinę, choć z jakiegoś powodu bardzo trudno było jej się skupić na historii posiadłości. Poza tym źle sypiała.

- W gazecie jest nazwisko Franklina - oznajmiła naraz Izzy.

Tamsyn drgnęła.

- Naprawdę?

Ciotka złożyła „Morning Post”, przesunęła okulary na nosie i wpatrzyła się w drobny druk.

- Zauważyłam jego nazwisko w rubryce „Wyjazdy i przyjazdy”. Przy przyjazdach napisane jest: księżna Devonshire do hotelu Ashbourne, markiz Avenmore na St. James’s Square, earl Edenbridge na Half Moon Street, księżna wdowa... o, tu jest. Wicehrabia Chelford z Holt Hall.

A zatem Cris i Gabriel byli już w Londynie. Tamsyn ciekawa

była, jak wygląda dom Crisa. Sądziła, że musi być wspaniały. Nigdy nie była w Londynie, ale wiedziała, że okolica wokół St. James jest prestiżowa. Legendarna sala balowa Almacka znajdowała się tuż obok. Cris nie będzie musiał daleko szukać żony. A skoro Franklin wyjechał z miasta, w każdym razie nie ma ryzyka, że ci dwaj się spotkają.

- Idzie poczta - zauważyła Rosie, zanim Izzy zdążyła rozpocząć próżne spekulacje dotyczące motywów i przedsięwzięć Franklina.

Kilka minut później Jason przyniósł listy. Korespondencja Tamsyn była niezmiernie nudna, natrafiła jednak na list od pana Pentire'a, który prowadził ich interesy i z wielką radością zawiadamiał, że ich bankier otrzymał list gwarancyjny od tak znamienitej osoby jak markiz Avenmore, toteż z całą energią przystąpił do tłumienia plotek dotyczących stanu finansów Barbary Combe House. Powinna poczuć ulgę, tymczasem znów się rozzłościła. Niech go diabli, pomyślała. Czy musi się wtrącać również w moje stosunki z bankiem? Izzy rozplywa się w zachwytach nad drogim panem Defoe, ja natomiast uważam go za wścibskiego, protekcyjnego arystokratę. Wiedziała, że jest niewdzięczna i małostkowa. Powinna myśleć o bezpieczeństwie i szczęściu ciotek, a nie o własnym zranionym sercu i nadwerężonej dumie.

Naraz Rosie wykrzyknęła przenikliwie.

- To naprawdę Rubens! Te obrazy. Pan Defoe pisze, że namalował je Rubens i są warte... O mój Boże, chyba źle przeczytałam. Isobel! Isobel, moja droga, zobacz, co tu jest napisane.

Izzy rzuciła okiem na list i również pisnęła.

- Nie mogę w to uwierzyć! Aż tyle za dwa małe obrazki? I co ja teraz zrobię? Bardzo je lubię, ale nie aż tak, żebym za wszelką cenę chciała je zatrzymać, nawet gdyby komuś miała stać się przez to krzywda! - Wyglądała tak, jakby miała się rozpląkać.

- To nic - odrzekła Rosie z ogniem. - Gdyby twój bratanek był przyzwoitym młodym człowiekiem, wówczas oczywiście powiedziałabyś mu o tym. Ale jest odpowiedzialny za śmierć tego biedaka. Twój ojciec chciał, żebyś ty dostała te obrazki. To powinno wystarczyć. Przecież i tak nie masz zamiaru ich sprzedać.

Kiedys znów staną się częścią majątku.

- Gdyby je zabrał, ukradłby tylko swoją własność - powiedziała Tamsyn z namysłem. Usiadła obok Izzy, otoczyła ją ramieniem i uścisnęła. - Próbuję się zastanowić, o co mogłybyśmy go oskarżyć, jeśli nie zdobędziemy żadnych dowodów co do morderstwa. Pewnie o włamanie do domu oraz o to, że nie dotrzymał warunków testamentu twojego ojca.

- Zastanowimy się nad tym, kiedy już wyjdziemy z szoku - odrzekła Rosie. - Zadzwoń po herbatę, moja droga Tamsyn, i przeczytajmy pozostałe listy.

Nawet herbata nie uspokoiła Izzy, która wciąż wydawała podniecone pomruki. W końcu jednak sięgnęła do korespondencji.

- To list od kuzynki Harriet. Pamiętasz ją, Rosie? Córka Sylvii. Bardzo miła dziewczyna i dobrze wyszła za mąż, za lorda Pirton. Ma trzech synów i córkę Julię. Nie miałam od niej wiadomości od lat, a teraz pisze, że przygotowuje się do debiutu i ślubu swojej córki. Mój Boże, dziewczyna wychodzi za lorda DeWington! A ona, to znaczy Harriet, pisze, że bardzo ją to wszystko wyczerpało, a Pirton upiera się pozostać w Londynie przez całe lato, bo ma jakieś sprawy rządowe, i ona już od dawna chciała zaprosić do siebie nas wszystkie, ale nie mogła z powodu Julii... - Izzy zaczerpnęła wreszcie tchu. - I czy miałybyśmy ochotę przyjechać teraz.

- Ale... - odezwała się Tamsyn.

- Tylko że ani Rosie, ani ja nie lubimy miast - ciągnęła Izzy. - Ale ty możesz pojechać, moja droga. W końcu nigdy nie byłaś w Londynie.

- Nie mogę teraz wyjechać, nie przy tym wszystkim, co się dzieje. A poza tym lady Pirton z pewnością wie o Jorym i o moim małżeństwie. Nie jestem dla niej odpowiednim gościem.

- Tak, wie. Wyrażała wtedy wiele współczucia i zrozumienia. Poza tym to nie jest środek sezonu. Mogłabyś pozwiedzać i dotrzymać jej towarzystwa przez jakiś tydzień, wybrać się na zakupy... My będziemy bezpieczne z naszymi strażnikami. A pan Defoe napisał coś o tym handlarzu sztuki, do którego zabrał obrazy. - Rosie zaczęła przeglądać porozrzucane na kolanach ar-

kusze i w końcu jej powykęcane palce znalazły właściwą stronę. – Tu pisze, że ten handlarz zamknął obrazy w swoim sejfie, dopóki nie zdecydujemy, co z nimi zrobić. Sądzę, że najlepiej byłoby porozmawiać z tym panem Mastersonem i wypytać o wszystkie szczegóły. Może potrafiłby nam coś doradzić.

Tamsyn pomyślała, że trzeba spojrzeć na wszystko obiektywnie. Ciotki mają swoich strażników, a doktor Tregarth z pewnością zgodziłby się zaglądać tu codziennie, gdyby go o to poprosiła.

– Dobrze, pojedę – oznajmiła szybko, zanim zdążyła zmienić zdanie. – Pojadę do Londynu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Doskonale - rzekła ciotka Rosie. - Zasłużyłaś na wakacje, moja droga. Londyn z pewnością ci się spodoba.

Czyżby? Tamsyn miała wątpliwości. Przede wszystkim ryzykowała, że spotka tam Crisa.

- Ciociu Izzy, czy możesz od razu odpisać, że bardzo chętnie przyjadę na tydzień? Wyślę wiadomość do Złotego Lwa w Barnstaple i zamówię miejsce w dyliżansie na pojutrze.

- Powiedziałabym, że raczej na miesiąc - stwierdziła ciotka Izzy, siadając przy sekretarzyku. - To tak daleko, że nie warto jechać na tydzień. Podróż zajmie ci co najmniej dwa dni. A poza tym musisz wyjechać jeszcze dzień wcześniej i przenocować w Złotym Lwie. Najlepiej zabierz ze sobą Harris. Nie możesz nocować w gospodzie sama, a my poradzimy sobie z Molly. Jeśli będzie trzeba, ściągnę jeszcze kogoś do pomocy z wioski.

Skoro decyzja już została podjęta, Izzy pochyliła głowę nad sekretarzykiem i skupiła się na pisaniu.

Wynurzyła się z mgiełki snu na jasnobłękitne światło i przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie jest. Usiadła, wsparta o stertę poduszek, rozejrzała się i przypomniała sobie, że to Londyn. Przybyła tu wczorajszego popołudnia. Lady Pirton powitała ją bardzo ciepło.

- Moja droga Tamsyn! Czy mogę się tak do ciebie zwracać? To takie ładne imię. Witaj w Londynie - mówiła, idąc w jej stronę przez bawialnię i szeleszcząc jedwabnymi spódnicami.

Tamsyn szybko zebrała myśli i dygnęła uprzejmie. Nie chciała wyglądać jak wiejski garkotłuk na tle eleganckiej lady Pirton i jej równie eleganckiej bawialni.

- Lady Pirton, bardzo dziękuję za zaproszenie.

- Moja droga, mam na imię Harriet. Przecież jesteśmy prawie kuzynkami. Na co masz ochotę? Kąpiel i łóżko, a może chcesz

najpierw coś zjeść albo przejść się po świeżym powietrzu? Powiedz, co ci najbardziej odpowiada.

- Kąpiel, coś do jedzenia i łóżko, kuzynko Harriet - przyznała Tamsyn szczerze. - Najmocniej przepraszam, ale muszę wyznać, że wszystko wciąż mi podskakuje przed oczami i nie pamiętam, kiedy ostatnio przespałam więcej niż dwie godziny.

- Jesteś bardzo dzielna, skoro zdecydowałaś się na tak długą podróż dylizansem. - Kuzynka Harriet wzdrygnęła się. - Zaprowadzę cię do twojego pokoju i przyślę moją pokojówkę. Twoja na pewno potrzebuje odpoczynku, tak samo jak ty.

Był już późny ranek. Przy łóżku wisiał dzwonek. Tamsyn pociągnęła za sznurek, nie mając pojęcia, kto się pojawi. Miała nadzieję, że nie będzie to Fielding, wyniosła pokojówka kuzynki, która poprzedniego wieczoru pomogła jej wziąć kąpiel, rozpakowała poobijane walizki i uprzejmie powstrzymała się od jakichkolwiek komentarzy na temat jej niemodnych sukien.

Bogu dzięki, pojawiła się Harris, wypoczęta i schludna jak zwykle.

- Jak się dzisiaj czujesz, Harris?

- Znacznie lepiej, panno Tamsyn. Przepraszam, powinnam powiedzieć: pani Tamsyn. - Harris zmarszczyła nos. - Bardzo tu wygodnie, ale muszę powiedzieć, że służba mocno zadziera nosa. Panna Fielding to, panna Harris tamto. Jest jeszcze kamerdyner, nazywa się Pearson i wygląda, jakby ktoś mu wsadził kij od szczotki w... cóż, wie pani, co mam na myśli.

Tamsyn zaśmiała się i od razu poczuła lepiej.

- Wszystko tu robi wrażenie, prawda? Która godzina?

- Ósma, proszę pani. Jej wysokość pytała, czy chce pani zjeść śniadanie w swojej sypialni, czy dołączyć do niej za pół godziny w pokoju śniadaniowym.

- Zejdę na dół. - Tamsyn wysunęła się z łóżka. - Chyba włożę zieloną poranną suknię. Jest lepsza niż ta druga.

Kuzynka Harriet właśnie wchodziła do pokoju śniadaniowego, gdy Pearson, stateczny kamerdyner, wprowadził z drugiej strony Tamsyn. Udało jej się podziękować kamerdynerowi i nie wy-

buchnąć śmiechem, gdy przypomniła sobie jego opis przedstawiony przez Harris.

- Co masz ochotę dzisiaj robić, moja droga? Mogę zaproponować różne rzeczy, ale to ty decydujesz. - Lady Pirton napełniła swój talerz z entuzjazmem, który zdawał się nie iść w parze z jej smukłą figurą, i gestem przywołała Tamsyn do bufetu.

- Mam kilka sprawunków do załatwienia. Chcę zrobić zakupy dla siebie i dla ciotek, ale najpierw musisz mi powiedzieć, kuzynko Harriet, co ja mogę zrobić dla ciebie.

- Możesz dotrzymać mi towarzystwa i pozwolić, żebym wybrała się na zakupy razem z tobą. Brakuje mi mojej drogiej Julii. Twoje towarzystwo pomoże mi się wydobyć z ponurego nastroju. Poczuję się młodsza. Co to za sprawunki?

- Muszę odwiedzić pewnego marszanda w imieniu ciotki Isabel. Mam również ogromnie długą listę rzeczy, których potrzebują obie z ciotką Rosie. Przypuszczam, że będę musiała odwiedzić wszystkie księgarnie w Londynie.

- I sklepy z sukniami dla ciebie? - Lady Pirton posmarowała masłem kolejną grzanekę i sięgnęła po dżem truskawkowy.

- Tak. Obawiam się, że moja garderoba jest beznadziejnie niemodna i prowincjonalna - wyznała Tamsyn. - W Devon nie prowadzimy ożywionego życia towarzyskiego, ale chciałabym mieć coś ładnego na prośzone kolacje. Może również nowy strój jeździecki i ze dwie suknie spacerowe - popatrzyła na swoją zieloną spódnicę. - A także suknię poranną.

- Do tego buty, szale i wszystkie dodatki. Doskonale! - rozpromieniła się lady Pirton. - A ja mam zaproszenie na kilka niewielkich przyjęć, na których z pewnością ci się spodoba. Proponuję zatem najpierw odwiedzić moją krawcową, żeby mogła już zacząć pracę. Potem możemy pójść do twojego marszanda i do księgarni. Tam nie musisz wyglądać elegancko.

To znaczy, że w tej chwili nie powinnam się jeszcze pokazywać w żadnych modnych sklepach przy Bond Street ani przy Hyde Parku, pomyślała Tamsyn i w duchu uśmiechnęła się do siebie.

Wizyta u krawcowej, słynnej pani Bell, była bardzo krępująca.

Tamsyn została rozebrana aż do prostej, funkcjonalnej bielizny, na której widok krawcowa zaczęła sykać z potępieniem. Potem mierzono ją, porównywano do innych kobiet, rozmawiano o niej i obracano jak lalkę.

- Może mogłabym...? Czy naprawdę potrzebuję...? Ale ile...? - Wszystkie te wtręty były ignorowane, aż w końcu Tamsyn zebrała siły, podniosła obie ręce do góry i rzekła stanowczo: - Chwileczkę. Zanim cokolwiek zamówię, muszę wiedzieć, ile będzie kosztowała każda suknia. I z całą pewnością nie potrzebuję sukni balowej. - Nie chodziło o to, by nie mogła sobie pozwolić na nową garderobę, ale jej praktyczna dusza burzyła się na myśl o wydawaniu pieniędzy na rzeczy, których nie potrzebowała.

W końcu udało jej się wyjść od krawcowej z zamówieniem, które zadowalało obie strony jej duszy - praktyczną i tę bardziej kobiecą.

- To całkiem rozsądny początek - przyznała kuzynka Harriet, gdy znów zajęły miejsca w dwuosobowym miejskim powoziku z opuszczonym dachem.

Tamsyn próbowała nie gapić się na wszystko jak wiejska gąska. Bond Street, Albemarle Street, modne place i eleganckie kamienice. Ulice były ruchliwe i gwarne. Zanim dotarły do miłej uliczki w pobliżu Grosvenor Square, kręciło jej się w głowie z podniecenia i musiała wziąć się w garść, żeby nie powiedzieć zbyt wiele kuzynce Harriet, wchodząc do sklepu marszanda.

Na szczęście tamta sądziła chyba, że ciotka zamierza sprzedać obrazy, toteż dyskretnie odeszła na bok i gdy Tamsyn wdała się w rozmowę z marszandem, stanęła przed obrazem Fragonarda.

- Tak, pani Perowne, to bez żadnych wątpliwości Rubens. Zasięgnąłem drugiej opinii u eksperta, który uważa, że to znakomite prace, choć niewielkich rozmiarów. Jeśli ciotka pani życzy sobie wystawić je na sprzedaż, z największą przyjemnością się tym zajmę. - Jego oczy rozbłysły; Tamsyn pomyślała, że zapewne myśli o prowizji.

- Moja ciotka nie jest upoważniona do sprzedaży tych obrazków - rzekła ostrożnie. - Czy mógłby je pan przechować bez-

piecznie jeszcze przez kilka tygodni? Czy pobiera pan za to jakąś opłatę?

- Ponieważ w tej sprawie reprezentuję markiza Avenmore, który jest moim doskonałym klientem, zapewniam panią, że zrobię to bez żadnej dodatkowej opłaty.

Tamsyn nie miała ochoty powiększać swojego długu wdzięczności wobec Crisa, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że tak będzie najbezpieczniej. Teraz jeszcze pozostało się zastanowić, jak sobie poradzić z Franklinem. Okazało się to równie trudne tutaj w Londynie jak w Devon. W duchu wzruszyła ramionami i udała się na kolejne zakupy w towarzystwie kuzynki Harriet. Słuchając, jak kuzynka rozprawia o tym, gdzie najlepiej kupować wstążki, szale i koronki, powtarzała sobie, że najważniejsze to zachować spokój, a rozwiązanie samo się przed nią pojawi.

Ale minęły trzy dni, a przed Tamsyn pojawiła się jedynie ster-ta pudeł z sukniami od pani Bell, fryzjerka lady Pirton, która miała uczesać ją modnie, oraz niepokojąco wysoka kupka zaproszeń.

- Skoro już jesteś modnie uczesana i stylowo ubrana, cóż cię powstrzymuje przed udziałem w życiu towarzyskim? Myślę, że kolacja z tańcami u lady Ancaster jutro wieczorem będzie bardzo odpowiednia. Możemy się spodziewać doskonałego jedzenia i muzyki, a wieczorki u Hermione zawsze są zachwycająco kameralne.

Kameralny wieczorek u Hermione oznaczał około dwustu osób, pięknie ubranych i rozmawiających pełnym głosem. Tamsyn powiedziała sobie, że ona również wygląda dobrze w sukni z jasnozielonego jedwabiu pokrytego zieloną jak morska piana siatką z kremową koronką przy dekolcie, rękawach i spódnicy. Na szyi i w uszach miała pożyczone perły, nową fryzurę zdobiła prosta wstążka. Uśmiechnęła się, wyprostowała i wmieszała w tłum.

Pół godziny później wstążka ześliznęła się z jej włosów.

- Za tym łukiem po lewej - wskazała Harriet. - Pójdiesz korytarzem i znajdziesz garderobę dla pań. Będę na ciebie czekać

w tym samym miejscu.

Tamsyn znalazła łuk, od którego wiodły trzy korytarze. Wybrała ten najbardziej na lewo, skręciła i zderzyła się z silnymi męskimi plecami.

- Najmocniej przepraszam, sir.

Mężczyzna odwrócił się i zaskoczona Tamsyn zawołała:

- Och, lord Edenbridge!

Nad ramieniem Gabriela zobaczyła wysoką blondynkę o pięknych błękitnych oczach. Dziewczyna przyłożyła dłoń do ust, odwróciła się i odbiegła.

- Wracaj! - zawołał Gabriel.

Dziewczyna zatrzymała się i obejrzała. W jej oczach błyszczała desperacja.

- Nie bądź głupia. Nie musisz za niego wychodzić i nie musisz... A niech mnie. Wszystko popsułem.

- Obietnica to obietnica - odrzekła blondynka, unosząc wysoko głowę. Tamsyn zauważyła, że dziewczyna resztką woli powstrzymuje łzy. - Ale skoro mnie nie chcesz... - Wzruszyła ramionami, odwróciła się i odeszła.

O co tu, na Boga, chodzi? - zastanawiała się Tamsyn. Dostrzegła wściekłość na twarzy Gabriela i zaczęła się ostrożnie wycofywać.

- Cóż pani tu robi, do diabła? - zdumiał się Gabriel. - Czy Cris wie, że pani tu jest?

- Oczywiście, że nie. Nie potrzebuję pozwolenia lorda Avenmore, żeby odwiedzić krewną.

- Proszę iść ze mną. - Ujął ją pod ramię i znów poprowadził do sali. Podeszli do jakiejś pary pogrążonej w ożywionej dyskusji.

- Alex, Tess, przestańcie się kłócić.

- Alex mówi, że nie wolno mi obciąć włosów! - Kobieta, którą Gabriel nazwał Tess, utkwiała w nim spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. - A ja chcę wyglądać modnie... - uśmiechnęła się do Tamsyn. - Chcę taką fryzurę jak pani, z lokami przy policzkach i dłuższymi włosami z tyłu. Kto panią uczesał?

Tamsyn sięgnęła do zsuwającej się z włosów wstążki. Mężczyzna nazywany Alekssem uśmiechnął się do niej przepaszająco.

- Moja droga, nie możesz wypytywać obcych ludzi o to, kto ich uczesał.

- Nie bądź taki sztywny.

- Alex, Tereso, pozwólcie, że przedstawię wam panią Perowne - wtrącił Gabriel, na co Teresa uderzyła go wachlarzem w kostki palców. - Pani Perowne, wicehrabia Weybourn i lady Weybourn.

Tamsyn dygnęła. Gabriel jednak ciągnął, nie zwracając na nią uwagi:

- To właśnie osoba, o której wam opowiadałem. Problem Crisa.

- Gabrielu! - westchnęła lady Weybourn z przerażeniem.

- Nie jestem niczym problemem! - zawołała jednocześnie Tamsyn.

- Może porozmawiamy tam. - Wicehrabia z życzliwym uśmiechem ujął ramię Tamsyn, drugą ręką pochwycił łokieć Gabriela i swobodnym krokiem skierował się w stronę jednego z niewielkich pokoi. Lady Weybourn poszła za nimi, mrużąc pod nosem coś o nieznośnie dominujących mężczyznach.

Na szczęście pokój był pusty. Lord Weybourn z nieoczekiwaną stanowczością zamknął za nimi drzwi na klucz.

- O co tu chodzi?

Jego żona wzięła Tamsyn za rękę i pociągnęła na sofę.

- No właśnie, o co tu chodzi? To było bardzo nieuprzejme, nawet jak na ciebie, Gabrielu.

- Pani Perowne jest wdową po przemytniku, który uniknął szubienicy tylko dzięki temu, że rzucił się z urwiska. Wplątała się w konflikt z lordem Chelford i zmanipulowała Crisa, żeby wyraził chęć małżeństwa z nią w sali sądowej pełnej wiejskich półgłówków.

- To nie są półgłówki, a ja nikim nie manipulowałam - odrzekła Tamsyn ze złością.

Lord Weybourn popatrzył na jej zaróżowioną ze złości twarz.

- Muszę powiedzieć, że nie wydaje mi się, by ktokolwiek potrafił manipulować markizem de Feaux czy nakłonić go do zrobienia czegoś wbrew woli. Powinienem pani chyba pogratulować.

- Cris ma się z panią ożenić? - Lady Weybourn nieoczekiwanie pocałowała Tamsyn w policzek. - Przecież obie z Kate mówiłyśmy ci, że jest zakochany - dodała z triumfem.

Kim, na Boga, jest Kate? - zastanawiała się Tamsyn.

- Nie ma zamiaru się żenić, a w każdym razie nie ze mną! To był tylko wybieg, żeby zapewnić mi alibi, bo inaczej oskarżono by mnie o morderstwo.

- Morderstwo? - Lord Weybourn usiadł. - Mówiłeś nam, że Cris związał się z nieodpowiednią kobietą, i muszę powiedzieć, Gabe, że w twoich ustach brzmi to dość nedorzecznie. Ale nic nie wspominałeś, że ta kobieta to uwodzicielka i morderczyni. - Uśmiechnął się do Tamsyn, która uświadomiła sobie, że lord Weybourn nie wierzy ani w jedno, ani w drugie.

- Cris pokazuje całemu światu niewzruszoną twarz. Jest mar-kizem i nikt z nas nie widział, by zrobił coś niestosownego, ale to jeszcze nie znaczy, że nie ma żadnych słabości. A kiedy pada ich ofiarą, należy go chronić, tak jak on chroniłby nas. - Tamsyn po raz pierwszy zobaczyła lorda Edenbridge bez maski cynicznej lekkomyślności i, o dziwo, spodobała jej się jego lojalność.

Podniosła się.

- Skoro jesteście przyjaciółmi Crisa, to możecie go poprosić, żeby wam opowiedział o tym, co zdarzyło się w Devon, wierzcie mi jednak, że ja nie chcę mieć z nim już nic do czynienia. Czy mógłby pan otworzyć te drzwi, milordzie?

Weszła do zatłoczonej sali z wrażeniem, że rzuca się na wzburzone fale oceanu. Wzięła głęboki oddech, przykleiła uśmiech na twarz i znów ruszyła na poszukiwanie garderoby.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Cris opisywał wygląd kłamliwego świadka, patrząc na krzepką sylwetkę funkcjonariusza z Bow Street.

- Chudy, twarz bez żadnych znaków szczególnych, ciemne włosy, przyzwoite ubranie i akcent z Essex.

- Znam go, milordzie. Jakie nazwisko podał tym razem?

- Paul Goode, sekretarz prawnika.

Funkcjonariusz, który nazywał się Jem Clarke, skinął głową z uśmiechem.

- Tym właśnie się zajmował, zanim zszedł na złą drogę. Będę bardzo rad, jeśli uda mi się dostać w ręce Paula Goodinga. To jego prawdziwe nazwisko. Co zrobił tym razem?

- Morderstwo i składanie fałszywych zeznań.

Policjant rozpromienił się.

- Jedno i drugie karane szubienicą. Jak mocne ma pan dowody?

- Wystarczająco mocne, gdy chodzi o fałszywe zeznania. Co do morderstwa, będziemy musieli podstępem wymusić z niego wyznanie, konfrontując go z człowiekiem, który mu za to zapłacił. Niestety, chodzi o wicehrabiego.

- Śliska sprawa. - Kąciki ust funkcjonariusza opadły, ale zaraz znów się rozpogodził. - Ale pan jest markizem.

- Tak. Opowiem panu, o co chodzi.

Kończył już wyjaśnienia, gdy do pokoju zastukał kamerdyner Dyson.

- Wiem, milordzie, że życzył pan sobie, żeby panu nie przeszkadzać, ale lord Edenbridge...

Gabriel natychmiast pojawił się za plecami urażonego kamerdynera.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Przyjmujesz gości, de Feaux, czy prowadzisz dochodzenie? - Jego inteligentne spojrze-

nie prześliznęło się po funkcjonariuszu w niebieskiej kurtce i czerwonej kamizelce.

Cris miał wielką ochotę wyrzucić Gabe'a, ale wiedział, że równie dobrze mógłby próbować wyrwać kość głodnemu psu, wskazał mu zatem miejsce i przedstawił.

- Uznałem, że najlepiej będzie znaleźć gdzieś Chelforda, dać mu do zrozumienia, że mamy dowody, choć tak naprawdę są to tylko podejrzenia, i skonfrontować go z Goode'em. Przy odrobinie szczęścia obydwaj powiedzą nieco za dużo.

- Zgadzam się. Gdzie znajdziemy ich obydwu?

- Mam nadzieję, że pan Clarke znajdzie Goode'a, Goodinga, czy jak on się tam nazywa, w tym tygodniu, a wtedy ja zaproszę Chelforda na prywatną kolację.

- Nie mogę popierać porwania, milordzie - rzekł funkcjonariusz, jednak nie wydawał się zanadto przejęty.

- Niech Bóg broni! - rzekł Cris obłudnie i usłyszał za plecami prychnięcie Gabriela. - Drzwi w tym domu mają zamki, które czasem się zacinają, ale to tylko drobna niedogodność. Na przykład pan z pewnością mógłby je otworzyć bez trudu.

Funkcjonariusz podniósł się.

- Zajmę się wyśledzeniem Goodinga, milordzie. Wiem, jak go znaleźć, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Proszę mi dać znać, gdyby potrzebował pan rozsupłać jakieś języki - rzekł Cris.

- No dobrze... - Westchnął, gdy zostali sami. - Zastanówmy się, co zrobić z Chelfordem.

- Później. - Gabriel podszedł do karafek i nalał brandy do dwóch szklaneczek. - Twoja pani Perowne jest w mieście.

- Ona nie jest moja... Coś ty powiedział?

- Wpadłem na nią wczoraj wieczorem na wieczorku u Hermione Ancaster. Ubrana jak spod igły, z modną fryzurą, która bardzo spodobała się Tess. Na mój widok w jej oczach błyskają sztylety.

- Dlaczegoż to? - zdziwił się Cris, próbując dojść do ładu z tym, co usłyszał. Tamsyn jest w zasięgu Chelforda. Popatrzył na trzymaną w ręku szklaneczkę i odkrył, że jest pusta.

- Bo znów ją ostrzegłem, żeby nie stawała ci na drodze. - Ga-

briel rozsądnie usiadł w bezpiecznej odległości od przyjaciela.

Cris odstawił szklanę.

- Po co to zrobiłeś? Zachowujesz się jak histeryczna matka panny na wydaniu, której niewinna córka zmierza prosto w ramiona jakiegoś łajdaka podobnego do ciebie. Może nie zauważyłeś, ale jestem mężczyzną, mam trzydzieści lat i daleko mi do niewinności.

- Ale jesteś człowiekiem honoru, a ona jest całkiem atrakcyjną damą w kłopotach i bez żadnego powodu pojawiła się niemal na twoim progu. Jeśli nie będziesz ostrożny, to wpadniesz w jej sidła. A jeśli mnie pamięć nie myli, zaledwie kilka miesięcy temu zapowiadałeś, że w tym sezonie zamierzasz poszukać sobie żony. - Gabriel napotkał lodowate spojrzenie Crisa i uśmiechnął się niewinnie. - A ja jestem twoim przyjacielem, więc muszę dbać o twoje interesy.

- Co ona tu robi?

Gabriel wzruszył ramionami.

- Wspominała coś o odwiedzinach u krewnej, ale nie mówiła, kto to taki ani gdzie się zatrzymała. Miejmy tylko nadzieję, że nie przyjechała szukać męża.

Cris miał ochotę znów przyłożyć przyjacielowi pięścią w twarz, ale powstrzymał się.

- Wychodzę. Poczęstuj się - ironicznym gestem wskazał na karafki.

Złożył wizytę Mastersonowi przy Albemarle Street i w godzinę później zastukał kołatką do drzwi eleganckiego domu przy Grosvenor Street.

- Lord Avenmore chciałby się zobaczyć z panią Perowne - powiedział do kamerdynera, który otworzył mu drzwi.

- Nie jestem pewien, czy pani Perowne jest w domu, milordzie.

Cris wszedł do środka. Kamerdyner cofnął się.

- Nie? Może zechciałbyś sprawdzić. Jeśli jej nie ma, to zaczekam.

Służący wyglądał, jakby miał ochotę protestować. Cris rzucił wizytówkę na srebrną tacę na stoliku, uniósł brwi i czekał.

- Może wasza lordowska mość zechce usiąść - wykrztusił w końcu służący. - Pójdę zapytać.

Cris rozsiadł się w saloniku i przygotował na dłuższe oczekiwanie, ale ledwie zdążył założyć nogę na nogę, drzwi otworzyły się z rozmachem.

- Co pan tu robi?

Podniósł się nieśpiesznie, podziwiając modnie ubraną kobietę, która zatrzymała się tuż przed nim.

- Mógłbym cię zapytać o to samo.

- Przyjechałam do krewnej ciotki Isobel, żeby zrobić zakupy i porozmawiać z marszandem. Po co pan tu przyszedł?

- Gabriel powiedział mi, że jesteś w Londynie. Martwiłem się o ciebie.

- Martwił się pan, że będę się za panem uganiać?

- Nie, martwiłem się o twoje bezpieczeństwo. Doskonale wyglądasz.

Stanąła przed kominkiem. Cris podziwiał jej blad różową spódnicę i zaczesane do góry włosy. Ta fryzura odsłaniała kusząco miękką skórę szyi.

- Dziękuję. Widzi pan, kiedy mi na tym zależy, potrafię wyglądać odpowiednio.

- Chciałem właśnie powiedzieć, że wolałem cię taką, jaką cię zapamiętałem.

- Dlaczego?

Nie miała pojęcia, jakim sposobem znalazła się w jego ramionach.

- Pamiętam cię nagą w morzu w moich ramionach. Pamiętam, jak stałaś na urwisku i wiatr rozwiewał ci włosy. Pamiętam twoje długie, mocne nogi w stroju jeździeckim.

- Och! - westchnęła. Wysunęła się z jego ramion i stanęła po drugiej stronie pokoju, za niskim fotelem. - Czy musisz mi o tym przypominać?

- Mnie nie trzeba tego przypominać i sądzę, że tobie też nie.

- Ależ z ciebie arogant!

- Dlaczego pochwała twojej namiętności i urody ma być arogancją? - Cris został tam, gdzie był, nie chcąc jej prowokować do ucieczki z pokoju albo do wezwania przyzwoitki.

- Przestań, bo się rumienię.

- To dobrze.

Odwróciła głowę i dostrzegł rumieniec zalewający jej policzki.

- Twoi przyjaciele bardzo jasno dali mi do zrozumienia, że nie powinnam się z tobą zadawać.

- Nie wątpię, że Gabriel to zrobił, ale nie byłbym tego taki pewny, jeśli chodzi o Tess i Aleksa. Przecież nikt mnie nie wyrzuci z dworu tylko przez to, że poznałem ciebie.

- Nie? - W jej głosie zabrzmiał smutek, ale nadal stała sztywno wyprostowana, nie patrząc na niego.

- Tęskniłem za tobą. A ty? - Podszedł bliżej.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała, wciąż patrząc w inną stronę. - Ale to minie.

Miała rację. Powinien sobie pójść. To uczucie, czymkolwiek było, w końcu przeminie, a nie mógł ubiegać się o inną kobietę, dopóki wciąż myślał o Tamsyn Perowne.

- Wolałbym, żeby tak się nie stało, Tamsyn. - Dotknął jej ramienia, otoczył palcami gładkie ciepłe ciało i dostrzegł jej drgnienie.

Odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję. Pochylił głowę, dotknął jej ust i obydwójce zapomnieli o całym świecie. Uczucie, jakie go ogarniało, gdy trzymał ją w ramionach, było znajome, a jednak zupełnie nowe i niepokojące.

Tamsyn pierwsza odsunęła twarz i oparła głowę na jego pierś.

- Oszałamiasz mnie. Nie chciałam tego.

- Ale ja chciałem - przyznał z ustami w jej włosach.

- Nie zostanę twoją kochanką - oznajmiła z żarem. Żałował, że nie może w tej chwili dostrzec jej twarzy.

- Nie prosiłbym cię o to. - Nie mógłby uczynić z niej swojej utrzymanki, zależnej od niego i jego kaprysów. Tamsyn była wolna, niepowstrzymana i samodzielna.

- Nie próbuję negocjować. - Odsunęła się od niego, wyraźnie zła na siebie. - Nie powinnam tu przyjeżdżać.

- Dlaczego to zrobiłaś? Tylko nie mów, że przyjechałaś na zakupy.

- Chciałam znaleźć jakieś rozwiązanie sytuacji z Franklinem.

- To niebezpieczne. Ja się tym zajmę.
- To nie jest twój problem, Cris.
- Owszem, to jest mój problem. - Dotknął jej policzka, a gdy potrząsnęła głową, dodał: - Opowiem ci, co zrobiłem.

- Lord Edenbridge... - odezwała się Tamsyn, gdy Cris zakończył na spotkaniu z funkcjonariuszem z Bow Street i swojej rozmowie z Gabrielem.

- Nie zwracaj uwagi na niego. Jeśli nie przestanie się tak nieodrzecznie zachowywać, oberwie. Obraża ciebie, a mnie niezmiernie irytuje. Nie musisz się z nim zadawać. Niedługo weźmie się w garść i będzie można z nim porozmawiać.

- Sądzę, że chodzi o jakąś kobietę. Nie wiem, jak się nazywa, ale z pewnością wytrąca go z równowagi. Widziałam ich podczas przyjęcia u lady Ancaster. Nie wiem, co się między nimi dzieje, ale on chyba nie potrafi sobie z nią poradzić.

- Doskonale! To chyba pierwszy przypadek, kiedy Gabriel nie potrafi sobie poradzić z kobietą. Może dzięki temu przestanie mnie niańczyć.

- Mogę pomóc w rozgrywce z moim kuzynem - powiedziała Tamsyn.

- Nie. Lepiej nie. - Krew w żyłach Crisa zastygła na myśl o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Tamsyn, wiedziona świętym oburzeniem, spróbowała zaatakować Chelforda. - Wystarczy, że chodzisz po Londynie bez ochrony. Przecież w każdej chwili możesz się na niego natknąć.

Tamsyn parsknęła.

- Przecież mnie nie uwięzi! Nie dam się również zastraszyć ani nie stanę się pionkiem w jego okrutnej grze. - Przymrużyła oczy, zacisnęła usta i uniosła wyżej głowę. Królowa wojownicza, pomyślał Cris. Nie sposób było traktować jej jak ofiary.

- Najpierw musimy dostać w ręce Goodinga. Dopóki tak się nie stanie, dysponujemy jedynie spekulacjami. A nawet wtedy będziemy mieli tylko jego słowo przeciwko słowu Chelforda, chyba że uda nam się jakimś podstępem nakłonić go do wyznania winy w obecności świadków, najlepiej funkcjonariusza.

- Z pewnością wytrąci go z równowagi to, że jestem w Londy-

nie? – Tamsyn obróciła się do Crisa i z podnieceniem pochwyciła go za rękę. Zaciśnął palce. – Będzie się zastanawiał, co ja tu robię, i może to go sprowokuje do pochopnego działania.

– Jeśli spróbuje jakiegoś pochopnego działania wobec ciebie, to złamię mu kark – powiedział Cris poważnie. – Ale to może być dobra taktyka. Gdybyście obydwójce znaleźli się na tym samym przyjęciu, gdzieś, gdzie moglibyśmy kontrolować sytuację i zapewnić ci bezpieczeństwo... Może uda mi się namówić Tess i Aleksa, żeby wydali przyjęcie... Chelford chyba nie wie, że się przyjaźnimy.

– Dziękuję. – Spojrzała na ich połączone ręce, ale nie próbowała się uwolnić. – I dziękuję, że pozwalasz mi brać w tym udział. Wiem, że wolałbyś zamknąć gdzieś kobiety i dzieci i obsadzić barykady wyłącznie mężczyznami.

– Chciałbym zamknąć tylko ciebie. – Podniósł jej dłonie do ust. – Ale równie dobrze mógłbym próbować zamknąć w klatce dzikiego jastrzębia.

Tamsyn uniosła do niego twarz. Pochwycił ją za ramiona i posadził sobie na kolanach, zupełnie zapominając o rozsądku i ostrożności.

– Tamsyn!

Wyrwała się z jego objęć i uciekła na swoje krzesło. Cris ujrzał około czterdziestoletnią matronę, która patrzyła na nich z mieszkanką przerażenia i rozbawienia.

– Lord Avenmore?

– Lady Pirton. – Jak, na Boga, dorosły mężczyzna mógł zachować godność, gdy opiekunka damy zastała ich w miłosnym uścisku? – Mogę to wyjaśnić...

– Absolutnie nie ma takiej potrzeby. Pani Perowne naturalnie może liczyć na moją ochronę, jeśli uważa, że to niezbędne, ale wydawało mi się, że była chętną uczestniczką waszej rozmowy, toteż wrócę teraz do zielonego salonu i zadzwonię po herbatę. Obydwójce możecie za chwilę do mnie dołączyć.

Gdy drzwi zamknęły się za lady Pirton, Tamsyn wybuchnęła chichotem, a Cris zaniemówił. Spojrzał w lustro nad kominem, dostrzegł własną zeszywniałą ze zdumienia twarz i on również wybuchnął śmiechem. Usiadł na podłodze obok krzesła

Tamsyn i sięgnął po chusteczkę.

- Czy sądzisz, że ona odeśle cię do domu? - wykrztusił, gdy w końcu udało mu się odezwać.

- Na pewno nie. A jeśli poprosi, żebym wyjechała, to poszukam sobie jakiejś towarzyszkii i zamieszkać w przyzwoitym hotelu. - Tamsyn podniosła się, otarła oczy i wyciągnęła do niego rękę. - Wstań z tej podłogi. Markizowi nie wypada tak siedzieć. Szacowny earl Edenbridge z pewnością by ci o tym przypomniał.

W dziesięć minut później siedziała w salonie i piła herbatę, myśląc o tym, że przez chwilę widziała zupełnie innego człowieka. Nigdy by nie uwierzyła, że ten opanowany mężczyzna, który teraz sięgał po kanapkę z ogórkiem i zachowywał się nienaganie, mógł wybuchnąć tak niepowstrzymaną wesołością.

- Nie wiedziałam, że zna pan panią Perowne, lordzie Avenmore. - Kuzynka Harriet spokojnie nalewała herbatę, Tamsyn jednak dostrzegała pod nieruchomą twarzą myśli przebiegające przez jej głowę.

- Poznaliśmy się w Devon. Pani Perowne wyratowała mnie, gdy omal nie utonąłem. Byłem zdziwiony, ale również zachwycony, gdy się dowiedziałem, że przyjechała do Londynu.

- A zatem nie spodziewaliście się spotkania? - Harriet nie potrafiła powstrzymać ciekawości. Jej spojrzenie nieustannie przebiegało od jednej twarzy do drugiej.

- Nie. - Tamsyn uśmiechnęła się. - Obydwoje byliśmy zaskoczeni.

- Rozumiem. - Harriet zarumieniła się i głośno odstawiła imbryk. - Czy wyjeżdża pan z Londynu na lato, lordzie Avenmore? Może do posiadłości na wsi albo nad morze?

- Później z pewnością wyjadę. Na razie mam kilka spraw do załatwienia.

Tamsyn poczuła jego spojrzenie i zerknęła na niego z ukosa. Przez jego usta przebiegł cień uśmiechu. Pomyślała, że ponowne rozstanie z nim będzie torturą.

Przed wyjściem Cris zatrzymał się w holu i położył rękę na jej ramieniu.

- Będę cię informował o postępach w naszej sprawie. Ale nie wychodź nigdzie sama ani w towarzystwie jedynie pokojówki. Bierz ze sobą krzepkiego lokaja.

Tamsyn wołała go nie uświadamiać, że kuzynka Harriet zatrudnia lokajów ze względu na urodę, a nie na siłę.

- Będę ostrożna. Chciałabym tylko wiedzieć, co mam zrobić z tymi obrazami.

- Coś wymyślimy. - Cris wziął ją za rękę, uniósł do ust i przytrzymał nieco dłużej, niż wypadało. - Nie martw się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tamsyn przebrnęła przez kilka następnych dni wyłącznie siłą woli. Chodziła na zakupy i oglądała Londyn. Przypięła do kapełusza zalotną woalkę, która mocno zaintrygowała kuzynkę Harriet. Harriet żartowała, że Tamsyn próbuje wprowadzić nową modę, ale Tamsyn miała nadzieję, że Franklin nie pozna jej w modnym stroju, woalce i o setki mil od miejsca, gdzie powinna się znajdować.

Odwiedziła ją lady Weybourn. Na szczęście kuzynki Harriet akurat nie było w domu, a lady Weybourn okazała się uroczo bezpośrednio.

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Nie zwracaj uwagi na Gabriela. Zawróciła mu w głowie jakaś kobieta i przez to ma podły nastrój... a poza tym martwi się o Crisa.

- Ale dlaczego? Przecież nie próbuję go usidlić. Poza tym lord Avenmore jest dorosłym, doświadczonym mężczyzną i potrafi o siebie zadbać.

- Bardzo się zmienił od czasu pobytu w Devon. - Tess potrząsnęła głową. - Nie, to się stało już wcześniej. Gdy byliśmy w Northumberland z wizytą u Kate i Granta - to znaczy lorda i lady Allundale, Kate uznała, że jest zakochany. Na pozór wydawał się taki jak zawsze, ale w oczach miał ponury wyraz. Zastanawiałam się, czy ta kobieta zmarła, a teraz sądzę, że to on musiał ją opuścić.

- Ja też tak uważam - powiedziała Tamsyn i spotkała się z pytającym spojrzeniem. - Zbliżyliśmy się do siebie. - Tess uśmiechnęła się, a Tamsyn wzruszyła ramionami. - Och, no dobrze. Zostaliśmy kochankami. Ale on mnie nie kocha. Wiedziałam o tym od początku i nigdy nie oczekiwałam małżeństwa. Gabriel Stone nie musi mi mówić, że nie nadaję się na żonę markiza. Jemu potrzebny jest ktoś dobrze urodzony, z ustosunkowanej rodziny, jakaś młoda kobieta, która da mu dzieci.

- Przecież nie jesteś wiejską dziewczką - obruszyła się Tess. - Może mieszkasz na prowincji i byłaś żoną przemytnika, ale masz bardzo dobre koligacje. Przypuszczam, że pochodzisz z ziemiaństwa. Nic w tym złego. Ja jestem nieślubnym dzieckiem, a wyszłam za wicehrabiego, który pewnego dnia zostanie earlem. - Usadowiła się wygodnie w kącie sofy i Tamsyn zauważyła, że na chwilę ochronnym gestem oparła dłoń na brzuchu.

- Czy wicehrabia wie, że w przyszłym roku zostanie ojcem?

- Och... jak to odgadłaś? - Tess zauważyła swoją rękę opartą na brzuchu i roześmiała się. - Nie, jeszcze nie wie. Chciałam się upewnić. Powiem mu dziś wieczorem.

Tamsyn miała nadzieję, że jej uśmiech wyraża tylko radość, ale Tess była przenikliwą obserwatorką.

- Tamsyn, czy masz dziecko ze swojego małżeństwa?

- Nie. Nie, nie miałam tego szczęścia. Moje małżeństwo z Jorym nie trwało długo. Zginął po dziewięciu miesiącach.

- Słyszałam, co się stało. Gabriel mi opowiedział. Byłaś przy tym?

Tamsyn skinęła głową.

- To musiało być okropne.

- Wszystko stało się bardzo szybko. To było lepsze niż więzienie, proces i szubienica, ale dla mnie to był wielki wstrząs.

Starła się mówić obojętnym tonem, ale jej towarzyszka miała dobrą intuicję.

- To nie był tylko wstrząs, prawda? Czy byłaś wtedy w ciąży?

- Tak...

Zapadło milczenie, po czym Tess zmieniła temat i zaczęła mówić o przyjęciu, które zamierzała wydać na prośbę Crisa. Rozmawiały o dekoracji sali, o menu na kolację i czy kwartet smyczkowy będzie lepszy od multanek. Gdy Tess wyszła, Tamsyn odkryła, że nie czuje już ochoty, by uciec do swojego pokoju i wybuchnąć płaczem.

No widzisz, powiedziała sobie. Dasz sobie radę. Od rozstania z nim serce ci nie pęknie.

Minęło kolejnych pięć dni. Tamsyn pisała długie listy do domu, wydała mnóstwo pieniędzy na suknie i pomagała Tess

w przygotowaniu przyjęcia. Choć był lipiec, wiele osób z towarzysztwa nie wyjechało jeszcze z Londynu i przyjęło zaproszenie, w tym również lord Chelford.

- Dopilnowałem, żeby usłyszał, że będzie sporo stolików karcianych i gra o duże stawki - powiedział Alex, przysiadając na poręczy fotela żony i opierając dłoń na jej ramieniu.

Znajdowali się w miejskim domu Weybourne'ów. Czekali na przybycie Crisa i Gabriela, by, jak to określił Alex, rozpocząć naradę wojenną.

- Najwyższa pora - oświadczył, gdy kamerdyner wreszcie zapowiedział przybycie dwóch dżentelmenów. - Zostały nam tylko cztery dni.

- Funkcjonariusz Jem Clarke zamknął Goode'a w areszcie przy Bow Street - powiedział Cris, opadając na krzesło obok Tamsyn. Spojrzał na nią szybko i uśmiechnął się. - Śpiewa jak kanarek, bo powiedziano mu, że jeśli chciał tylko zranić Ritchiego i przyzna się do wszystkiego, to uniknie śmierci i czeka go tylko deportacja. To znaczy, że nie uda nam się oskarżyć Chelforda o planowanie morderstwa.

- Jeśli to jedyny sposób, by go postawić przed sądem... - Tamsyn urwała i wzdrygnęła się. - Nie chcę zaprowadzić nikogo na szubienicę. Ale jedno mnie martwi.

- Tylko jedno? - Cris wziął ją za rękę, ignorując zaciekawione spojrzenia pozostałej trójki.

- Ciotka Izzy będzie załamana skandalem. Franklin to w końcu jej bratanek. Jeśli dojdzie do procesu, nie wiem, jak ona to przeżyje.

- Musimy zatem zrobić to tak, żeby Franklin znalazł nagły powód do opuszczenia kraju i nigdy już tu nie wrócił - rzekł Gabriel sucho.

- Trudno to nazwać sprawiedliwością - skomentował Alex. - A co z rodziną Ritchiego?

- Sprawdziłem - rzekł Cris. - Na szczęście nie był żonaty. Jego rodzice nie żyją i nie udało mi się odnaleźć żadnych krewnych. Wydaje się, że był samotnikiem.

- Kto dziedziczy po Chelfordzie? - zapytała Tess.

- Jego młodszy brat Michael. O ile pamiętam, to miły chłopak

- rzekła Tamsyn. - Nie widziałam go od lat, ale ciotka Izzy mówiła, że jest prawnikiem i mieszka gdzieś w Somerset z żoną i dziećmi.

- Chelford mógłby na przykład odkryć, że ma słabe płuca i musi zamieszkać we Włoszech, na południu Francji, w Grecji czy w jakimś innym ciepłym miejscu - podsunęła Tess. - Ja tylko głośno myślę, ale gdyby przekazał posiadłość i tytuł bratu w zamian za rentę...

- Skromną rentę - wtrącił Alex.

- Tak. Choć cały świat nie musiałby się o tym dowiedzieć. Wtedy brat mógłby przejąć wszystko, a Chelford musiałby spędzić resztę swoich dni na wygnaniu.

- Z pewnością moglibyśmy tego dopilnować. - Na widok uśmiechu Crisa Tamsyn poczuła dreszcz. - A rodzinie zostałyby oszczędzony skandal.

- A co z długami? Muszą być poważne, skoro zamierzał sprzedać dwa obrazy Rubensa, żeby je pokryć.

- No tak, długi należy spłacić. - Cris z namysłem zmarszczył nos. - Mogę je pokryć, a potem porozmawiać z jego bratem o zaciągnięciu długoterminowej pożyczki na hipotekę posiadłości. Jest prawnikiem, razem coś wymyślimy.

- Pozostaje tylko przypilnować, żeby Goode nie wymienił nazwiska Chelforda w sądzie - dodał Gabriel. - I mieć nadzieję, że jego brat będzie patrzył na to w taki sposób jak my. Ma rodzinę, więc skoro pojawia się okazja zdobycia posiadłości i tytułu, powinien się zgodzić.

- Knujemy, żeby pomóc przestępcy umknąć przed sprawiedliwością - rzekła Tamsyn z niepokojem. - Tylko przez to, że rodzina nie chciałyby skandalu. Czy naprawdę postępujemy słusznie?

- Zastanawiamy się, jak ominąć prawo - przytaknął Cris, wciąż trzymając ją za rękę. - Ale sądzę, że sprawiedliwości stanie się zadość. Nie mamy pewności, czy Chelford zostałby skazany w sądzie. Mamy jedynie słowo recydywisty przeciwko słowu lorda.

- Ale musimy go przekonać, że jeśli sprawa trafi do sądu, to zostanie skazany - stwierdził Gabriel. - Wówczas z wielkimi

oporami zaproponujemy mu drogę wyjścia. Powinien uchwycić się tej szansy obiema rękami.

- To dobry plan - zgodził się Cris. - I to właśnie zrobimy podczas przyjęcia.

- Ale Tess nie będzie brała w niczym udziału - zastrzegł Alex.

- Alex, ja przecież nie jestem chora... - Jego żona westchnęła.
- To zupełnie zwykły stan.

Gabriel uśmiechnął się szeroko.

- Macie dla nas nowinę?

Tess z rumieńcem skinęła głową. Gabriel uścisnął dłoń Aleksa, a Cris pochylił się nad Tess i pocałował ją w policzek.

- Czy mogę mieć nadzieję, że zostanę ojcem chrzestnym?

- Oczywiście! - Tess roześmiała się.

Gabriel usiadł na miejscu Crisa i pochylił się do Tamsyn.

- Cris topnieje jak masło, gdy chodzi o dzieci. Nikt by się chyba tego nie spodziewał, prawda? Będzie doskonałym ojcem.

- Tak... - Tamsyn poczuła rosnącą pustkę w piersi. - Z pewnością tak.

Cris wrócił na miejsce i Tamsyn wzięła się w garść.

- Wiem, co zrobimy z obrazami, jeśli nie uda się wypędzić Franklina z kraju. Gdy spotkamy się na przyjęciu, z pewnością zapyta, po co przyjechałam do Londynu. Powiem mu. Będzie ogłuszony, a wtedy wy będziecie mogli schwytać go w pułapkę.

- Powiedz nam teraz, żebyśmy mogli przygotować pętlę - poprosił Cris.

Tess przygotowała wspaniałe przyjęcie. Na galerii grała orkiestra, cały dom udekorowany był kwiatami, jeden pokój przeznaczono na stoliki do kart i wszędzie porozstawiane były sofy zapraszające do intymnych rozmów.

Służba uwijała się jak w ukropie. Tamsyn przyszła nieco wcześniej. Cris już na nią czekał.

- Wyglądasz jak syrena - powiedział na widok jej seledynowej sukni pokrytej białą pianistą siecią i obrzeżonej drobnymi perełkami i muszelkami z macicy perłowej. Pociągnął ją do alkowy osłoniętej paprociami i orchideami. Tamsyn poczuła, że brakuje jej tchu.

- Taki właśnie był pomysł - wyznała. - Po prostu nie mogłam się oprzeć, kiedy zobaczyłam ten materiał i dodatki.

Cris prowokująco powiódł palcem po linii dekoltu.

- Nie mąć mi w głowie - szepnęła. - Muszę dzisiaj zachować przytomność umysłu.

- W takim razie chodź, pokażę ci, co przygotowaliśmy. - Poprowadził ją w miejsce, gdzie ustawiono kilka krzeseł. - Tu są drzwi do pokoju karcianego. Chelford z całą pewnością zaraz po przybyciu skieruje się w tę stronę. Zawsze tak robi. Ty będziesz siedziała tutaj i rozmawiała z Gabrielem. Dokoła niego zawsze stoi kilka osób. Gabriel działa jak magnes na pewnego rodzaju młode damy i młodych łobuzów, którzy chcieliby być tacy jak on.

- Jest bardzo atrakcyjny - przyznała Tamsyn.

- Wiem - rzekł Cris ponuro. - To powinno być zabronione prawem. W każdym razie tak uważają niektóre matki.

- Ty też jesteś bardzo atrakcyjny... - Uśmiechnęła się.

- Ja jestem niezmiernie szacowny, nudny, nie mam długów i do tego przeważnie jestem trzeźwy. Ambitnym matkom to w zupełności wystarcza. Poza tym mógłbym wyglądać jak koń.

Pewnie musi odganiać kijem chętne debutantki, pomyślała Tamsyn i znów wpadła w ponury nastrój.

- Jak mówiłem, ty będziesz siedziała tutaj, zwrócona twarzą w kierunku, z którego nadejdzie Chelford. Nawet jeśli on cię nie pozna i nie zareaguje, to ty go zauważysz. Zawołaj go, nie dając w żaden sposób do zrozumienia, że masz wobec niego jakiegokolwiek podejrzenia. Rzuć bombę dotyczącą obrazów i wówczas zdarzy się jedna z dwóch rzeczy. Jeśli zaczniesz awanturować, to Gabriel i ja wyciągniemy go z pokoju i z pewnością powstanie przy tym zamieszanie. Ale lepiej byłoby, gdyby to, co powiesz, zdumiało go i oszołomiło. Wtedy wyprowadzimy go po cichu z pokoju karcianego.

- Czy ten funkcjonariusz z Bow Street i Goode będą tutaj?

- Tak, razem z sir Peterem Hughesem, urzędnikiem z magistratu. Będą za parawanem. Jeszcze jeden funkcjonariusz będzie stał na straży.

Tamsyn skinęła głową.

- Jesteś zdenerwowana? - Dokoła nich krzątała się służba, a z holu dochodziły dźwięki świadczące o tym, że pierwsi goście już się pojawili. Tamsyn dostrzegła na twarzy Crisa troskę i uniosła wyżej głowę.

- Absolutnie nie. Po prostu jestem podniecona i gotowa do działania. - Na widok jego uniesionych brwi musiała się roześmiać. - No dobrze, przyznaję, że w środku cała się trzęsę jak galareta.

- Nikt by tego nie odgadł, patrząc na ciebie. Jesteś odważna, pani Perowne. Twój Jory byłby z ciebie dumny. - Pocałował ją szybko i odszedł w stronę pokoju karcianego. W progu zatrzymał się jednak i dodał: - Przysięgam, że nie pozwolę, by stało ci się coś złego.

Gdy zniknął, Tamsyn usiadła, powtarzając sobie, że powinna się rozluźnić, ale przez cały czas nerwowo skubała palcami skraj rękawiczki. To była nowa para, z szaroperłowej skórki miękkiej jak aksamit. Nad łokciem przytrzymywały je wstążki. Kuzynka Harriet zapewniała, że luźny krój jest teraz w modzie, Tamsyn jednak nie przywykła do wieczorowych rękawiczek i miała wrażenie, że lada chwila zsuną jej się z dłoni. Nerwowo poprawiała wstążki, aż rozluźniły się jeszcze bardziej. Tak minęło frustrujące pięć minut. Potem podszedł do niej Gabriel, prowadząc za sobą dwóch młodzieńców.

- Pani Perowne.

- Lord Edenbridge. Zamierza pan pograć w karty?

Młodzieńcy, których jej nie przedstawił, wyglądali na zachwyconych tym pomysłem.

- Może później, na razie nie widzę żadnych poważnych graczy. - Młodzieńcy wyraźnie przywidli. - Czy mogę? - Wskazał na krzesło i gdy Tamsyn uśmiechnęła się zapraszająco, usiadł. Strój miał pięknie skrojony, ale nosił go z beztroską. Rogi kołnierzyka nieco się przygięły, krawat zawiązany był luźno, szpilka wpięta krzywo, a z kieszonki w połach zakietu wyłaniała się szkarłatna jedwabna poszetka. Obok dwóch wykrochmalonych i odprasowanych młodzieńców wyglądał niebezpiecznie, ale również zadziwiająco atrakcyjnie. Nic dziwnego, że niespokojne matki starały się utrzymać córki z dala od niego, a mądrzy ojco-

wie zabraniali synom towarzyszyć mu w wyprawach do przybytków hazardu i miejsc o jeszcze gorszej reputacji.

Uśmiechnęła się do dwóch chłopców i Gabriel natychmiast powiedział:

- Pani Perowne, chciałbym pani przedstawić lorda Brendon i pana Elliotta. Panowie, to jest pani Perowne. Przyjechała z Devon.

Tamsyn uścisnęła ich dłonie i poprosiła, by usiedli. Zaczęli rozmawiać o urokach Devon i polowaniach na jelenie, a zgodnie z przewidywaniami Crisa już po chwili pojawiły się obok nich trzy rozchichotane młode dziewczęta.

- Och, lord Brendon! Dobry wieczór.

Najśmielsza z nich, ładna, pulchna blondynka, uśmiechnęła się do młodzieńca i jakimś sposobem udało się jej jednocześnie zatrzepotać rękami w stronę Gabriela. Tamsyn skryła uśmiech. Zaprosiła dziewczęta do towarzystwa i włączyła się w rozmowę, przez cały czas ukradkiem obserwując wejście.

- Tak, w rzeczy samej, panno Wilberforce. To bardzo nietypowy kolor sukni.

- Dziękuję, lordzie Brendon. Posiedzę tu chyba jeszcze chwilę. Nie, może później. Odrobinę ratafii.

Tłum przesunął się i zobaczyła go. Szedł prosto w jej stronę. Wydawał się zmieniony i to nie na lepsze. Jasne włosy były starannie uczesane, wydawały się jednak przylizane i bez połysku. Przytył, a ponieważ był zaledwie średniego wzrostu, nie wyglądał dobrze. Pod oczami miał ciemne kręgi. Jego spojrzenie niespokojnie biegało po sali, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku. Przebiegło również po jej twarzy. Najwyraźniej jej nie poznał, toteż zatrzepotała wachlarzem w geście powitania.

Zatrzymał się, spojrzał uważniej i cofnął się o krok. Po chwili wziął się w garść i skłonił niezgrabnie.

- Tamsyn. Pani Perowne! Cóż za niespodzianka.

Gabriel, siedzący obok niej, nie poruszył się, ale wyczuła jego napięcie.

- Cóż to za oficjalne powitanie, kuzynie Franklinie! A może powinnam zwracać się do ciebie: lordzie Chelford? Kiedy spotkaliśmy się ostatnio, nazywałeś mnie kuzynką Tamsyn. Ale

z pewnością powiesz mi, że mam wiejskie maniery. – A zatem to był człowiek, który krył się za wypadkami na farmie, ten, który próbował rzucić na nią morderstwo. Teraz, gdy widziała, jak omija ją wzrokiem i z jak wielkim trudem zdobywa się na uśmiech, nie miała już żadnych wątpliwości.

– Nic z tych rzeczy. Nic z tych rzeczy. Ale muszę wyznać, że jestem zdziwiony, widząc cię tutaj.

– Przyjechałam na zakupy, a także po to, żeby załatwić kilka sprawunków dla moich ciotek. Wkrótce muszę się wybrać do Dulwich.

– Dulwich?

– To galeria obrazów. Z pewnością o niej słyszałeś. Ciotka Isobel ma w domu dwa obrazki, które jej zdaniem zasługują na to, by pokazać je szerszej publiczności, i sądzę, że galeria mogłaby je przyjąć w depozyt. Tam będą o wiele bezpieczniejsze, nieprawdaż? – Spojrzała na towarzyszących jej mężczyzn. – Zgodzicie się chyba ze mną, panowie, że dzieła sztuki powinny być publicznie dostępne, a poza tym dom na wiejskim odludziu nie jest najlepszym miejscem do przechowywania skarbów.

Odpowiedział jej chór potwierdzeń. Usłyszała również kilka pochlebnych uwag na temat wielkoduszności i zdrowego osądu swojej ciotki.

Franklin zaczął się pocić. Odgarnął włosy z czoła, uświadomił sobie, co robi, i znów je przyklepał.

– Ale droga ciotka Isobel chyba nie...

– Dopóki żyje, jest depozytariuszką tych obrazów. – Tamsyn spojrzała na grupę z uśmiechem pełnym dumy i uczucia. – Bardzo poważnie traktuje swoją odpowiedzialność. Czy już nas opuszczasz, lordzie Chelford?

– Przepraszam, ale jestem z kimś umówiony w pokoju karcianym. – Skłonił się szybko i odszedł.

– Zechce mi pani wybaczyć, pani Perowne, i panie również. – Gabriel podniósł się. – Przypomniałem sobie, że ja również mam się z kimś spotkać.

Ruszył w ślad za Franklinem do pokoju karcianego. Patrząc na niego, Tamsyn pomyślała o czarnej panterze tropiącej ofiarę.

Uśmiechnęła się z ulgą i powiedziała sobie, że odegrała swoją

rolę. Franklin był zdenerwowany i wytrącony z równowagi. Teraz wszystko było w rękach Crisa.

- Wie pan, lordzie Brendon, chyba przyjmę tego drinka, którego mi pan proponował. Ale bardzo proszę o kieliszek szampa-
na. - Ratafia wydawała się o wiele za słaba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cris obserwował rozmowę Tamsyn z Chelfordem z pokoju karcianego i gdy Gabriel podszedł do Chelforda, ruszył w ich stronę. Po drodze wziął kieliszek z tacy niesionej przez lokaja, po czym potknął się i wylał zawartość na kamizelkę Chelforda.

- Ależ ze mnie niezgraba. Pozwól, mój drogi, że pomogę. - Dotknął palcem plamy, ujął wściekłego wicehrabiego pod ramię i poprowadził w stronę drzwi na korytarz. - Tam jest garderoba. Zaraz to wytrzymamy.

Gabriel szedł po drugiej stronie, łajac Crisa za nieostrożność. On również trzymał Chelforda za ramię, choć tamten próbował się uwolnić.

W korytarzu Gabriel pochwycił Chelforda za nadgarstek i boleśnie wykręcił mu ramię za plecy, a gdy Cris przytrzymał drzwi, wepchnął go do pokoju, w którym siedział już Jem Clarke w towarzystwie Goode'a. W kącie stał parawan. Zapadło milczenie, w którym słyhać było tylko zgrzyt klucza w zamku i ciężki oddech Chelforda.

- O co tu chodzi? - wysapał Franklin.

Funkcjonariusz przedstawił się.

- Sądzę, milordzie, że zna pan tego człowieka, Goode'a czy też Goodinga.

- Nigdy go nie widziałem. To oburzające! Oskarżę was o porwanie.

- Poznajesz go? - zapytał Clarke Goodinga.

- Poznaje. Zapłacił mi pięćdziesiąt gwinei, żebym postrzelił tego oficera skarbowego w Devon, a potem abym przysięgł w sądzie, że widziałem, jak zrobiła to jakaś kobieta.

- To kłamstwo! - parsknął Chelford.

- A jeszcze wcześniej zapłacił mi za podpalenie stogu i za parę innych rzeczy.

- Ten oficer zginął na miejscu. Milordzie, to oznacza współ-

udział w morderstwie.

- To oburzające! Ja nigdy...

- To był przypadek, że zginął - powiedział Gooding pośpiesznie.

- Nie możecie brać pod uwagę tego, co mówi jakiś przestępca. Z jego przeszłością... - Franklin znów urwał, gdy sobie uświadomił, że właśnie się zdradził.

- A zatem przyznaje pan, że go zna? - Funkcjonariusz zapisał coś w księdze. - Więc co to miało być? Zasadzka ze śmiertelnym skutkiem czy morderstwo?

- Ani jedno, ani drugie. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Znalazł mnie w tawernie rybackiej przy schodach na wieżę - powiedział Gooding. - Podałem panu daty i godziny. Właściciel będzie go pamiętał.

- Bzdura! - wybuchnął Chelford. - Jak mógłby mnie pamiętać, skoro minęło już parę tygodni, a tam był tłum?

- Naprawdę nie potrafisz kłamać, Chelford. - Cris odsunął się od ściany i stanął obok niego. - A może to przez to, że nerwy masz w strzępach, bo zastanawiasz się, co zrobią z tobą przybocznicy Dappera Geordiego, kiedy cię znajdą. Tak, wiemy o twoich długach. Znałem pewnego człowieka, który próbował zwozić Geordiego. Obcięto mu oba kciuki. Piekielnie trudno jest trzymać karty bez kciuków.

Chelford jęknął i kolana się pod nim ugięły. Gabriel pochwycił go w porę i bezceremonialnie pchnął na krzesło.

- Gooding złożył zeznania przed sędzią Korony. Mamy świadków, mamy niepodważalne dowody, a także liczne poszlaki. Wiemy o obrazach Rubensa. Równie dobrze możesz się przyznać do wszystkiego.

Na wzmiankę o obrazach Chelford uniósł wyżej głowę i jego twarz ściągnęła się wściekłością.

- To Tamsyn się za tym kryje, tak? To ona namówiła ciotkę Isobel, żeby zostały w Barbary Combe. To wszystko powinno należeć do mnie i powinienem móc z tym zrobić, co zechcę! Te dwie odrażające staruszki żyją w nienaturalnym związku, a mimo to proponowałem im dom! A Tamsyn wcale nie jest lepsza. Proponowałem jej małżeństwo, zaszczyciałem swoimi

względnymi, a ona co zrobiła? Dała mi kosza i wyszła za tego przestępcę Jory'ego Perowne'a.

- Więc próbowałeś tylko dostać w ręce to, co według prawa i tak należy do ciebie - powiedział funkcjonariusz ze współczuciem. - To nie w porządku, że zadzierają nosa i odrzuciły twoją propozycję. Nic dziwnego, że próbowałeś nimi potrząsnąć i pokazać im prawdziwe życie.

- No właśnie! - Chelford pochylił się w jego stronę, wdzięczny za zrozumienie. - Tamsyn próbowała zarządzać posiadłością, jakby była mężczyzną. Dała mi kosza. Już mówiłem, to nienaturalne.

- Mimo wszystko posunął się pan trochę za daleko, obwiniając ją za przemyt i atakując tego oficera skarbowego.

Cris pomyślał, że funkcjonariusz rozgrywa Chelforda po mistrzowsku. Gestem nakazał Gabrielowi pozostać z tyłu, w miejscu, gdzie Chelford go nie widział.

- Oczywiście, że jest wmieszana w przemyt. Jak pan myśli, co się stało z zyskami Perowne'a? Musi być jakiś schowek, o którym ona wie. Gdyby ten urzędnik skarbowy się do niego zbliżył, sama by go załatwiła.

- Właśnie tak pan mówił, kiedy mi pan zapłacił, żebym go postrzelił - odezwał się naraz Gooding. - Miałem to zrobić tak, żeby wyglądało, że to ona strzeliła. Ta głupia kobieta.

- I prawie się udało - stwierdził Chelford. - Tylko nadal nie rozumiem, jak udało jej się z tego wywinąć.

- Niewątpliwie dzięki temu, że była niewinna - odezwał się chłodny głos zza parawanu. Chelford zerwał się na nogi. Starszy dżentelmen w staroświeckiej peruce odsunął parawan i wyszedł na środek. - Nie mam żadnych wątpliwości co do pańskiego udziału w tej sprawie, lordzie Chelford. Jestem sir Peter Hughes z sądu magistrackiego przy Bow Street. Pozostaje jeszcze kwestia, jakie oskarżenie zostanie wniesione, ale tego nie możemy ustalić tutaj.

Mamy go, pomyślał Cris z ulgą. Z jednej strony boi się sądu, a z drugiej Dappera Geordiego. Zgodzi się na każdy sposób ucieczki, jaki mu zaproponujemy.

Starszy urzędnik wysunął się naprzód. Funkcjonariusz pod-

niósł się i łokciem przewrócił parawan. Naraz Chelford popchnął sędziego na funkcjonariusza, który oparł się na Goodingu. Drzwi za parawanem trzasnęły i Chelford zniknął.

- Schody dla służby! - zawołał Cris do Gabe'a, gdy obaj przepychali się przez kłębowisko ciał i mebli w stronę korytarza. - Zejdź tamtędy, a ja pójdę głównymi schodami. Zajdziemy go z dwóch stron na dole w holu.

Wbiegł do sali, gdzie odbywało się przyjęcie. Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę.

- Cris? - Tamsyn przepchnęła się przez tłum, który wyciągał szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Zostań tutaj. - Odwrócił się i pobiegł w stronę szerokiego podestu u szczytu krętych schodów. Teraz było tam pusto, stało tylko kilku lokajów. Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, zeskoczył na marmurową posadzkę holu i zobaczył naprzeciwko siebie Gabriela, który wypadł z pokrytych zielonym suknem drzwi do pomieszczeń służby.

- Gdzie on, do diabła, jest?

- Nie mam pojęcia. - Gabriel obrócił się na pięcie i rozejrzał po holu. - Służba mówi, że nikt tamtędy nie przechodził. Zresztą nie zdążyłby dotrzeć do drzwi frontowych.

Urwał, gdy na podeście nad ich głowami rozległ się krzyk. Po tem zapadła cisza. Jednocześnie podbiegli do schodów.

- Zostań, gdzie jesteś! Nie ruszaj się! - Chelford trzymał Tamsyn za rękę, a drugą dłonią przykładał długi nóż do jej jasnej szyi.

- Nóż z bufetu. - Gabriel odsunął się na bok. Cris stanął obok niego. Stali o trzy schodki nad holem, ale zdawało się, że od Tamsyn dzielą ich setki mil.

- Nie uda ci się uciec. Odłóż ten nóż, zanim komuś stanie się krzywda - powiedział Cris donośnie, żeby usłyszeli go wszyscy, którzy tłoczyli się w drzwiach do sali balowej. Modlił się w duchu, by nikt nie zrobił jakiegoś pochopnego ruchu.

- Wszystko mi jedno, czy komuś stanie się krzywda - parsknął Chelford. Widać było, że wpadł w histerię.

- Udało mu się uciec, zanim zdążyliśmy mu powiedzieć, że ma wyjście i może wyjechać z kraju - powiedział Gabriel do Crisa

ściszonym głosem. – Sądzi, że czeka go szubienica.

– Będzie wisiął, jeśli skrzywdzi Tamsyn – warknął Cris. – O ile jeszcze będzie co wieszać. Chelford, puść ją! – krzyknął głośniej. – Jakoś się dogadamy. Będziesz mógł wyjechać z kraju.

– Kłamiesz! – wrzasnął tamten.

– Postradał rozum ze strachu. – Gabriel cofnął się o krok. – Zajdę go od tyłu. Może uda mi się znaleźć jakiś pistolet.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął znów Chelford i Gabriel zastygł.

Chelford szedł w górę po schodach, ciągnąc za sobą Tamsyn i machając nożem w stronę tłumu. Cris patrzył na Tamsyn, która próbowała się wyrywać, ale uścisk Franklina był mocny. Po chwili zdał sobie sprawę, co Tamsyn robi. Jej długa wieczorowa rękawiczka luźno zwisała na przedramieniu. Tamsyn wrzeszczała prosto do ucha Chelforda, żeby odwrócić jego uwagę, i jednocześnie obracała rękę. Jeśli Chelford nic nie zauważy, za chwilę uda jej się uwolnić dłoń.

Gabriel również to zauważył.

– Nawet jeśli się uwolni, to nie ma dokąd uciec. Ta część podestu to właściwie balkon, a Chelford oddziela ją od drzwi. Po detnie jej gardło albo zasztyletuje. A jeśli ona skoczy...

Cris oszacował wzrokiem odległość podestu od podłogi, zszedł ze schodków i stanął pod balustradą. Chelford krzyknął i machnął nożem.

– Tamsyn! – zawołał Cris. – Przypomnij sobie Jory’ego. Zrób to, co on.

Otworzyła oczy ze zdumienia, gwałtownie wyszarpnęła rękę z rękawiczki i wskoczyła na poręcz. Jest silna, powiedział sobie Cris, biegnąc w tę stronę. Tymczasem Tamsyn zachwiała się na balustradzie i zawisła.

Chelford przechylił się przez poręcz, zamierzając się na nią nożem.

– Puść, złapię cię! – krzyknął Cris.

Naraz poczuła przenikliwy ból. Zaryzykowała spojrzenie w dół i omal nie zemdląca. Za wysoko, pomyślała. Złamię sobie kark. Przyplłynął do niej obraz ciała Jory’ego roztrzaskanego na skałach, zanim zabrały je fale.

Franklin, pobladły ze strachu i złości, przechylił się przez po-

ręcz i przeciągnął nożem po kostkach jej palców. Zaciśnęła je mocniej na poręczy, patrząc na spływającą krew. Chelford znów się zamierzył.

- Puść, złapię cię!

Ponownie usłyszała Crisa. Dopiero teraz domyśliła się, że stał pod nią. Nie widziała go, ale skoro kazał jej skoczyć, musiała mu zaufać. Gdy znów Franklin się zamachnął, rozprostowała palce i poleciała w dół.

Upadła, ale nie na podłogę. Przez chwilę mocno zaciskała powieki, a potem, gdy usłyszała dokoła krzyki, zmusiła się, by otworzyć oczy. Leżała twarzą w dół z nosem przyciśniętym do białej tkaniny. Podniosła głowę i odkryła, że był to krawat, a nad nim zobaczyła twarz Crisa. Miał zamknięte oczy i nie ruszał się. Pochwycił ją, ale sam uderzył o twardą, marmurową podłogę.

- Cris! - Gabriel przyklęknął obok nich. - Tamsyn, nic ci się nie stało? Nie masz nic złamanego? - Nie patrząc na nią, szybko rozluźnił krawat Crisa i przyłożył dłonie do szyi, szukając pulsu.

- Nie. - Stoczyła się z ciała Crisa na twardą podłogę. Ignorując ból w ramionach i krew na palcach, podniosła się na kolana, przejęta śmiertelnym przerażeniem. - Czy on żyje?

- Żyje. Sprowadźcie lekarza! - wykrzyknął Gabriel i uważnie obejrzał głowę Crisa. - W uszach nie ma krwi. A u ciebie?

- Nie.

Ktoś podbiegł do nich z dywanikiem i poduszkami.

- Nie podnoście go i nie dotykajcie głowy. Niech leży płasko. - Powtórzyła to, co powiedział jej kiedyś doktor Tregarth, gdy pomagała mu przy trzech chłopcach, którzy spadli z dachu stodoły. Przykryła Crisa pledem i spojrzała na ponurą twarz Gabriela. - Głowa... kręgosłup... Gabrielu, czy wiesz, co robić?

- Wiem, że nie można go ruszać ani pozwolić, żeby jakiś konował upuścił mu krwi.

Tamsyn ostrożnie nakryła zakrwawioną dłonią nieruchomą lewą dłoń Crisa, próbując wlać w niego swoje siły i swoje uczucie. Ktoś coś do niej mówił. To był Alex.

- Nasz lekarz już tu idzie. Był lekarzem wojskowym, będzie

wiedział, co robić. – On również wyciągnął rękę i dotknął szyi Crisa. – Puls jest silny. Chelford nie żyje. Walczył z policjantem i nóż... – Urwał, gdy usta Crisa drgnęły.

– Niech to diabli – szepnął. – Sam chciałem skrócić mu kark.

– Cris! – zawołała Tamsyn drżącym głosem. Przygryzła usta i po chwili dodała: – Nie ruszaj się.

– Nie mam takiego zamiaru. – O dziwo, w jego głosie rozbrzmiewało rozbawienie. – Kto dotyka mojej szyi takimi zimnymi rękami? – zapytał, nie otwierając oczu.

– Gabriel i Alex. – Udało jej się uśmiechnąć. – Czy możesz poruszyć palcami?

Po długiej chwili dłoń w jej dłoni poruszyła się i uścisnęła jej palce.

– Tamsyn, jesteś ranna? – Dopiero teraz otworzył oczy.

– Nie, nic mi się nie stało dzięki tobie. A czy możesz poruszyć nogami?

Tym razem czekanie trwało dłużej i wydawało się wiecznością, ale w końcu dywanik, którym były przykryte jego nogi, drgnął.

– Chyba nie powinienem był tego robić – szepnął. Oczy uciekły mu w głąb czaszki i stracił przytomność.

– Doktor, milordzie.

Obydwaj mężczyźni podnieśli się i pomogli Tamsyn wstać. Gabriel zgarnął ją w ramiona i posadził na ławce przy ścianie. Ktoś otoczył nieruchome ciało Crisa parawanem. Za plecami Tamsyn słyszała gości schodzących po schodach i głos Tess, która próbowała uspokoić wszystkich, dziękowała im za wyrozumiałość i życzyła dobrej nocy. Lekarz, szczupły i siwowłosy, klęczał obok Crisa i lekko przesuwiał dłońmi po jego ciele, Alex tymczasem opowiadał mu, co się zdarzyło. Tamsyn modliła się w duchu, by Cris przeżył i nie został sparaliżowany.

– O, wrócił pan do nas – powiedział lekarz i Tamsyn zdała sobie sprawę, że Cris odzyskał przytomność. – Zaraz pana zabierzemy z tej podłogi, tylko proszę mi powiedzieć, czy tu boli? A czy tutaj może pan poruszyć? Dobrze. A teraz spróbujemy zgiąć.

Cris mruczał pod nosem jakieś przekleństwa, ale serce Tam-

syn przepęłniała radość. Był przytomny.

Do holu weszła Tess w szalu narzuconym na ramiona.

- Chodź, rozbierzesz się i sprawdzimy, czy nic ci nie jest.

- Nie mogę od niego odejść.

- Owszem, możesz. Doktor Langridge zwołał już lokajów, którzy położą go na blacie stołu i zanoszą do sypialni. Nie możesz pójść za nim. Będą go rozbierać.

- Ale ja...

- Tak, wiem. Ale lepiej nie bulwersować lekarza, prawda? Chodź. - Tess pociągnęła ją na schody. - Mamy tu taki miły pokój.

Tamsyn zdołała przekroczyć próg, po czym po raz drugi w życiu zemdląca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Cris? - zapytała Tamsyn, gdy Tess wśliznęła się do sypialni. Groźna pokojówka o nazwisku White przebierała ją właśnie w pożyczoną koszulę nocną.

- Jest poobijany, ale nie stało się nic poważnego. Daję ci słowo - powiedziała Tess i gdy Tamsyn opadła na poduszki, dodała: - Skręcona kostka i kolano w prawej nodze, kilka złamanych żeber, guz wielkości śliwki z tyłu głowy i mnóstwo rozmaitych siniaków.

- Czuję się okropnie - wyznała. - Spadłam na niego jak worek ziemniaków. - Próbowała się uśmiechnąć i ukryć łzy ulgi, które napłynęły jej do oczu. Przez ostatnich dwadzieścia minut wyobrażała sobie Crisa ze złamanym kręgosłupem albo roztrzaskaną czaszką.

- Nie jesteś aż tak ciężka! - Tess roześmiała się.

- Ale nie jestem też wiotką jak trzcina debutantką. - White odsunęła się i Tamsyn natychmiast odrzuciła kołdrę. - Chcę go zobaczyć.

- Proszę tu zostać, *madame*. - White utknęła dokoła niej kołdrę, jakby był to kaftan bezpieczeństwa. - Lekarz powiedział, że ma pani odpoczywać, a markizowi nie wolno przeszkadzać co najmniej do jutra.

- Franklin. - Przypomniała sobie, dlaczego to wszystko w ogóle się zdarzyło, i żołądek nieprzyjemnie jej się zacisnął. - Ktoś mówił, że nie żyje, czy tylko mi się wydawało?

- Nie żyje. Może tak jest najlepiej - powiedziała Tess, choć w jej głosie słychać było powątpiewanie.

- Cóż za skandal. I twoje piękne przyjęcie zupełnie zrujnowane.

- Mówimy wszystkim, że stracił rozum. - Tess przysiadła na skraju łóżka, ignorując pełen dezaprobaty wyraz twarzy White.

- Jest jeszcze za wcześnie, żeby wyrokować, ale ludzie chyba

przyjmują to wyjaśnienie. Podobno już od jakiegoś czasu zachowywał się dziwnie. Alex mówi, że wpadł w szpony przerażającego lichwiarza. Większość dżentelmenów jest skłonna uwierzyć, że to wystarczyło, by go doprowadzić do pomieszania zmysłów.

- Muszę napisać do ciotek, zanim przeczytają o tym w gazetach.

- W takim razie napisz do nich krótki list. Właściwie mogę to zrobić za ciebie już teraz, żeby wyszedł z najbliższą pocztą. Zapewnię, że wszyscy są bezpieczni, i dopilnuję, żeby do twoich ciotek dotarła wersja o pomieszeniu zmysłów. - Zsunęła się z łóżka i wzięła Tamsyn za rękę. - Odpocznij, a ja pójde powiedzieć Crisowi, żeby się o ciebie nie martwił. Spróbuj zasnąć - dodała. White zdmuchnęła świecę, zostawiając tylko mały kagamek przy łóżku. - Wszystko jest dobrze.

Tamsyn leżała z szeroko otwartymi oczami. Gdy próbowała je przymknąć, widziała przed sobą twarz Franklina ściągniętą strachem i wściekłością, marmurową podłogę pod swoimi nisko zwieszonymi nogami, a także białą, nieruchomą twarz Crisa.

Proces o morderstwo biednego porucznika Ritchiego zapewne się odbędzie i nikt nawet nie wspomni o udziale Franklina w tej sprawie. Ciotki były bezpieczne, podobnie jak posiadłość i wszyscy jej mieszkańcy. Do Holt Hall wprowadzi się młody prawnik z rodziną, co posiadłości wyjdzie tylko na dobre. Franklin wkrótce stanie się tylko błędnym wspomnieniem o zdeprawowanym arystokracie, który zszedł na złą drogę.

A Tamsyn wróci do Barbary Combe House, do swojego życia nad morzem i do wspomnień o dwóch mężczyznach: o tym, który ją poślubił i którego kochała jak przyjaciela, oraz o drugim, który traktował ją szarmancko, pokazał jej wspaniałość fizycznej miłości i którego pokochała całym sercem i całą duszą.

Gdy się obudziła, zobaczyła światło przebijające się przez zasłony w oknie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie jest, i wspomnienia ostatniego wieczoru wróciły do niej z całą siłą. Za ścianą słyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, przytłumione głosy oraz głośnie kroki. Może tam właśnie leżał Cris? - przeszło jej przez myśl. Potrzebowała go. Chciała go zo-

baczyć jeszcze raz, dotknąć, upewnić się, że naprawdę nie stało mu się nic poważnego.

Niezgrabnie wyszła z łóżka i narzuciła na ramiona szlafrok. Nie było rannych pantofli, bo nikt nie sądził, że będzie gdziekolwiek wychodzić. Zegar na kominku wybił piątą. Przy jego srebrzystych dźwiękach Tamsyn uchyliła drzwi i rozejrzała się po korytarzu. Był pusty.

Drzwi do sąsiedniego pokoju okazały się dobrze naoliwione i otworzyły się bezgłośnie, mimo to mężczyzna na łóżku odwrócił głowę w jej stronę.

- Tamsyn.

- Nie ruszaj się. - Usiadła na krześle obok łóżka i wzięła go za rękę. Skórę miał ciepłą, a uścisk nadszpiewanie mocny.

- Nie wiedziałem, czy mnie nie okłamują, gdy mówili, że nic ci się nie stało - rzekł. Leżał zupełnie płasko, bez żadnych poduszek, jedną nogę miał unieruchomioną jakąś konstrukcją. - Naprawdę nic ci się nie stało?

- Zupełnie nic. - Udało jej się uśmiechnąć. - Jak mogłoby mi się coś stać, skoro taki duży mężczyzna uchronił mnie przed upadkiem? Szkoda tylko, że nie masz na sobie więcej tłuszczu, bo czułam się tak, jakbym zderzyła się z sofą wyściełaną końskim włosiem.

Cris parsknął z rozbawieniem i skrzywił się.

- Błagam, nie rozśmieszaj mnie. Powiedz mi, Tamsyn, tylko szczerze: jak się czujesz po wczorajszym dniu?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym odpowiedziała szczerze.

- Przykro mi z powodu Franklina. Własna słabość i głupota doprowadziła go do takiego końca. Po części czuję ulgę, bo nie jest już dłużej zagrożeniem dla ciotki Izzy, ale nie sprawia mi to radości. Tess mówi, że skandal da się wyciszyć. Mimo to żałuję, że musieliśmy wprowadzić do jej domu przemoc i śmierć, szczególnie teraz.

- Teraz? - zdziwił się Cris.

- Teraz, gdy oczekuje dziecka.

Uśmiechnął się szeroko.

- Alex trzęsie się nad nią jak kwoka. Cóż za szczęściarz!

- Chcesz mieć dzieci? - Naturalnie, że chciał. Potrzebował spadkobiercy, ale poza tym wiedziała, że po prostu chce być ojcem.

- Oczywiście... - Wzruszył ramionami i zaraz syknął z bólu. - Czy wiesz, jak bardzo wszystko zaczyna swędzieć, gdy nie można się podrapać?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Kiedy lekarz pozwoli ci wstać?

- Ma tu przyjść po południu, żeby sprawdzić, czy czaszka jest cała. Mówił, że jeśli tak, to będę mógł usiąść. Widział zbyt wiele obrażeń podczas wojny i przez to jest nadmiernie ostrożny.

- Cieszę się z tego. Przez chwilę bałam się, że nie żyjesz albo że masz złamany kręgosłup.

- Bardzo by cię to obeszło? - Na jego twarz wrócił chłodny, surowy wyraz.

- Oczywiście! Uratowałeś mi życie, Cris. To, co zrobiłeś, było niesłychanie odważne i bardzo ryzykowne. Gdyby stał tam ktośkolwiek inny, nie skoczyłabym. Nikomu nie potrafiłabym zaufać. Jak ci przyszło do głowy, żeby kazać mi zrobić to, co zrobił Jory? Franklin nie miał pojęcia, o co chodzi, i to go na chwilę zbiło z tropu.

- Pomyślałem, że usłyszysz mnie nad zgiełkiem i że to będzie lepsze, niż gdybym po prostu krzyknął „skacz”. O ile w ogóle cokolwiek myślałem. Ale nie chcę twojej wdzięczności, Tamsyn.

- Dlaczego? - zapytała cicho, ale on tylko ze złością potrząsnął głową. - Cierpisz, a ja psuję ci nastrój. Pójdę już. Chciałam tylko przekonać się na własne oczy, że żyjesz i że wyzdrowiejesz. - Puściła jego rękę i wstała.

- Nie psujesz mi nastroju - parsknął.

- Nie?

- Nie. Zastanawiam się tylko, jak w tej sytuacji mogę ci się oświadczyć - rzekł z desperacją.

- Oświadczyć? Ale, Cris, dlaczego? - Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że może usłyszeć propozycję małżeństwa od mężczyzny leżącego płasko na plecach i w dodatku poirytowanego. - Przecież już o tym rozmawialiśmy.

- Kocham cię.

- Tylko dlatego... - Naraz dotarło do niej, co powiedział. - Nie, nie kochasz mnie.

- Wydaje mi się, że lepiej od ciebie wiem, co czuję. - Ciemnoniebieskie oczy patrzyły na nią nieruchomo.

- Znów chcesz mnie chronić. Skandal nie ma żadnego znaczenia. Dzisiaj wyjeżdżam.

- Dzisiaj? - Cris podniósł się z łóżka, przeklinając z bólu, i oparł obie dłonie na jej ramionach.

- Leż, proszę. - Próbowała pchnąć go na łóżko, ale on przycisnął ją do siebie i całował, aż przestała z nim walczyć. To ostatni raz, usprawiedliwiała się resztką rozsądku. Gdy w końcu odsunęli się od siebie, sięgnęła po poduszki i ułożyła w stertę za jego plecami.

- To nie jest miłość, tylko pożądanie. A ta kobieta, w której byłeś zakochany wcześniej? Czy nie posługujesz się mną, żeby o niej zapomnieć?

- Skąd wiesz o Katerinie? - Cris kontrolował oddech z wyraźnym wysiłkiem.

- Nic nie wiem. Ty sam właśnie mi powiedziałeś. Odgadłam tylko, że była jakaś kobieta. Twoi przyjaciele też tak sądzili.

- Wydawało mi się, że jestem w niej zakochany. Była mężatką, więc do niczego nie mogło między nami dojść, wymieniliśmy jeden pocałunek i to wszystko. Chyba właśnie dlatego, że była niedostępna, uwierzyłem, że ją kocham. Ale kiedy pocałowałem cię po raz pierwszy, w morzu, zdarzyło się coś, co sprawiło, że zacząłem wątpić w swoje uczucie do niej. A potem im więcej o tym myślałem, tym wyraźniej sobie uświadamiałem, że to nie była miłość.

Nie powinna pytać go o nic więcej. Nawet jeśli mówił prawdę, nie była dla niego odpowiednią żoną. Nie potrafiła się jednak powstrzymać.

- A dlaczego sądzisz, że to, co czujesz do mnie, to miłość?

- Przez tęsknotę, którą czułem, gdy przyjechałem do Londynu. Przez cały czas miałem wrażenie, że czegoś mi brakuje. A gdy wczoraj patrzyłem, jak próbujesz się wyrwać Franklinowi, gdy zobaczyłem twoją odwagę i determinację... Tak bardzo przeraziła mnie myśl, że mógłbym cię stracić, że zrozumiałem

to na pewno.

- Wiesz przecież, że nie jestem odpowiednią żoną dla marki-za.

- Przez całe życie sądziłem, że wiem, jaką kobietę powinienem poślubić. To był pewnik, tak jak to, że mam miejsce w Izbie Lordów. Ale wczoraj wieczorem nie mogłem spać. Leżałem i wsłuchiwałem się w głos rozsądku. Próbowałem zrozumieć, co czuję, i uświadomiłem sobie, że mógłbym następnego dnia ożenić się nawet z córką marynarza. Być może kilka osób uniosłoby brwi z potępieniem, ale zmieniliby zdanie, gdyby się okazało, że dziewczyna jest elegancka, wykształcona i umie się zachowywać w towarzystwie. A zanim wspomnisz o wczorajszych wydarzeniach, cały skandal wywołał Chelford. Tylko kilka osób wie, jaki ty miałas w tym udział.

- Jory...

- To była młodzieńcza miłość. Związek, który wydarzył się daleko stąd, Tamsyn. Nie muszę się żenić dla pieniędzy ani dla koneksji. Mogę sobie pozwolić na to, żeby zakochać się w damie, która będzie dla mnie partnerką w życiu i cudowną matką moich dzieci.

Opanowanie Tamsyn prysnęło w jednej chwili. Cris nie wiedział, co się zdarzyło wtedy na urwisku. Nie wiedział wszystkiego.

- Ale ja cię nie kocham - skłamała. Podniosła się gwałtownie i wycofała w stronę drzwi. Cris pobladł i zacisnął dłonie na kołdrze, jakby chciał za nią pójść. - Zawsze będę cię pamiętać, ale nie mogę... - nie mogę cię dłużej okłamywać, pomyślała. - Żegnaj, Cris.

Była już w połowie drogi do drzwi, gdy Cris opuścił nogi na podłogę. Drewniana konstrukcja utrzymująca jego nogę nieruchomo z łoskotem upadła. Drzwi trzasnęły i do sypialni wbiegł Alex.

- Co się tu, do diabła, dzieje? Coś łupnęło. Myślałem, że spałeś z łóżka.

- Tamsyn chce wyjechać. Zatrzymaj ją.

- Lordzie Weybourn, muszę wrócić do domu. Czy mógłby pan poprosić kogoś, żeby zamówił mi miejsce w dyliżansie poczto-

wym o dziesiątej? Muszę wstąpić do marszanda i odebrać obra-
zy, a nie mogę ich wieźć publicznym dyliżansem.

- Dam pani jeden z moich powozów - powiedział Alex przez
ramię, podchodząc do Crisa. - Wracaj do łóżka, człowieku, bo
będziesz miał z Tess do czynienia!

Tamsyn wykorzystała moment, zamknęła za sobą drzwi i ucie-
kła.

Dobrze było wrócić do domu. Na skraju świata, gdzie ziemia
stykała się z oceanem, wśród nieustannie zmieniającej się pogo-
dy, w beczasowym rytmie życia farmy i rybaków Tamsyn odnaj-
dywała spokój.

W tydzień po powrocie wybrała się na spacer na urwisko,
gdzie Jory spotkał się ze śmiercią. Nie była tam od tamtego
dnia, a teraz poczuła, że czas już pożegnać się z duchem męża.
Usiadła na kamieniu i wpatrzyła się w morze, myśląc o tym, że
kiedyś ludzie będą spacerować tutaj i patrzeć na ten sam wi-
dok, nic nie wiedząc o niej, o jej miłości i o dawnych trage-
diach. Ta myśl przyniosła jej dziwną pociechę.

Trawa tłumiała kroki i ktoś znalazł się tuż przy niej, zanim zda-
żyła go usłyszeć. Odwróciła głowę. Wysoka sylwetka rysowała
się wyraźnym ciemnym konturem na tle jaskrawego nieba. Puls
Tamsyn przyspieszył. Poczowała szaleńczą nadzieję, a potem gorz-
kie rozczarowanie, gdy rozpoznała doktora Tregartha.

- Tamsyn. Słyszałem, że wróciła pani do domu. - Usiadł na
skale i zdjął kapelusz. Wiatr rozwiewał jego włosy. - Dobrze
znów panią widzieć.

- Pana również. Czy wszystko w porządku w wiosce? Ciotki
nie wspominały mi o żadnych kłopotach. - Jego obecność okaza-
ła się dla niej tak zaskakującą pociechą, że Tamsyn poczuła
ochotę, by oprzeć głowę na jego ramieniu.

- Mały Willie Stephens złamał sobie rękę, gdy spadł z jabłonki
pana Pendletona. Świnie Penwithów wydostały się z zagrody
i zryły grządkę z warzywami starej pani Fallon, a Lucy Williams
urodziła piękne bliźnięta, dwóch chłopców. Byłby to powód do
radości, gdyby tylko wiedziała, kto jest ojcem...

- Zdaje się, że jest spora lista kandydatów.

- Owszem - zgodził się doktor Tregarth ironicznie. - Wróciła pani na zawsze?

- Tak. - Jeżeli jakiegokolwiek miejsce mogło ją uleczyć, to tylko to. Tu łatwiej niż gdziekolwiek indziej będzie jej nauczyć się żyć bez Crisa de Feaux.

- A zatem... - Lekarz westchnął głęboko, jakby dodawał sobie odwagi. - Defoe? Sądziłem, że być może wyjdzie pani za niego.

- Pan Defoe tak naprawdę nazywa się Crispin de Feaux i jest markizem Avenmore.

- Coś takiego! I nie oświadczył się pani?

- Oświadczył, ale odrzuciłam go.

- Dlaczegoż, na Boga?

Michael Tregarth był chyba jedynym człowiekiem na świecie, z którym mogła o tym rozmawiać. Nigdy wcześniej nie musiała zasięgać jego porady, ale gdyby potrzebowała lekarza, udałaby się właśnie do niego.

- Nie mogę mieć dzieci. Byłam brzemienna, gdy Jory zginął. Widziałam to i wstrząs spowodował poronienie. Lekarz powiedział mi, że już nigdy... - Przełknęła kulę w gardle i brnęła dalej, starając się mówić rzeczowo i rozsądnie. - Więc w żaden sposób nie mogę z czystym sumieniem wyjść za arystokratę, który potrzebuje spadkobierców. Poza tym są jeszcze inne przyczyny, choćby nierówność naszej pozycji...

- Kto pani powiedział, że nie może pani znowu nosić dziecka? - zapytał Tregarth.

- Doktor Philpott. Był tu lekarzem przed panem. Oczywiście nie zna go pan. Zmarł na atak serca kilka miesięcy przed pańskim przybyciem. Nie czułam się dobrze po śmierci Jory'ego. Po wstrząsie i poronieniu prawie przez tydzień leżałam w gorączce. Gdy już dochodziłam do siebie, doktor powiedział, że będę...

- Bezpłodna. Hm. Jak to przyjął Defoe? Przepraszam, to znaczy markiz.

- Nie powiedziałam mu.

- Dlaczego?

- To bardzo uparty mężczyzna i przywykł dostawać to, czego chce. Ożeniłby się ze mną bez względu na wszystko, a potem, po latach, gorzko by tego żałował.

- Jaki zatem powód odmowy podała mu pani?
 - Powiedziałam, że go nie kocham.
 - Hm... Okłamała go pani.
 - Czy mógłby pan przestać powtarzać „hm”? Co chce pan przez to powiedzieć?
 - Być może należałoby mu to wyjaśnić. Łatwiej byłoby mu się pogodzić z pani odmową, gdyby wiedział, że kryje się za nią jakiś powód inny niż ten, że nie odwzajemnia pani jego uczuć. - Lekarz poruszył się i Tamsyn poczuła na sobie jego wzrok. Ona sama przez cały czas wpatrywała się w morze. - Bo oczywiście żywi pani do niego uczucie?
 - Tak.
 - Tak sądziłem. Proszę się nad tym zastanowić. - Tregarth podniósł się i nasunął kapelusz na potargane włosy. - Życzę pani dobrego dnia. Muszę sprawdzić, jak sobie radzi ten mały drań Stephens.
- Patrzyła za nim, gdy szedł urwiskiem w stronę stromej ścieżki prowadzącej do zatoki. Był dobrym człowiekiem i dobrym lekarzem, toteż należało zastanowić się nad jego radą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

...widzisz zatem, że nawet gdyby wszystko było inaczej, nie mogłabym przyjąć Twoich oświadczeń.

Mam nadzieję, że szybko wracasz do zdrowia i że nic już Cię nie boli. Przekaż, proszę, ciepłe pozdrowienia lordowi i lady Weybourne, a także panu Stone'owi. Obawiam się, że nie potrafię myśleć o nim jako o lordzie Edenbridge.

Twoja na zawsze.

Po namyśle wymazała ostatnie słowa i zakończyła inaczej.

*Pańska przyjaciółka,
Tamsyn Perowne*

No i już. Napisała niemal całą prawdę. Nie mogła oczywiście przyznać, że go kocha. Zapieczętowała list, zaadresowała i położyła na stole w holu, żeby zabrano go z resztą poczty.

Przez chwilę stała nieruchomo, potem potrząsnęła głową i wróciła do bawialni. Odkreśliła tę część życia, tak jak wtedy, gdy Jory zginął, a ona straciła dziecko. I tak jak wtedy, musiała zacząć wszystko od początku.

Zaczynał się odpływ. Słońce świeciło jasno i trudno było sobie wyobrazić piękniejszy dzień na pływanie. Tamsyn schodziła ścieżką w stronę plaży, niosąc ze sobą pled i ręczniki. Ciotki wybrały się na piknik – Izzy konno, a Rosie w lektyce, którą teraz nosiło dwóch chłopaków z wioski, dobrze wyszkolonych przez Irlandczyków. Patrick i Seamus przed dwoma tygodniami wrócili do Bath, czego kilka dziewcząt ze wsi wciąż nie mogło odżałować.

W domu nie było nikogo. Pani Tape pojechała do Barnstaple na zakupy i zabrała ze sobą Molly i Michaela, a Jason towarzyszył Izzy i Rosie. To oznaczało, że Tamsyn może poddać się po-

kusie i popływać nago.

Woda była chłodna mimo pełni lata. Tamsyn pobiegła w stronę brzegu. Wietrzyk chłodził jej rozgrzaną słońcem skórę. Nikt oprócz mew nie usłyszał jej pisku, gdy woda uderzyła ją w brzuch, i nikt nie widział, jak płynęła w stronę Flatiron Rock, skały, która podczas odpływu wynurzała się nad powierzchnię wody.

Gdy Jory miał dwanaście lat, młotem i dłutem wyciął w kamieniu nierówne schodki. Zajęło mu to całe lato. W dzieciństwie wchodzili na tę skałę i opalali na jej gładkim wierzchołku. Tamsyn nie robiła tego już od lat.

Wspięła się teraz na górę, kalecząc kolano o małże, którymi obrośnięte były boki kamienia. Usiadła na wierzchołku, wyciągnęła nogi przed siebie, poruszyła palcami stopy i natrafiła na wielki kłęb wodorostów, które przywarły do kamienia. Naraz jej palec uderzył w coś twardego.

- Au! - zawołała i cofnęła stopę. Za plecami usłyszała jakiś plusk, ale gdy się odwróciła, zobaczyła tylko wir w wodzie w pobliżu plaży. Fala zakryła to miejsce, ale po chwili spod powierzchni wody wynurzyła się głowa i ramię. Ktoś płynął w jej stronę. Tamsyn podniosła się na kolana, nie zważając na ostre małże i piasek. Pływak zbliżał się do Flatiron. Patrzył na nią, ona zaś nie potrafiła opanować radosnego drżenia.

- Cris! - Skąd on się tu wziął? Wiedziała, że to spotkanie będzie bardzo bolesne, ale w tej chwili czuła tylko dojmującą radość.

- Jak mam tam wejść? - Uśmiechnął się.

- Z tej strony są schodki.

Patrzyła na niego, gdy wspinał się swobodnie, znacznie zręczniejsz niż ona. Jego skóra ociekała wodą, przyklejone do głowy włosy odsłaniały surową twarz. Wyglądał jak bóg morza wyłaniający się z głębin.

- Tamsyn!

Wpadła w jego ramiona. Jego ciało wydawało się gorące, tak jak i usta na jej ustach.

Po dłuższej chwili cofnęła głowę, by zaczerpnąć powietrza, i stanęli objęci, patrząc sobie w oczy. W końcu Tamsyn zapytała:

- Po co tu przyjechałeś?
- Bo cię kocham. - Usiadł i pociągnął ją na skałę obok siebie.
- Przecież mówiłam ci, że to nie jest możliwe.
- Powiedziałaś, że mnie nie kochasz. W pierwszej chwili uwierzyłem... - Patrzył jej w oczy, nie skrywając cierpienia. - A potem napisałaś...
- Przecież ci wyjaśniłam, dlaczego nie mogę za ciebie wyjść. Moje uczucia się nie zmieniły. - Teraz to ona próbowała ukryć emocje, żeby nie wzbudzać w nim próżnej nadziei.
- Wiem. - Objął jej twarz i obrócił do siebie. - Zadałem sobie pytanie, dlaczego napisałaś i wyznałaś mi coś, co musiało być dla ciebie tak bolesne. Gdybyś mnie nie kochała, nie sprawiłoby ci to żadnej różnicy. I jedyna odpowiedź, jaką potrafiłem znaleźć, to że jednak mnie kochasz i że nie chciałaś za mnie wyjść ze względu na tę tragedię z przeszłości.
- To nie jest tylko przeszłość, ale również przyszłość.
- Tamsyn, powiedz mi prawdę. Będę wiedział, jeśli skłamiesz. Czy ty mnie kochasz?
- Tak! - wybuchnęła. - Tak, kocham cię. A co to za różnica? To może tylko powiększyć cierpienie nas obojga.
- Czułość w jego oczach zmieniła się w coś innego. Ich wyraz stał się intensywny i zaborczy.
- Wiedziałem. Czułem to. Wiedziałem, że wcześniej mnie okłamałaś. Tamsyn, ukochana...
- Odepchnęła jego nagą pierś.
- To niczego nie zmienia.
- Nie będziesz miała dziecka bez względu na to, czy za mnie wyjdiesz, czy nie. A ja nie chcę dziecka innego niż twoje. To będzie nasze wspólne cierpienie. Będziemy się nim dzielić - powiedział z żarem. - Nie chcę mieć dzieci z żadną inną kobietą, bo nie chcę żadnej innej kobiety. Tylko ciebie, Tamsyn. Tylko ciebie...
- Ale spadkobiercy...
- Mam doskonale wychowanego, inteligentnego młodego kuzyna, który i tak odziedziczyłby po mnie wszystko, gdyby moja żona dała mi tylko córki albo gdyby mój syn zmarł, albo gdybym w ogóle nie miał dzieci. Kocham cię, a ty kochasz mnie. Może-

my być szczęśliwi przez całą resztę życia. Możemy stworzyć dobre małżeństwo. Poza tym jestem przekonany, że będziesz wspaniałą markizą.

Tamsyn patrzyła na niego bez słowa. Przyciągnął ją do siebie - pierś do piersi, usta do ust.

- Kocham cię - powtórzył. - Po raz pierwszy trafiłem na tę plażę, gdy myślałem, że straciłem miłość, a w rzeczywistości miałem za chwilę ją odnaleźć. Nie odbieraj nam tego szczęścia, kochana.

Nie była w stanie dłużej się opierać.

- Nie zrobię tego - obiecała po chwili wahania. - Za bardzo cię kocham.

Naga skała pokryta wodorostami i małżami pośród przybierającego morza nie jest najwygodniejszym miejscem do miłości, pomyślała Tamsyn, ale gdy Cris przytrzymał ją na swoich udach, zupełnie przestała myśleć. Nie czuła słońca na plecach ani skał ocierających się o kolana, ani dotyku mokrych wodorostów, którymi obrzucał ich wiatr.

Przywierali do siebie tak jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy, ale teraz złączeni byli uczuciem i obietnicą szczęśliwej przyszłości.

Smiali się i dotykali wciąż na nowo, jakby nie mogli uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W końcu Cris rozciągnął się na plecach na skale.

- Boże, jak ja cię kocham... Co to jest? - Znów usiadł, potarł głowę i popatrzył na miejsce, o które Tamsyn wcześniej zraniła sobie palec.

- Czy to krab? - Usiadła obok niego, zwieszając nogi ze skały. Cris rozgrzebał kupkę wodorostów.

- Nie, to coś twardego. Zobacz. To kółko jest wbite w skałę i prowadzi od niego łańcuch.

Tamsyn zaczęła przeczuwać, co to może być.

- Wyciągnij to - poprosiła.

Cris stanął na skale, zapał się mocno i pociągnął za łańcuch. Z wody wynurzyła się nieduża metalowa skrzynka.

- Można by pomyśleć, że to skarb pirata.

- Nie, to skarb przemytnika. Ta skała była miejscem Jory'ego.

Obydwoje przychodziliśmy tu jeszcze w dzieciństwie. – Tamsyn powiodła ręką po przerdzewiałych metalowych opaskach na skrzynce. – Nie ma kłódki, tylko skobel zamknięty na trzpień.

– Proszę. To twoje dziedzictwo – powiedział Cris.

Okazało się, że potrzebna była siła ich obojga, żeby otworzyć skrzynkę. Gdy w końcu pokrywa uchyliła się ze zgrzytem, zobaczyli w środku płócienny woreczek, nie większy niż torebka damy.

– Nie widać tu złotych monet.

– Gdyby to były pieniądze, pewnie musielibyśmy oddać je do skarbu Jego Królewskiej Mości – powiedziała Tamsyn, próbując ukryć rozczarowanie.

Cris wsunął woreczek w jej dłoń i pomógł otworzyć. W środku znajdował się złoty łańcuszek i garstka kryształków.

– Cris, to chyba nie są...?

– Brylanty? Sądzę, że tak. Wygląda na to, że twój pierwszy mąż zostawił ci klejnoty w miejscu, gdzie nikt oprócz ciebie nie mógłby ich znaleźć. – Lśniły w jej dłoni jak morska piana na piasku plaży. – Możesz z nich zrobić naszyjnik, który będzie ci o nim przypominał.

– Nie miałbyś nic przeciwko temu? – Wrzuciła klejnoty z powrotem do woreczka, zawiązała i zawiesiła sobie na szyi.

– Przeciwko temu, że byłaś z nim szczęśliwa? Że zapewnił ci bezpieczeństwo? Oczywiście, że nie. – Podniósł się i wyciągnął do niej rękę. – Chodź, wracajmy na brzeg. Lepiej się ubierz, zanim twoje ciotki nas znajdą.

Powoli popłynęli w stronę brzegu.

Później tego wieczoru, gdy siedzieli obok siebie na sofie, próbując nawiązać rozmowę z euforycznie szczęśliwymi ciotkami, do pokoju weszła Molly.

– List do panny Tamsyn. Właśnie przyniósł go chłopak od doktora.

– Przepraszam, przeczytam od razu. Nie mam pojęcia, co to może być – zdziwiła się Tamsyn.

Zaniosła list do stołu, na którym stała lampa, i złamała pieczęć.

*Droga pani Perowne,
już od dawna zamierzałem przeczytać dzienniki mojego poprzednika, które znalazłem w kufrze na strychu, gdy przejąłem jego dom i praktykę, ale nigdy nie miałem na to czasu. Po naszej rozmowie na urwisku odnalazłem ten, który obejmował czas śmierci pani męża i następne tygodnie.*

Okazało się, że świętej pamięci doktor Philpott wierzył w stare prawdy dotyczące zdrowia i medycyny, które obecnie szczęśliwie odchodzą w zapomnienie. Napisał w dzienniku, że z powodu wstrząsu i rozpaczliwej cierpi Pani na nierównowagę humorów cielesnych i przez to Pani macica niewątpliwie zaczęła „wędrować”.

Być może słyszała Pani o tej idiotycznej, aczkolwiek szeroko rozpowszechnionej teorii, że „wędrująca” macica jest przyczyną kobiecej hysterii. W czasie, kiedy była Pani przygnębiona tragiczną utratą męża, staroświecki lekarz niewątpliwie mógł uznać Panią za histeryczkę.

Napisał, że jest to bardzo niefortunne i godne pożałowania, ale jego zdaniem w rezultacie stanie się Pani bezpłodna. Mogę Panią zapewnić, że nic, co wyczytałem w jego notatkach, nie doprowadziło mnie do podobnej konkluzji.

Zalecałbym wizytę u specjalisty, być może w Londynie. Mogę zasugerować kilka nazwisk. Może też Pani zdać się po prostu na naturę.

*Pozostaję, droga pani Perowne, najposłuszniejszym sługą.
Michael Tregarth*

- Czy coś się stało? - zapytała Izzy.

- Nie. Nic złego się nie stało. Doktor Tregarth zalecił mi pewne działania w związku z problemem, o którym z nim rozmawiałam.

Cris wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Może przed snem przespacerujemy się w blasku księżyca?

Wyszli na trawnik przed domem. Gdy już nie było ich widać z okien, Tamsyn przytuliła się do niego.

- Czy mam powód do zmartwień? - zapytał, patrząc na jej uśmiechniętą twarz.

- Nie, absolutnie żadnego. - Powtórzyła mu treść listu. - Nie chcę, żeby obmacywali mnie jacyś londyńscy lekarze. Posłucham jego rady i pozwolę, żeby natura zrobiła swoje.

W pięć minut później bez tchu wysunęła się z jego objęć i szepnęła:

- Zajmuję tę samą sypialnię, co wcześniej.

- Doskonale... - Cris westchnął. - Bo po tym pocałunku, moja droga Tamsyn, ja również zamierzam pozwolić, żeby natura zrobiła swoje.

[1] Szekspir, *Życie Henryka V*, tłum. Leon Ulrich, PIW 1980.

[2] Tamże.

Tytuł oryginału: The Many Sins of Cris de Feaux
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2016
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2016 by Melanie Hilton

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3428-3

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Przypisy
Strona redakcyjna